

Czekamy na Boże Narodzenie i mocno trzymamy się za portfele

● Liliana Sonik: Zrobimy z Krakowa miasto tranzytowe? ● Prof. Tadeusiewicz o generatywnej AI

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV



Nr 282 (24 758)



DZIENNIK POLSKI

Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)

Piątek, 5.12.2025 r.

www.dziennikpolski24.pl

„Portret młodzińca”. Czy dzieło zrabowane w trakcie wojny wróci do Krakowa? str. 16



Piotr Sułkowski, dyrektor Opery Krakowskiej: Publiczność nam ufa str. 18-19

Anna Kamińska wraca w Bieszczady, by opowiedzieć je na nowo z kobiecej perspektywy str. 17



MAŁGORZATA PIECZYŃSKA

Liczy się błysk w oku i chęć do życia, a nie zmarszczki – mówi aktorka STR. 24-25

„SZELTER”, KTÓRY POD ODESSĄ PROWADZI TERAZ KRISTI, TO TYMCZASOWE SCHRONIENIE DLA 250 PSÓW

Kristi ratuje zwierzęta. Na froncie

Owczarek, którego osłoniła własnym ciałem, liżał ją potem po dłoniach. Czuł, komu zawdzięcza życie. To było w maju 2024 r. Wraz ze swoimi ludźmi z grupy „12” („12 Strażników”) w obwodzie donieckim w Ukrainie robiła to, co zaczęła jeszcze przed wojną: ratowała zwierzęta.

Na stałe pracują pod Odessą. Tam Krystyna prowadzi swój azyl dla psiaków, o którym mówi „szelter”, a który nazwała „Miejsce pod słońcem”. Każdego miesiąca na tydzień udają się w rejon frontowy. Tam odławiają blakające się psy.

Czytaj str. 20-21

Nr ISSN 0137-9089

Nr Indeksu 350052



Kijów oczekuje większego nacisku USA na Kreml str. 10

WYPADEK ZDERZENIE TRAMWAJÓW W NOWEJ HUCIE. CO SIĘ STAŁO?

Błąd ludzi czy może wypadek techniczny

Od środy trwają badania przyczyny zderzenia tramwajów w Nowej Hucie. – Pracuje nad tym policja i biegły sądowy. Z informacji, do których udało się dotrzeć, aktualnie nie jesteśmy w stanie wywnioskować żadnej hipotezy powodów tego zdarzenia. Przyczyną może być błąd ludzi, ale i niezależny od człowieka wypadek techniczny – mówi Marek Gancarczyk, rzecznik krakowskiego MPK. Najciężej ranny został motornicz

Do wypadku doszło w środę przed godz. 18. Ucierpiało w nim 35 osób, a 11 z nich trafiło do placówek medycznych. Co mogło być przyczyną wypadku? Czytaj str. 4

BEZ TEGO KONKURSU NIE MA KRAKOWA

Dziesiątki szopek pod „Adasiem” na Rynku Głównym STR. 8



Pierwszy czwartek grudnia, samo południe. Konkurs Szopek Krakowskich w tym roku odbywa się 83. raz. – Szopki to są takie wiersze o Krakowie – mówił Michał Niezabitowski.

TYDZIEŃ Z DZIENNIKIEM POLSKIM

SOBOTA

- MAGAZYN PRZY SOBOCIE
- PONIEDZIAŁEK
- DODATEK SPORTOWY

WTOREK

- PULS BIZNESU
- ŚRODA
- MAGAZYN ZDROWIE

CZWARTEK

- POD PARAGRAFEM
- PIĄTEK
- PULS POLSKI

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 12 312 53 88, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.dziennikpolski24.pl

Janusz Michalczyk



CO MA TRYBUNAŁ DO BLISKIEJ OSOBY

Nie od dziś wiadomo, że wśród młodych instytucja małżeństwa cieszy się coraz mniejszym prestiżem i - paradoksalnie - najbardziej zależy na sformalizowaniu związków tym, którzy dziś nie mogą tego uczynić, czyli parom homoseksualnym. W kręgach rządowych w wielkich bólach rodzą się przepisy o związkach partnerskich, które dla niepoznaki przybrały postać ustawy o statusie osoby najbliższej. Dlatego sporo zamieszania wywołała wieść, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, iż zrzeszone kraje mają obowiązek uznawać małżeństwo pary tej samej płci. Sytuacja się zmieniła, bo do tej pory ślub zawarty na przykład w Niemczech nie powodował automatycznie zalegalizowania w Polsce. I nadal nie będzie, a to z prostego powodu - jest to technicznie niemożliwe, bo w systemie informatycznym urzędu stanu cywilnego nie ma takiej opcji. Minister sprawiedliwości zapowiedział, że rząd coś wymyśli i takie związki będą „odnotowane odpowiednio w naszej ewidencji”. Łatwo się domyślić, że szybko to nie nastąpi, a poza tym nikt takiej pary nie potraktuje jak zwykłe małżeństwo w urzędzie skarbowym albo u notariusza.

O co tak naprawdę toczy się gra? Wydaje się, że jeśli ma być przyjęta ustawa o statusie osoby najbliższej to pary homoseksualne mogą liczyć co najwyżej na ułatwienia w dostępie do informacji medycznej, gdy partner czy partnerka wylądują w szpitalu. Być może zostaną uwzględnione jakieś kwestie dotyczące wychowania dzieci i kontaktów ze szkołą. Dyskutuje się też sprawę dziedziczenia mieszkania.

Przyzwyczajaliśmy się kląć niemal o wszystko, więc orzeczenie Trybunału stało się kolejną okazją do politycznych ataków i wątpliwych pomysłów. Prof. Marcin Matczak słusznie zwrócił uwagę, że skoro w konstytucji mamy przepis o ochronie małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety, to nie warto prawniczymi wygibasami wykrzywiać rzeczywistości. Wcześniej to prawica próbowała zrobić z konstytucji świstek papieru, a teraz w podobnym duchu kombinują niektórzy z przeciwnej strony. Już mamy w systemie prawa bałagan, z którym coraz trudniej będzie żyć zwykłym obywatelom.

Trudno być optymistą. Natomiast sądzę, że w tym stanie rzeczy należy doceniać każdy przejaw zdrowego rozsądku i spokojną, rzeczową argumentację.

TELEFONY

- Numer alarmowy 112
- Pogotowie ratunkowe 999
- Całodobowa Informacja Medyczna 12 661-22-40
- Telefon zaufania 12 413 71 33
- Pogotowie energetyczne - 991, gazowe 992, ciepłownicze 993, wod-kan. 994
- Ośrodek Interwencji Kryzysowej 12 421 92 82
- Całodobowa Informacja Pacjenta 800 190 590
- Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111
- Straż Miejska Kraków 986
- Całodobowa linia wsparcia 800 702 222
- Biuro numerów 118 913

POGODA

DZIŚ

MAX 7°C MIN 0°C

Wiatr NE. 7 km/h
Uwaga: Zachmurzenie duże, mgliście, do tego opady deszczu

JUTRO

MAX 6°C MIN -1°C

Wiatr SE. 7 km/h
Uwaga: Zachmurzenie duże, duża wilgotność, bez słońca

ZDJĘCIE DNIA

Gmina Gołcza przygotowała dla swoich - i nie tylko - mieszkańców miłośników igrzysk. Jutro zaplanowano otwarcie sztucznego lodowiska, które zostało zlokalizowane na terenie Uliny Parku, czyli centrum rozrywki w Ulinie Wielkiej.

Lodowisko w Ulinie Wielkiej będzie kolejną atrakcją centrum rozrywki zbudowanego w miejscu dawnego kamieniołomu. Zgodnie z założeniami obiekt będzie czynny w dni powszednie w godzinach popołudniowych (16-19), natomiast w weekendy od 11 do 19. **Aleksander Gąciarz**



MAGAZYN PRZY SOBOCIE

- LEON NIEMCZYK, TYTAN PRACY I KOBIECIARZ
- JERZY BOŃCZAK ZMAGAŁ SIĘ Z UZALEŻNIENIEM
- ŚWIĘTA POZA DOMEM? CZY TO DOBRA UCIECZKA?



FOT. PAWEŁ MATYKA, CC BY-SA 4.0

TEMAT DNIA

ZAMEK TENCZYN W RUDNIE WCIĄŻ W REMONCIE I KONSERWACJI. JAKIE TAJEMNICE SKRYWA KAPLICA?

Barbara Cirył
Rudno

Kaplica na zamku Tenczyn bardzo długo czekała na prace konserwatorskie, zabezpieczające, remontowe. To niezwykle obiekt usytuowany w południowym skrzydle zamku. Uwagę przyciągają urocze okągłe otwory okienne. Wreszcie, po 15 latach prac budowlanych, konserwatorskich w tej średnio-wiecznej twierdzy w końcu i zamkowa kaplica doczekała się zabezpieczeń. Przedstawiciele Fundacji New Era Art, należącej do Jana Potockiego zarządzającej zamkiem - wskazują, że tegoroczne prace budowlano-konserwatorskie - dzięki wsparciu ministerialnemu - pochłoną prawie 2,3 mln zł.

Pięknieje zamek Tenczyn w Rudnie. Z roku na rok są odsłaniane nowe części tych niezwykłych ruin, są oddawane do zwiedzania. Trasa turystyczna zmienia się, wydłuża, wzbogaca. W tym roku prace rozpoczęły się od zabezpieczenia muru kurtynowego, a przeniosły do zamkowej kaplicy. To urokliwy obiekt, do którego przez kraty i zabezpieczenia tu-

ryści zaglądali za każdym razem wchodząc na poszczególne kondygnacje wieży Nawoja.

Zamkowa kaplica poświęcona była Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny. Została opuszczona w 1769 roku, a było to po pożarze, który wybuchł rok wcześniej. Kaplica popadała w ruinę jak cały zamek. Sklepienie zawaliło się pod koniec XIX wieku. Do dziś zachowały się fragmenty jej murów i te charakterystyczne okągłe otwory okienne. Obecnie kaplicę przykryto tymczasowym zadaszeniem. - W tym roku prace konserwatorskie i budowlane, po zabezpieczeniu muru kurtynowego, koncentrujemy właśnie na kaplicy i skarbczyku, czyli zakrystii. Te miejsca najdłużej na całym zamku czekały na prace zabezpieczające. Ostatnim „konserwatorskim” przedsięwzięciem w zamkowej kaplicy były XIX-wieczne działania tenczyńskiego proboszcza - księdza Smoczyńskiego - z którego inicjatywy, w pustych oculach, znalazły się ponownie witraże - mówi Robert Szczuka z Fundacji New Era Art, która z ramienia Jana Potockiego zarządza zamkiem i tutejszą trasą turystyczną.

Podczas prac konserwatorskich pod kaplicą odkryto



FOT. ZAMEK TENCZYN W RUDNIE

kryptę. To z tej krypty 14 lat po opuszczeniu kaplicy, czyli w 1783 roku przeniesiono szczątki Jana Tęczyńskiego do kościoła w pobliskim Tenczynku. Właściwie prace związane z zabezpieczeniem kaplicy zamkowej zaczęły się już w 2023 roku od zabezpieczenia fundamentów prezbiterium.

- Wykonywane prace poprzedziły badania georadarowe, elektrooporowe, archeologiczne odkrywkowe oraz architektoniczne - wskazuje Robert Szczuka. - W tym roku uda się zabezpieczyć fundamenty kaplicy i skarbczyku oraz odmurować lica większości ścian. Zabezpieczymy również zachowany fragmentarycznie, oryginalny tynk. Posadzka kaplicy zostanie odtworzona, na podstawie odnalezionych w toku prac elementów dawnej podłogi - informuje przedstawiciel Fundacji New Era Art.

Prace zabezpieczające przy kaplicy, prowadzone przez właściciela obiektu są dzięki dofinansowaniu z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które w tym roku wynosi 2 mln 260 tys. zł.

Twierdza jest wspierana finansowo przez ministerstwo od 2010 roku. Wówczas rozpoczęły się cyklicznie prowadzone prace konserwatorskie i remontowe.

PRZYRODA

Powrót karpia

Obiecałem napisać czym różni się owoc buka zwane bukwia od brukwi. Jedna litera i tyle różnic. Te pierwsze zalegają pod śniegiem w górskich buczynach, zaś te drugie, to zapomniane nieco warzywo. Brukiew zwana też karpielem czy kwaką to większych rozmiarów krewniak kalarepy. Rozmianami przypomina burak cukrowy. Ma ciekawe pochodzenie. Do uprawy wprowadzili go potomkowie Wikingów lub Finowie na początku XVII wieku. Karpieł doskonale obradza w zimnym klimacie i był chętnie jadany przez mieszkańców Północy. Stanowił dodatek do mięs, zup czy sosów. Karmiono nim też bydło i nierogaciznę. Na znaczeniu stracił po upowszechnieniu upraw ziemniaka w dziewiętnastym stuleciu. Później nieco zapomniany wrócił na stół podczas obydwo Wielkich Wojen. Mało wymagająca i rosnąca wszędzie brukiew ratowała życie od głodowej śmierci. Jak wszystkie rośliny z rodziny krzyżowych w pierwszym roku wydaje okazałą bulwę spożywaną na wiele sposobów, a jeśli kilka roślin zostawiono w ziemi na drugi rok, kwitły i dawały nasiona. Ponoć najchętniej pieczono z nich placki podobne do ziemniaczanych. Tym sposobem uprawy funkcjonowały przez obydwo wojny i chwilę po skończeniu działań wojennych. Budził skojarzenia z głodem, więc wyrugowano go z upraw. Karpieł kolejny raz wraca do łask. Tym razem jako ekologiczne i prozdrowotne warzywo. Polecam, bo smaczny jest!

Grzegorz Tabasz

Rok wyzwań na trasie z Krakowa do Kielc i Warszawy, będą zmiany w rozkładach jazdy pociągów

PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

NA TORACH
NOWYCH MOŻLIWOŚCI

...dzięki funduszom
z Krajowego Planu Odbudowy

Prace przy modernizacji linii kolejowej nr 8 na odcinku Kraków Główny – Tunel już trwają. Inwestycja Polskich Linii Kolejowych, która usprawni podróże z Krakowa w kierunku Kielc, Łodzi Warszawy, przyniesie szybsze przejazdy, większą przepustowość linii i wyższy komfort obsługi podróżnych. W związku z szerokim zakresem działań od 14 grudnia wprowadzone zostaną zmiany w organizacji ruchu pociągów – część połączeń zostanie odwołana, część pojedzie w relacjach skróconych, a część trasami okrężnymi. Aktualne rozkłady jazdy dostępne są na stronie internetowej portalpasazera.pl. Przedsięwzięcie realizowane jest ze środków Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO).



Prace w obrębie stacji Kraków Batowice



Stacja Kraków Główny – prace na peronie nr 5

Ruszyły prace w Krakowie i na szlaku Słomniki – Niedźwiedź

Na stacji Kraków Główny prowadzone są roboty przy remoncie krawędzi i nawierzchni peronu nr 5, który po przebudowie zapewni podróżnym wygodniejsze i bezpieczniejsze warunki korzystania z kolei. Jednocześnie na stacji Kraków Batowice realizowana jest wymiana nawierzchni torowej, montaż nowych rozjazdów i budowa nowego centrum sterowania ruchem pociągów. Prace te pozwolą poprawić stan techniczny infrastruktury i zwiększyć płynność prowadzenia ruchu kolejowego.

Roboty trwają również na szlaku między Słomnikami a Niedźwiedziem, gdzie wymieniana jest sieć trakcyjna. Nowa infrastruktura przełoży się na większą niezawodność zasilania, stabilniejsze kursy oraz zmniejszy w przyszłości liczbę ograniczeń prędkości związanych ze zużyciem dotychczasowych elementów sieci.

Zakres robót wymaga wprowadzenia zmian w kursowaniu pociągów. Od 14 grudnia część składów w relacji Kraków – Warszawa oraz obsługujących połączenia regionalne pojedzie trasami zmodyfikowanymi.

Wybrane połączenia zostaną odwołane, część będzie funkcjonować w relacjach skróconych, a część skierowana zostanie drogą okrężną.

Szczegółowy rozkład jazdy wraz z bieżącymi aktualizacjami jest dostępny na stronie portalpasazera.pl, gdzie podróżni mogą sprawdzić aktualne godziny przyjazdów i odjazdów oraz komunikaty dotyczące zmian. Zalecamy sprawdzanie informacji bezpośrednio przed planowaną podróżą.

Co się zmieni na trasie Kraków Główny – Tunel?

Modernizacja linii kolejowej nr 8 to projekt, który znacząco wpłynie na jakość podróży między Krakowem a północną częścią kraju. Dzięki inwestycji prędkość pociągów wzrośnie do 120 km/h, co skróci czas przejazdu. Likwidacja dotychczasowych ograniczeń i wymiana urządzeń sterowania ruchem poprawią przepustowość linii oraz punktualność kursowania składów.

Zakres przedsięwzięcia jest szeroki i obejmuje kompleksową modernizację infrastruktury na jednej z najważniejszych tras kolejowych w regionie. Prace przewidują wymianę fragmentów torów oraz rozjazdów, co pozwoli

na podniesienie parametrów technicznych linii i zapewni płynniejsze prowadzenie ruchu pociągów. Modernizowana jest również sieć trakcyjna, dzięki czemu zasilanie pociągów stanie się niezawodne. Istotnym elementem inwestycji jest przebudowa sześciu przejazdów kolejowo-drogowych, której efektem będzie zwiększenie bezpieczeństwa zarówno dla kierowców, jak i użytkowników kolei.

Zmiany odczują również pasażerowie korzystający ze stacji i przystanków. W Miechowie powstanie zupełnie nowy peron dostosowany do współczesnych standardów obsługi, a istniejące perony w Smrokowie oraz krakowskich Batowicach zostaną przebudowane i wyposażone w nowe wiaty, ławki, czytelną informację pasażerską, energooszczędne oświetlenie i antypoślizgowe nawierzchnie ze ścieżkami naprowadzającymi dla osób niewidomych oraz niedowidzących. Projekt zakłada także możliwość realizacji nowego peronu w Zastowie, który – wraz z planowanym wydłużeniem kładki nad torami – poprawi dostępność komunikacyjną i ułatwi przesiadki zarówno mieszkańcom, jak i osobom podróżującym na tej linii.

Modernizacja znacząco zwiększy bezpieczeństwo podróży. Przebudowane przejazdy, wymieniona sieć trakcyjna i nowe systemy sterowania ruchem ograniczą ryzyko awarii

i poprawią płynność przejazdu pociągów. Już wcześniej PLK SA rozpoczęły instalację nowoczesnych urządzeń sterowania na tym odcinku, które docelowo pozwolą zarządzać ruchem od Krakowa Batowic po Miechów, Słomniki, Niedźwiedź i Zastów zdalnie – to ważny krok w stronę dalszej cyfryzacji i automatyzacji kolei, który pozwoli uruchamiać większą liczbę połączeń w przyszłości.

Modernizacja linii kolejowej nr 8 to inwestycja, która codziennie będzie przynosić korzyści pasażerom regionalnym i dalekobieżnym. Szybsze i punktualniejsze kursy, wygodne perony, wyższe bezpieczeństwo na przejazdach i nowoczesna infrastruktura sprawia, że kolej stanie się jeszcze bardziej konkurencyjna wobec transportu drogowego. Pozytywne efekty projektu podróżni odczują już w drugiej połowie przyszłego roku.

Uwaga podróżni!

Wszystkie zmiany dotyczące organizacji ruchu kolejowego dostępne są na stronie internetowej:

portalpasazera.pl



Rzeczpospolita
Polska

Sfinansowane przez
Unię Europejską
NextGenerationEU



PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

Przedsięwzięcia pt. „Poprawa stanu infrastruktury linii kolejowej nr 8 Warszawa Zachodnia – Kraków Główny (Tunel – Kraków)” oraz „Digitalizacja infrastruktury kolejowej poprzez zabudowę nowoczesnych urządzeń i systemów – Etap I” finansowane ze środków Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO)

Kronika Krakowska

KRÓTKO

PORZĄDEK POGRZEBÓW

Dziś żegnamy

Cmentarz Rakowicki

9:00 - Małgorzata Gorczyca-Madej (lat 72)
9:40 - Andrzej Biernat (lat 74)
10:20 - Janina Brzegowy (lat 73)
11:00 - Lucyna Szostak (lat 86)
11:30 - Janusz Dudek (lat 75)
11:40 - Zdzisława Horecka (lat 97)
12:20 - Anna Hołda (lat 41)
13:00 - Lidia Piskorz (lat 81)
13:40 - Romuald Argasiński (lat 73)

Cmentarz Prądnik Czerwony

9:00 - Ryszard Adrian (lat 71)
9:40 - Janina Rubacha (lat 85)
10:20 - Adam Klima (lat 80)

10:20 - Marta Flazik (lat 56)
11:00 - Adam Tybor (lat 73)
11:40 - Maria Pawińska (lat 85)
12:00 - Zdzisław Adamczyk (lat 70)
12:20 - Piotr Kozarski (lat 76)
13:00 - Ryszard Gil (lat 67)
13:00 - Wojciech Wojnar (lat 88)
13:40 - Maria Sierpień (lat 81)
13:40 - Bogumił Przybyło (lat 85)

Cmentarz Podgórski

9:00, Janusz Wierzban (lat 72)
10:00 - Eugeniusz Kozik (lat 79)
11:00 - Maria Nowak-Pietrzyk (lat 95)
12:00 - Elżbieta Kacierz (lat 75)

BRZEZINKA

Taras przy byłym obozie



Przy byłym obozie w Brzezince, na dachu centrum obsługi turystów - znajdującego się przy parkingu samochodowym - powstanie taras widokowy. Koszt jego budowy to ponad 1,1 mln złotych. Inwestycja ma zostać sfinalizowana na początku 2026 roku. Zaprezentowano wizualizację tego przedsięwzięcia. Jerzy Zaborski

109

złotych. Tyle ma kosztować bilet miesięczny po podwyżce w Krakowie. Przeciwno podwyżkom opowiadają się radni opozycyjni.

KRAKÓW

Zmarł Stanisław Litwin, trener, wieloletni prezes Związku Piłki Siatkowej

Siatkarskie środowisko i wojskowe pogrążone jest w żałobie. 3 grudnia 2025 r. zmarł po ciężkiej chorobie Stanisław Litwin, zawodnik, trener,

działacz sportowy, wieloletni prezes Małopolskiego Związku Piłki Siatkowej. Był także pułkownikiem Wojska Polskiego i wykładowcą akademickim. Miał 88 lat. Uroczystości pogrzebowe odbędą się w najbliższy wtorek, 9 grudnia o godz. 13 w Zgórsku.

KRAKÓW

TELEFON

dziennikarza dyżurnego

697 730 318

E-MAIL

redakcja@gk.pl

Zderzenie tramwajów w Nowej Hucie. Co było przyczyną wypadku?

Marcin Banasik
Kraków

- Przyczyną może być błąd ludzi, ale i niezależny od człowieka wypadek techniczny - mówi o możliwych przyczynach zderzenia Marek Gancarczyk, rzecznik krakowskiego MPK.

Do wypadku doszło w środę przed godz. 18. Ucierpiało w nim 35 osób, a 11 z nich trafiła do placówek medycznych. Najciężej ranny został motorniczy. Nie wiemy też jaki jest stan motorniczego, który doznał najcięższych obrażeń w tym wypadku - dodaje Marek Gancarczyk. W akcji ratunkowej, która trwała ponad dwie godziny, brało udział wielu policjantów, strażaków i służb medycznych. Po zakończeniu działań zostały przeprowadzone oględziny miejsca zdarzenia z udziałem biegłego ds. wypadków drogowych i pod nadzorem prokuratora.

Mieszkańcy wpisują w mediach społecznościowych swoje relacje ze zdarzenia. „Widziałam na własne oczy i wyglądało to tak, że pierwszy wagon starego



Do wypadku doszło w środę około godz. 18.00 przy rondzie Kocmyrzkowskim w Nowej Hucie

składu 52 odczepił się, dwa pozostałe stanęły lub zaczęły się cofać i wjechał w nie nadjeżdżający tramwaj” - relacjonuje jedna z mieszkanki. Kolejna, Małgorzata Pierzynka, opisuje zdarzenia tak: - Tuż przed rondem Kocmyrzkowskim tramwaj zaczął hamować, później było uderzenie, zgasły światła. Ludzie wpadli w panikę - opisuje. Małgorzata uderzyła głową w metalowe części oparcia siedzenia. - Złamałam nos, ale muszę podkreślić, że pasażerowie nawzajem bardzo sobie pomagali - mówi.

Pasażerka „piątki” pamięta, że chwilę po uderzeniu z nosa zaczęła jej cieknąć krew. Później, kiedy dotarła do szpitala Żeromskiego okazało się, że jest złamana. - Była ze mną jeszcze jedna pasażerka, która również miała złamany nos - mówi Małgorzata.

Kobieta zauważa, że w tramwaju nie było zbyt wielu pasażerów. - Wydaje mi się, że było kilkanaście osób. Dlatego właśnie po uderzeniu ludzie przewracali się i uderzali w metalowe części wyposażenia tramwaju. Gdyby

było więcej pasażerów być może ludzie nawzajem by się amortyzowali - dodaje.

Zrelacji wynika, że jedna z pasażerek miała złamaną nogę, inna osoba złamała palec dłoni przy upadku na podłogę. - Inni mieli obrażenia od odłamków szkła, bo szyby się roztrzaskały.

Pasażerowie zwracają uwagę, że w wypadku uczestniczyły dwa wiekowe tramwaje. „Już dawno po mieście nie powinny jeździć te stare gruchoty” - komentują w mediach społecznościowych.

W podziemiach szpitala powstanie schron

Paweł Michalczyk
Brzesko

Władze powiatu brzeskiego chcą przystosować przyziemie szpitala na wypadek konieczności ewakuacji. Na poziomach minus 1 i minus 2 miałyby się znaleźć miejsce dla pacjentów i personelu.

Jak wyliczono, na Dwóch poziomach podpiwniczenia szpitala powiatowego w Brzesku można zapewnić miejsce ewakuacji nawet dla sześciuset osób. Aby

jednak realizacja pomysłu była możliwa, konieczne są pieniądze. Dlatego władze powiatu brzeskiego wystąpiły do wojewody o dofinansowanie.

— Wiąże się to ze sporymi inwestycjami, bo odpowiednie służby i straż uznały te podpiwniczenia na minus jeden i minus dwa za nadające się na schronienie. Ale muszą być one wyposażone we wszystko, co jest potrzebne pacjentom, czyli gazy medyczne, wodę, kanalizację, łazienki i tak dalej — mówi starosta brzeski Andrzej Potępa.

Przypomnijmy, powiat brzeski planuje obok szpitala budowę dwupoziomowego parkingu podziemnego, który również miałby pełnić funkcję schronu. Byłby on miejscem schronienia dla ludności — nawet 3,5 tysiąca osób, ale również dla pojazdów służb ratunkowych.

Byłoby to miejsce schronienia, które zapewni bezpieczeństwo przy nalotach czy bombardowaniu. Duży obiekt całkowicie pod ziemią, z dwoma poziomami minus je-

den i minus dwa, miałyby w razie kryzysu funkcję schronienia dla osób oraz schronienia dla sprzętu ratowniczego, czyli samochodów strażackich, karettek, pojazdów policyjnych. A w czasie pokoju pełniłby po prostu funkcję parkingu podziemnego — wyjaśnia starosta brzeski Andrzej Potępa.

Władze powiatu brzeskiego dysponują już wstępną oceną zespołu zarządzania kryzysowego wojewody małopolskiego, który ocenił pomysł jako „bardzo dobry”.

AKCJA CHARYTATYWNA

0211434869



Szokująca skala pustek pod DK 94 w Olkuszu

Paweł Mocny
Olkusz

Naturalnie występujące pod DK 94 w Olkuszu pustki krasowe okazały się gigantycznym problemem.

Do ich zatłaczania wykorzystano już ponad dwa razy więcej specjalnej mieszanki a pompowanie dalej trwa. Zgodnie z najnowszymi szacunkami, do zatłoczenia wszystkich pustek potrzebne będzie ponad sześć razy więcej materiału niż zakładano przed rozpoczęciem przebudowy.

Jednym z największych wyzwania przy przebudowie DK 94 w Olkuszu są pustki krasowe znajdujące się w rejonie skrzyżowania z Kościuszką i Rabsztyńską.

Już na etapie planowania inwestycji przewidywano, że do wypełnienia wszystkich pustek wystarczy około 26 000 m³ specjalnej mieszanki. Niestety szacunki okazały się mijać z rzeczywistością skalą problemu. Już w styczniu, po ponad pół



FOT. GDDKiA

Podróżujący przez Olkusz kierowcy cały czas obserwują postępy prac

roku prac pod ziemią znajdowały się 34 000 m³ mieszanki.

Od tamtej pory zatłaczanie nie ustaje. Postanowiliśmy zapytać inwestora, czyli Generalną Dyрекcję Dróg Krajowych i Autostrad o to, ile mieszanki już wtłoczono. Jak odpowiedział Kacper Michna z krakowskiej instytucji do tej pory pod ziemią znalazło się już około 68 000 m³ mieszanki. Co więcej, obecne szacunki wskazują, że wykorzy-

stane zostanie jeszcze kolejne 105 000 m³.

Problemy związane z zatłaczaniem pustek krasowych pod drogą stały się jedną z przyczyn zmiany terminu zakończenia inwestycji. Początkowo planowano oddać wyremontowaną drogę we wrześniu 2026 roku. Wykonawca zwrócił się jednak do inwestora o przedłużenie czasu na realizację zadania.

- Wniosek o przedłużenie terminu został już zatwierdzony, nowy termin zakończenia inwestycji to 6 listopada 2026 roku. Przyczyny wydłużenia czasu realizacji inwestycji przekazywaliśmy, wynikają w szczególności z długotrwałego procesu uzgodnień założeń do projektu tymczasowej organizacji ruchu, który musiał pogodzić kwestie bezpieczeństwa ruchu drogowego, interesy mieszkańców reprezentowane przez samorząd i wymogi procesu technologicznego w zakresie wykonywania prac budowlanych - przekazał Kacper Michna z GDDKiA.

Podróżujący przez Olkusz kierowcy cały czas obserwują postępy prac przy przebudowie. Oprócz zatłaczania pustek krasowych pracownicy wykonawcy prowadzą roboty przy budowie kanalizacji deszczowej oraz przy przebudowie instalacji gazowej, wodociągowej i elektrycznej, a także przy montażu nowego oświetlenia ulicznego. Wykonawca cały czas prowadzi roboty ziemne i układa kolejne warstwy drogi. Do tego dochodzą prace brukarskie.

Czy w Gorlicach powstanie strefa płatnego parkowania „C”?

Agnieszka Nigbor-Chmura
Gorlice

Wszystko wskazuje na to, że od 1 stycznia 2026 roku w Gorlicach powstanie trzecia strefa parkowania oznakowana jako obszar „C”. Na razie w magistracie trwają prace nad koncepcją.

Radni miejscy mają pochylić się nad tematem stworzenia w mieście trzeciej już strefy parkowania - strefy „C”. Zanim jednak do tego dojdzie, temat procedowany jest w Urzędzie Miejskim w Gorlicach, a projekt uchwały opiniowany będzie przez kompetentne komisje Rady Miasta Gorlice.

Jeśli najpierw komisje, a potem sama rada w głosowaniu przyjmie uchwałę, od 1 stycznia 2026 roku do płatnej strefy parkowania włączone zostaną dwie ulice miejskie, a raczej parkingi wzdłuż nich. Chodzi o ulicę Karwacjanów od wjazdu po lewej stronie i dalej wzdłuż muru cmentarza, czyli tam, gdzie obecnie funkcjonuje parking bezpłatny. Drugą ulicą, przy której

staną parkometry, ma być ulica Cmentarna, przy której dwa lata temu w ramach modernizacji powstało 28 miejsc parkingowych. Łącznie strefa płatnego parkowania „C” ma obejmować blisko 80 miejsc parkingowych, a tym samym zwiększyć bazę płatnych miejsc na terenie miasta z 600 już istniejących do około 680.

Warto podkreślić, że już wspomniane 600 miejsc daje miastu roczny przychód z bileto- i mandatów na poziomie miliona złotych. W przeliczeniu na miejsce, kolejne 80 płatnych stanowisk da średnio około 133 tys. złotych wpływu do kasy miasta rocznie. - Nie o pieniądze tutaj chodzi - tłumaczy Robert Ryn- dak, przewodniczący Rady Miasta w Gorlicach, a o to, by na parkingach w centrum miasta była większa rotacja, umożliwiająca parkowanie tym, którzy w tej części miasta chcą się zatrzymać na jakiś czas, by załatwić swoje sprawy - mówi.

Płatna strefa zabolit tych, którzy właśnie na ulicy Karwacjanów albo Cmentarnej zostawiali swoje samochody na cały dzień i szli do pracy.

REKLAMA

0011438446

SYLWESTER z DWÓJKĄ
2025
Katowice pod Spodkiem

Województwo Śląskie KATOWICE dla odmiany Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia

Start 19:50 TVP 2

PATRONI MEDIALNI



SPONSOR GŁÓWNY



Źródełko św. Kingi w remoncie. Legenda głosi, że czyni cuda

Klaudia Kulak
Stary Sącz

Mieszkańcy i pielgrzymi od kilku wieków wierzą w cudowną moc wody. Klasztorne księgi zawierają dziesiątki opisów uzdrowień. Teraz gmina Stary Sącz prowadzi prace remontowe.

Źródełko znane jest ze swej cudownej mocy od kilkuset lat. Znajduje się ok 100 metrów od baszty klasztornej na dobrze oznakowanym Trakcie św. Kingi. Ze źródłem związanym jest kilka miejscowych legend. Odwiedzają go pielgrzymi oraz mieszkańcy, którzy przychodzą tu po wodę. Służy ona nie tylko celom nadprzyrodzonym. Starosądeczanie używają jej do kiszenia ogórków. To niemal gwarancja jakości, bo gospodynie wierzą, że woda chroni warzywa przed psuciem.

Teraz muszą liczyć się z utrudnieniami, bo trwa tam remont, który sprawi, że otoczenie słynnego źródła zmieni się na lepsze.

- Ścieżka do źródła św. Kingi już niebawem odzyska swój dawny blask. Remont traktu zakończy się jeszcze w grudniu, a postępy prac widać gołym okiem. Nowa nawierzchnia będzie komfortowa, bezpieczna i jeszcze bardziej zachęcająca dla wszystkich odwiedzających teren przyklasztorny - informuje urząd miejski.

Na Sądecku są liczne miejsca kultu, to nie tylko kościoły, ale także kapliczki czy cudowne źródła i obrazy.



Prace zakończą się jeszcze w grudniu

Miejsce wstydu na zapleczu Rynku w Tarnowie uprzątnięte

Paweł Chwał
Tarnów

Po interwencji Rady Osiedla Starówka, Gazety Krakowskiej i portalu Tarnów Nasze Miasto udało się wykarczować chaszcze i uprzątnąć ze śmieci i butelek plac Morawskiego w Tarnowie

Doraźnie zabezpieczone mają zostać także odkopane w tym miejscu pozostałości bastei i XVI-wiecznych fortyfikacji obronnych miasta i pobliskiego klasztoru bernardynów.

Zamiast atrakcji powstał śmietnik

Plac Morawskiego (pomiędzy ulicami Bernardyńską i Dąbrowskiego, ok. 200 metrów w linii prostej od rynku) wraz z odkopanymi nim nieuleczalnymi z czasów hetmana Jana Tarnowskiego, które miały chronić Tarnów przed atakami Turków czeka na rewitalizację co najmniej od dekady.

W 2015 roku miały miejsce bowiem prace poszukiwawcze



Plac Morawskiego został w ostatnich dniach wykarczowany i uprzątnięty ze śmieci,

badawcze pod kierunkiem Elżbiety Dworaczynskiej, które miały stanowić wstęp do zagospodarowania na nowo tego zapomnianego miejsca. Z planów odtworzenia twierdzy obronnej, nazywanej też tarnowskim barbakanem, przez 10 lat nic jednak nie wyszło. Zamiast nowej atrakcji turystycznej, którą miasto mogłoby się pochwalić, w Tarnowie przybyło kolejne miejsce

wstydu. Po interwencji Ryszarda Żądły i Rady Osiedla Starówka (sprawę opisaliśmy w połowie listopada) ostatecznie udało się uprzątnąć plac z rosnących dziko chaszczy i samosiejek, pozbić porzucane butelki i śmieci oraz wywieźć porzucony wrak samochodu.

- Przekazaliśmy na uporządkowanie tego miejsca z przyszłorocznego budżetu Rady

Osiedla 25 tysięcy złotych. Mam nadzieję, że kwota ta wystarczy także na doraźne zabezpieczenie odkopanych pozostałości fortyfikacji, wykonując nad nimi zadanie, by chronić je przed deszczem i śniegiem - mówi Ryszard Żądło.

Nowej atrakcji na razie nie będzie

Jak wyjaśnia Marek Kaczanowski, dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska i Gospodarki Komunalnej miasto ma już zgodę służb konserwatorskich na wykonanie takich zabezpieczeń i zostaną one w najbliższym czasie wykonane. O rewitalizacji placu i wyeksponowaniu pozostałości fortyfikacji na razie nie ma mowy.

Problemem jest nie tylko brak środków, ale również uregulowanych kwestii własnościowych dotyczących tego terenu, a konkretnie prawa do działki, po której można byłoby poprowadzić dojazd do znajdującej się obok posesji. Obecna droga dojazdowa biegnie bezpośrednio nad fortyfikacjami.

Wyrodney syn podejrzany o znęcanie się nad matką

Jerzy Zaborski
Oświęcim

28-latek z Oświęcimia otrzymał zakaz opuszczenia miejsca zamieszkania w związku z podejrzeniem znęcania się nad matką.

Policjanci interweniowali w jednym z mieszkań w Oświęcimiu, w związku ze zgłoszeniem awantury domowej. W trakcie czynności policjanci ustalili, że nietrzeźwy 28-latek dopuścił się aktów agresji wobec swojej 62-letniej matki. W związku z tym został zatrzymany.

Następnie funkcjonariusze wręczyli mu policyjny nakaz opuszczenia miejsca zamieszkania oraz zakaz zbliżania się i kontaktowania z pokrzywdzoną. Ponadto został po-

uczony, że naruszenie zakazów może skończyć się osadzeniem w areszcie śledczym. Wobec mężczyzny wszczęto postępowanie w związku z podejrzeniem znęcania się nad matką oraz znieważenia policjantów, którego dopuścił się podczas zatrzymania.

Za przestępstwo znęcania grozi kara do pięciu lat pozbawienia wolności natomiast za znieważenie policjanta grozi kara do jednego roku pozbawienia wolności.

Pokrzywdzona została objęta procedurą Niebieska Karta.

W jej ramach uzyskała pomoc specjalistów z Zespołu Interdyscyplinarnego ds. Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie. W ramach tej samej procedury 28-latek został objęty nadzorem dzielnicowym.

Marcin Szkodziński
Zakopane

Od pierwszego weekendu grudnia kierowcy korzystający z miejskich parkingów w Zakopanem zapłacą za postój także w soboty i niedziele.

To efekt wejścia w życie Śródmiejskiej Strefy Płatnego Parkowania oraz poprawionej uchwały, którą wcześniej unieważnił wojewoda z powodu różnicy 10 groszy w wyliczeniach. Niezadowoleni kierowcy dziękują radnym i burmistrzowi na „piękny prezent” na Mikołaja.

Zmiany to konsekwencja korekty uchwały dotyczącej stawek parkingowych. Dokument przyjęty przez Radę Miasta musiał zostać poprawiony



Parkometr - zdjęcie ilustracyjne.

po uwagach wojewody, który zakwestionował... niezgodzącą się o 10 groszy progresję opłat. - Wojewoda uchylił uchwałę z powodu bardzo drobnego błędu. Kwota nie zgadzała się o 10 groszy. Ktoś doszukał się,

że progresja przekracza ustawowe 20 proc. - tłumaczy burmistrz Łukasz Filipowicz. - Uchwała została poprawiona i wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

Wiceburmistrz Bartłomiej Bryjak dodaje: - Poprzednie stawki były skopiowane, przez lata nikt nie zauważył, że progresja jest minimalnie zawyżona. Teraz wszystko jest uporządkowane.

Zmiana brzmienia stawek wynika z wymogów ustawy o drogach publicznych, która jasno określa maksymalny wzrost opłaty między kolejnymi godzinami parkowania.

W weekend mikołajkowy - 6-7 grudnia - kierowcy zapłacą za postój także w soboty i niedziele. - Piękny prezent na Mikołaja - komentują ironicznie mieszkańcy. - Cały tydzień pla-

cimy, a teraz nawet w weekend nie mamy już gdzie stanąć bez opłat.

Dotychczas weekendy były wolne od opłat. Teraz wszystkie parkingi miejskie - zarówno w Strefie Płatnego Parkowania (SPP), jak i Śródmiejskiej Strefie Płatnego Parkowania (SSPP) - będą działać w trybie płatnym przez siedem dni w tygodniu.

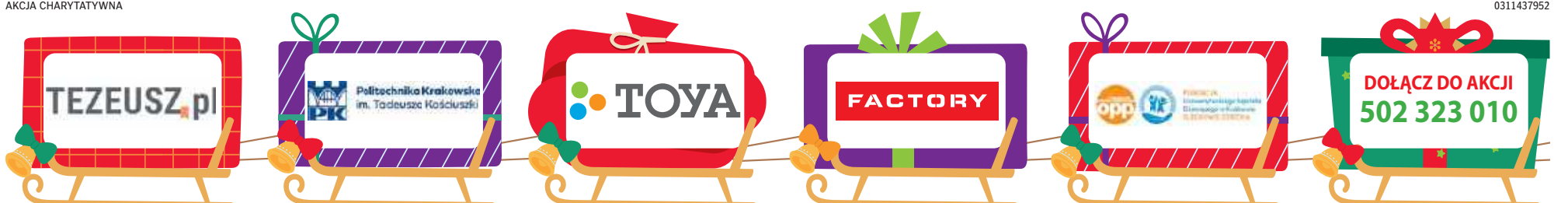
Ile zapłacimy?

Stefa Płatnego Parkowania (SPP):

- opłata minimalna: 4,00 zł
- godzina: 6,00 zł
- godzina: 7,00 zł
- godzina: 8,20 zł
- i kolejne: 6,00 zł

Dla mieszkańców z Zakopiańską Kartą Mieszkańca:

- pierwsze 120 minut za darmo
- potem kolejno: 3,00 zł, 3,50 zł, 4,20 zł, następnie 3,00 zł.



Od Bóbrki do Baltic Pipe. Barbórka i historia ludzi, którzy zbudowali polską branżę naftową i gazowniczą

Barbórka to jedno z tych świąt, które najmocniej łączy przeszłość z teraźniejszością polskiej energetyki. Choć wielu kojarzy ją z górnikami węgla, 4 grudnia jest równie ważny dla tysięcy pracowników wydobycia gazu ziemnego i ropy naftowej – ludzi, którzy każdego dnia budują bezpieczeństwo energetyczne kraju. Dla Grupy ORLEN Barbórka to nie tylko okazja do uhonorowania ich pracy, lecz także do pokazania, jak tradycja górniczego etosu spleta się z nowoczesnymi projektami wydobywczymi, inwestycjami i technologiami, które budują stabilność systemu energetycznego Polski.

Historia Barbórki na ziemiach polskich sięga połowy XVIII wieku, kiedy to górnicy z Tarnowskich Gór po raz pierwszy uczcili swoją patronkę, św. Barbarę. Legenda o jej odwadze i męczeństwie stała się symbolem ochrony przed nagłą i niespodziewaną śmiercią. Za przyjęcie chrześcijaństwa ojciec wydał ją Rzymianom i sam wykonał wyrok sądu, który skazał ją na ścięcie. Według innych dawnych podań święta Barbara była ocalona przez cudowne otwarcie skały, w której ukryła się przed ojcem. Dlatego od pokoleń górnicy, geolodzy i wszyscy pracujący przy wydobyciu surowców z ziemi, proszą ją o opiekę.

Barbórka szybko stała się jednym z najważniejszych świąt zawodowych w Polsce. Dziś tradycje górnicze, w tym obrzędy barbórkowe, znajdują się na krajowej liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego, a Polska wraz z Austrią i Luksemburgiem ubiega się o ich wpisanie na listę UNESCO. Nie dziwi więc, że święto to ma tak duże znaczenie nie tylko dla wydobywających węgiel.

Nie tylko górnicy węgla

Choć w powszechnej świadomości górnik kojarzy się głównie z kopalnią węgla, Barbórka jest świętem znacznie szerszej grupy zawodowej. Obchodzą ją również górnicy naftowi i gazownicy – to oni eksploatują, wydobywają i zabezpieczają strategiczne surowce energetyczne kraju. Pracują na platformach, w kopalniach ropy i gazu, w podziemnych magazynach i odazotowaniach, dbając o to, by paliwa i gaz docierały do milionów odbiorców. Wśród świętują-



cych są także górnicy soli, siarki czy specjaliści pozyskujący hel.

W Grupie ORLEN Barbórka jest świętem całego segmentu wydobywczego – geologów, wiertników, geofizyków, ratowników górniczych, operatorów infrastruktury i pracowników magazynowania surowców. To ludzie, którzy kontynuują tradycję górniczej kultury pracy w nowoczesnej branży wydobywczej. Barbórka jest również świętem tradycji polskiego przemysłu naftowego, który we współczesnej formie narodził się pod koniec XIX wieku.

Chlubne tradycje

Historia rodzimego gazownictwa i przemysłu naftowego zaczyna się od człowieka, który wyprzedził swoją epokę. W 1854 roku Ignacy Łukasiewicz uruchomił w Bóbrce pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej – miejsce działające do dziś, będące żywym pomnikiem narodzin globalnej branży naftowej. Tam powstały jej podwaliny: pierwsze szyby, rafinerie i technologie pozwa-

lające wykorzystać ropę i gaz na skalę przemysłową.

Łukasiewicz tworzył nie tylko innowacje techniczne, lecz także nowoczesny etos pracy – zakładał kasy brackie, dbał o edukację pracowników i rozwój lokalnych społeczności. W kolejnych dekadach Polska rozbudowywała infrastrukturę gazową, tworzyła gazociągi, a gaz z Podkarpacia zasiliał pierwsze zakłady chemiczne. Dziedzictwo tamtego czasu jest dziś fundamentem, na którym ORLEN łączy 170 lat tradycji z nowoczesnymi technologiami i globalnym zasięgiem segmentu wydobywczego.

Święto całego górnictwa

W Grupie ORLEN Barbórka jest wyjątkowym świętem, łączącym wiekową tradycję z nowoczesnym przemysłem. To dzień szczególnie ważny dla pracowników segmentu wydobywczego: geologów, górników naftowych i gazowych, wiertników, geofizyków, ratowników, operatorów instalacji oraz wszystkich zaangażowanych w poszukiwanie,

wydobycie, magazynowanie i przesył gazu i ropy. Tego dnia, tradycyjnie odbywają się msze święte, przemarsze orkiestr górniczych, akademie z wręczeniem stopni górniczych, odznaczeń branżowych i wyróżnień, w tym Honorowej Szpady – jednego z najbardziej prestiżowych symboli w środowisku górniczym.

W ORLENIE Barbórka jest również czasem podkreślania roli pracowników Segmentu Upstream, ich odpowiedzialności i profesjonalizmu, które budują siłę polskiego sektora wydobywczego. To dzień, w którym tradycja staje się mostem do przyszłości – przypominając, że nowoczesne technologie i bezpieczeństwo energetyczne mają swoje źródło w pracy ludzi, przez pokolenia związanych z górnictwem gazowym i naftowym.

Dywersyfikacja kluczem do stabilności energetycznej

Stabilność energetyczna Polski coraz mocniej opiera się na działaniach Grupy ORLEN, która dzięki połączeniu tradycji z nowoczesno-

cią wspiera bezpieczeństwo energetyczne w regionie. Krajowe wydobycie gazu ziemnego utrzymuje się w ostatnich latach na poziomie ok. 3,5 mld m³ rocznie, co pokrywało blisko 20% rocznego zapotrzebowania. Kolejne miliardy metrów sześciennych pochodzą ze złóż eksploatowanych przez ORLEN na Norweskim Szelfie Kontynentalnym. Gaz z Norwegii, przesyłany bezpośrednio do Polski przez Baltic Pipe, jest dziś jednym z kluczowych filarów dywersyfikacji dostaw. Do 2030 roku ORLEN chce zwiększyć własne wydobycie – w kraju i za granicą – do 12 mld m³.

Równolegle rozwija się segment LNG. W 2024 roku terminal w Świnoujściu oraz dostawy z USA, Kataru i innych kierunków pozwoliły sprowadzić ponad 6 mld m³ gazu po regazyfikacji. Ważnym elementem są również podziemne magazyny gazu, których rozbudowa – m.in. PMG Wierchowice – zwiększy pojemność krajową do ponad 4 mld m³.

Dzięki temu ORLEN stabilizuje rynek energii i umo-

żliwia transformację energetyczną, w której gaz pełni rolę paliwa pomostowego wspierającego rozwój OZE oraz technologii wodorowych.

Symbol szacunku dla ludzi pracy

Barbórka przypomina, że fundamentem polskiej branży wydobywczej zawsze byli ludzie – ich wiedza, odwaga i gotowość do pracy w trudnych warunkach. Dziedzictwo Ignacego Łukasiewicza trwa dziś w nowoczesnych instalacjach, odwiertach, magazynach i projektach ORLENU. To połączenie tradycji i technologii pozwala budować stabilny i bezpieczny system energetyczny, z którego korzystają miliony Polaków.

W świecie pełnym zmian Barbórka jest momentem zatrzymania – czasem, w którym oddajemy szacunek górnikom naftowym i gazowym, pamiętamy o ponad 170-letniej historii, a jednocześnie patrzymy w przyszłość ku inwestycjom, które zapewnią bezpieczeństwo energetyczne kolejnym pokoleniom.

Film „Brat”. Kiedy dzieci biorą odpowiedzialność za całą rodzinę



FOT. L. BAK

„Brat” trafi w piątek 5 grudnia do krakowskich kin: Kika, Kijów, Pod Baranami, Cinema City i Multikino.

Paweł Gzyl
pawel.gzyl@polskapress.pl

„Brat” to poruszająca opowieść o sile rodzinnych więzi. Nowy polski film z nagrodzoną na tegorocznym festiwalu w Gdyni rolę Agnieszki Grochowskiej, od piątku 5 grudnia w kinach w Krakowie

„Brat” to nowe dzieło reżysera Macieja Sobieszczańskiego, mającego w swych dorobku takie produkcje, jak „Zgoda” czy „Performer”. Tym razem postanowił on odwołać się do własnych doświadczeń.

Głównym bohaterem filmu jest czternastoletni Dawid, który opiekuje się młodszym bratem i próbuje sprostać oczekiwaniom matki, która chce wyrwać się z toksycznej przeszłości i zacząć od nowa, bez męża osadzonego w więzieniu. Choć chłopak ma talent do judo, to w codzienności rozpiętej między szkołą, domem i ulicą coraz trudniej mu zachować kontrolę. Wszystko komplikuje się jeszcze bardziej, gdy w życie chłopca wkracza trener Konrad - jedyny dorosły, któremu Dawid naprawdę ufa. To jednak dopiero początek burzliwych wydarzeń, które mogą ostatecznie rozbić rodzinę Dawida albo ją ocalić.

- Wszystko zaczęło się od koncepcji na scenę, z jaką przyszedł na zajęcia jeden ze studentów, Grzegorz Puda. Scena była zaproszeniem do świata, który dobrze znam: dwóch synów wychowywanych przez matkę pielęgniarke. Obaj z Grzegorzem wychowaliśmy się w podobnych rodzinach. A że potrafiłmy spotkać się twórczo, zdecydowałem się wrócić do tej współpracy, kiedy szukałem pomysłu na nowy film. Chociaż opowiadamy fikcyjną historię, jest w niej sporo naszych osobistych doświadczeń - mówi reży-

ser. Choć krótka scena rozrosła się do scenariusza filmu fabularnego, w centrum wydarzeń pozostało jednak dwóch braci i matka. Agnieszka próbuje ocalić siebie oraz synów przed dziedzictwem przemocy, które rozpoczęli ich ojciec. Czternastoletni Dawid musi przyjąć rolę dorosłego, z którą sobie nie radzi. Jego młodszy brat Michał wierzy, że chroni rodzinę, ale jego decyzje będą miały tragiczne konsekwencje.

Matka chłopców to postać niejednoznaczna i pełna paradoksów. Wcieliła się w nią ceniiona aktorka Agnieszka Grochowska („Bez wstydu”, „Obce niebo”, „Kos”), która dołączyła do produkcji już na jej wczesnym etapie przygotowań.

- Maciek szuka nieoczywistych rozwiązań - najpierw jako scenarzysta, potem jako reżyser. Zaufałam mu już po naszych pierwszych rozmowach. Kiedy przeczytałam scenariusz, wyłonił się z niego brutalny obraz rodzicielstwa - daleki od tego, co sama chcę realizować. Ale znalazłam w nim także znajome obawy oraz to poczucie winy, że sobie nie radzisz, które dopada wielu z nas. W końcu jesteśmy tylko ludźmi - opowiada aktorka.

Dawid trenuje judo - i właśnie tym tropem poszli twórcy. Ostatecznie po wielomiesięcznych poszukiwaniach w kilkunastu miastach Polski, wybór padł na Filipa Wiłkomirskiego. To jeden z najzdolniejszych zawodników judo w swej kategorii wiekowej, który zdobywał Mistrzostwo Polski i medale na ważnych imprezach. Jego marzeniem jest zostanie mistrzem olimpijskim. Trenuje w klubie Hato Judo w Warszawie. Pasją do sportu zaraził go tata, Krzysztof Wiłkomirski, brązowy medalista Mistrzostw Świata i Europy, dwukrotny olimpijczyk.

Las szopek pod „Adasiem” na Rynku Głównym

Anna Piątkowska
anna.piatkowska@polskapress.pl

Pierwszy czwartek grudnia, samo południe - w Krakowie kolejna odsłona tradycji - Konkurs Szopek Krakowskich. W tym roku odbywa się 83. raz i już wiadomo, że padł rekord - zgłoszono 256 prac.

Marek Markowski przygotował swoją szopkę w duecie z... Markiem Markowskim. Szopki robi od ponad pół wieku. Jego tegoroczna praca to jedna z największych zaprezentowanych na Rynku Głównym szopek, o ile nie największa w tej edycji konkursu.

- Musi być architektura Krakowa i jakaś narracja - dla nas w tym roku opowieść była oczywista, to 1000-lecie koronacji, 500-lecie hołdu pruskiego i mniej oczywiste wydarzenie, jakim jest 100-lecie wystawy dekoracyjnej w Paryżu, gdzie Polska odniosła duże sukcesy, ale też po raz pierwszy szopka zaistniała na arenie międzynarodowej - mówi Marek Markowski.

Joanna Kłaś-Mystkowska, Irena Kłaś i Róża Kłaś to trzypokoleniowy zespół szopkarski, który po raz dwunasty bierze udział w konkursie. Prace nad tegoroczną szopką rozpoczęły w lutym, znalazły się w niej nawiązania do hołdu pruskiego, elementy Wawelu i krakowskiego renesansu, Kaplica Zygmuntowska. Twórczyźnie upamiętniły także Faustynę Kowal-



FOT. WOJCIECH MATUSIK

- W niedzielę ogłosimy kto zwyciężył w konkursie na najpiękniejszą szopkę - mówi Michał Niezabitowski.

ską, która od 25. lat jest świętą, a także 100-lecie urodzin prof. Wiktora Zinn. - Umieściliśmy fontannę, która stała przez 40 lat na Rynku - jest maleńka, ale widoczna - mówi Joanna Kłaś-Mystkowska. - Umieściliśmy też tramwaj na 150 lat komunikacji miejskiej w Krakowie. Jest tramwaj, który łączy w sobie wszystkie połączenia: jest tramwajem papieskim, ale wyjeżdża z numerem 1 spod Bramy Floriańskiej jak najstarszy omnibus. Swoją pracę nad szopką Joanna Kłaś-Mystkowska, Irena Kłaś i Róża Kłaś rozpoczęły w lutym.

Tradycyjnie w pierwszy czwartek grudnia, który w tym roku przypada 4 grudnia, szopkarze przyniosą swoje prace

na Rynek Główny. Po hejnale o godz. 12.00 wokół Rynku Głównego wyruszą korowód szopkarzy prowadzony przez kapelę ludową z Bronowic, potem swoje obrady rozpocznie jury, które wybierze najpiękniejszą szopkę. W tym roku konkurs odbędzie się po raz 83., choć sam zwyczaj chodzenia z szopką jest o wiele starszy. - To jest rekord absolutny, mamy zarejestrowanych 256 szopek, w zeszłym roku było ich 232. To najwięcej zgłoszonych szopek od początku konkursu, czyli od roku 1937. Widzę już pod pomnikiem Mickiewicza prawdziwe cacka, które będą budzić płomienne dyskusje jury - mówi Michał Niezabitowski, dyrektor Muzeum Kra-

kowa, które organizuje konkurs.

Szopka krakowska jest ewenementem na światową skalę. Bogato zdobione, wielowieżowe sceny o architekturze nawiązującej do zabytków Krakowa, przedstawiające misterium Bożego Narodzenia szopki, trafiły w 2014 roku na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. A od roku 2018 tradycja wykonywania szopek jest pierwszym wpisem w Polskiej liście reprezentatywnie niematerialnego dziedzictwa ludzkości UNESCO.

Oprócz obowiązkowych elementów szopki, czyli m.in. architektury Krakowa, co roku znajdują się w pracach szopkarzy elementy nawiązujące do bieżących wydarzeń, w tym roku to m.in. koronacja, rocznica hołdu pruskiego, w szopkach znalazły się także nawiązania do polityki, np. Donald Trump czy tramwaje jako symbol rocznicy jaką obchodzi MPK.

Tradycyjna jest też data ogłoszenia wyników - to pierwsza niedziela grudnia - jury nie ma więc dużo czasu, a w ubiegłym roku zgłoszono do konkursu rekordową liczbę szopek. 7 grudnia poznamy wyniki konkursu w kategoriach dorosłych, młodzieżowych oraz szopek OFF. Tydzień później jury ogłosi zwycięzców w kategoriach szkolnej, dziecięcych i rodzinnej.

Szopki można będzie oglądać na wystawie pokonkursowej od 8 grudnia do 1 marca 2026 roku w Krzysztoforach.

Jest porozumienie o minimalnych płacach dla artystów. „Żeby tworzyć trzeba też jeść”

Anna Piątkowska
anna.piatkowska@polskapress.pl

Koniec z głodowymi stawkami dla artystów? W Krakowie podpisano ważny dokument. „Przełomowa zmiana w polityce kulturalnej”

Dwie krakowskie instytucje sztuki: MOCAK i Bunkier Sztuki dołączyły do ogólnopolskiego porozumienia dotyczącego minimalnych wynagrodzeń dla artystów. „Kraków to nie tylko miasto wielkiej tradycji. To także miejsce, które wspiera tych, którzy tę tradycję współtworzą - artystki i artyści” - komentuje Aleksander Miszański.

27 listopada do Nowego Porozumienia - umowy zawartej między instytucjami kultury a środowiskiem artystycznym ustalającej minimalne honoraria dla osób artystycznych za udział



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Porozumienie podpisano w Krakowie

w wystawach - dołączyły Galeria Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki w Krakowie oraz Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

Porozumienie podpisali w magistraci w imieniu twórców Antoni Burzyński, Monika

Drożyńska, Katarzyna Górna i Marta Romankiv oraz Adam Budak - dyrektor MOCAK-u i Delfina Jałowik - dyrektorka Bunkra Sztuki. - Dzisiejsze wydarzenie to małe święto normalizacji warunków pracy artystycznej jest dla nas też bardzo ważnym znakiem, pokazuje, że współpraca samorządów i instytucji prowadzi do tego, że takie porozumienia można podpisywać, dlatego liczymy na to, że zaczyna się w Krakowie, ale w inne samorządy i instytucje pozwolą nam stworzyć godne warunki dla osób artystycznych do życia i tworzenia - mówił Antoni Burzyński kurator i przewodniczący Obywatelskiego Forum Sztuki Współczesnej.

Nowe Porozumienie jest inicjatywą OFSW - stowarzyszenia zrzeszającego osoby artystyczne i działające profesjonalnie w polu sztuki współczesnej. To umowa,

która ustanawia nowy standard współpracy oraz transparentne zasady wynagrodzeń. Określana jest jako przełomowa zmiana w polityce kulturalnej. - Chcielibyśmy skończyć z mitem, że artysta martwy albo głodny. Artysta, który ma siłę tworzyć, ma co jeść, za co zapłacić rachunki jest tym artystą, który stworzy coś wartościowego - mówiła artystka Katarzyna Górna z OFSW.

Porozumienie to konkretna ustalenia dotyczące stawek wypłacanych artystom. Zgodnie z dokumentem stawki te nie mogą być niższe niż pensji minimalnej za prezentację już istniejących prac i dwie pensje minimalne za stworzenie pracy na potrzeby wystawy. Duża wystawa indywidualna ma oznaczać, że na konto artysty wpłynie co najmniej sześć pensji minimalnych. To tylko niektóre z finansowych uzgodnień. ©

POLSKA i ŚWIAT

Polityczna debata o finansach służby zdrowia na dwa głosy

Karolina Wrońska
Warszawa

Narodowy Fundusz Zdrowia nie jest bankrutem i jest wypłacalny - zapewnił w czwartek na szczycie medycznym w Warszawie premier Donald Tusk. Drugi szczyt zorganizuje dziś prezydent.

Szczyty medyczne, organizowane przez ministra zdrowia Jolantę Sobierającą-Grendę w czwartek i prezydenta Karola Nawrockiego w piątek, skupiają się na problemach finansowania ochrony zdrowia. Deficyt NFZ w przyszłym roku szacowany jest na około 23 mld zł.

- Narodowy Fundusz Zdrowia nie jest bankrutem i jest wypłacalny - zapewnił na szczycie premier Donald Tusk. - NFZ jest nie tylko wypłacalny, ale jest również rzetelnym płatnikiem - dodał. - W obrocie gospodarczym jest mało tak rzetelnych płatników jak NFZ, jeśli chodzi o płacenie tego, do czego się zobowiązał wobec podmiotów - podkreślił premier.

Wyjaśnił też, że co roku pojawia się problem z wykonywaniami limitowanymi. - Będziemy tu szukać rozwiązań - podkreślił szef rządu.

Finansowanie ochrony zdrowia stało się sprawą polityczną po tym, gdy okazało się, że deficyt NFZ w przyszłym roku szacowany jest na około 23 mld zł.

Ekspertiści podkreślają, że w sytuacji niedoboru pieniędzy na leczenie możliwe jest albo znalezienie oszczędności w systemie, albo zwiększenie dotacji z bu-



FOT. PAP/RAFAŁ GUZ

Donald Tusk podkreśla, że rozmowa o służbie zdrowia powinna być odizolowana od konfliktów politycznych

dżetu państwa, albo zwiększenie wpływów ze składki zdrowotnej, np. przez jej podniesienie. NFZ jest bowiem w większości finansowany ze składki zdrowotnej. Dodatkowo zasilany jest dotacją z budżetu państwa.

We wrześniu premier Donald Tusk zapowiedział jednak, że rząd nie będzie podnosił składki zdrowotnej. Szefowa resortu zdrowia pytana wówczas, czy będzie w stanie przekonać ministra finansów do większego dotowania systemu, odparła: „Wierzę, że jeżeli pokażę, jak chcę mądrze i racjonalnie wydać te pieniądze, to minister finansów i parlamentarzyści wyrażą na to zgodę”.

Z projektu planu finansowego NFZ na 2026 r. wynika, że jego przychody wyniosą 217,4 mld zł, w tym wpływy ze składki zdrowotnej - 184,3 mld zł, a dotacja podmiotowa z budżetu państwa - 26 mld zł.

Jednak już jesienią NFZ alarmował, że w przyszłym roku

BARBÓRKA

- Barbórka to moment, w którym cała Polska patrzy w stronę ludzi ciężkiej pracy, odpowiedzialnej i niezbędnej. Ludzi, którzy stąpają mocno po ziemi, a swoim codziennym trudem zapewniają bezpieczeństwo energetyczne milionom rodaków - powiedział prezydent do obchodzących swoje święto górników. Podziękował za ich pracę, która - jak dodawał - wymaga odwagi, hartu ducha, kompetencji i zaufania do współpracowników.

Wiceminister finansów w rządzie Beaty Szydło usłyszał zarzuty „przyjęcia korzyści majątkowych”

Katarzyna Kapusta-Gruchlik
Warszawa

Były wiceminister finansów Konrad R. usłyszał zarzuty „przyjmowania korzyści majątkowych w zamian za pośrednictwo w załatwieniu spraw”. Chodzi o kwotę 1,5 miliona złotych.

Były wiceminister finansów usłyszał zarzuty przyjmowania korzyści majątkowych w zamian za pośrednictwo w załatwieniu spraw różnym przedsiębiorcom. Łączna wartość przyjętych korzyści przekracza 1,5 mln złotych. Śledztwo w tej sprawie pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Łodzi prowadzą funkcjonariusze - poinformował Jacek Dobrzyński, rzecznik prasowy Ministra Koordynatora Służb Specjalnych.

Konrad R. w latach 2015-2016 pełnił funkcję wiceministra finansów w rządzie Beaty Szydło. Do 2020 roku był człon-

„*- Kiedy mówimy o katechezie w parafii, to w żaden sposób nie oznacza to, że rezygnujemy z lekcji religii w szkole*

bp Wojciech Osiał przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego KEP

PODKARPACIE

Wybuch telefonu komórkowego

Do groźnego zdarzenia doszło w nocy ze środy na czwartek w internacie w Ropczycach. Około 40 minut po północy w jednym z pomieszczeń doszło do wybuchu telefonu komórkowego.

Jak relacjonuje Polskie Radio Rzeszów, według informacji przekazanych przez dyżurnego Straży Pożarnej, w wyniku zdarzenia osiem małoletnich osób zostało poszkodowanych i trafiło do szpitala na obserwację. Jedną z nich odniosła lekkie oparzenia. Poszkodowanymi są obywatele Ukrainy w wieku od 16 do 18 lat.

- Na szczęście nie doszło do pożaru. Strażacy przy użyciu mierników gazowych sprawdzili pomieszczenia, aby wykluczyć obecność toksycznych gazów, zabezpieczyli miejsce zdarzenia i przewietrzyli budynek. Po ponownym sprawdzeniu obiektu mieszkańcy mogli wrócić do internatu - mówił st. bryg. Marcin Betleja, rzecznik prasowy Podkarpackiego Komendanta Wojewódzkiego PSP. Marcin Trzyna

KRÓTKO

SEJM

Komisja „klepnęła” 7 poprawek

Sejmowa Komisja Finansów Publicznych w czwartek zajmowała się poprawkami do projektu budżetu na 2026 r., zgłoszonymi w drugim czytaniu. Z 99 poprawek zarekomendowała przyjęcie siedmiu. Projekt budżetu teraz trafi na głosowanie Sejmu. Wśród poprawek, które zostały zaaprobowane, jest przesunięcie 5 mln zł w ramach budżetu NIK, przesunię-

cie środków na wspólną infrastrukturę informatyczną państwa czy na nową siedzibę RDOŚ w Gorzowie Wlkp. Inne poprawki dotyczą stworzenia trzech etatów - w Brukseli i Genewie - dotyczących zdrowia czy wpisania do wykazu zadań programu polegającego na budowie statków dla uczelni morskich, na który środki zostały już zapisane w budżecie. PAP

WARSZAWA

Konferencja „Media Przyszłości”

Ekspertka w zakresie strategii technologicznej i transformacji cyfrowej prof. Pinar Ozcan podczas wystąpienia otwierającego VI konferencję PAP „Media Przyszłości”. W programie znajdują się m.in. wystąpienia ekspertów oraz panele dyskusyjne o tym, jak media mogą odnaleźć się w świecie zdominowanym przez AI.

AUTOPROMOCJA



**Czytaj tak,
jak lubisz**

dziennikpolski24.pl

DZIENNIK POLSKI

INFORMATOR MEDYCZNY

Jeżeli chcecie Państwo umieścić ogłoszenie:

Zadzwońcie: 12 688-84-40

Wysyłajcie maile:
reklama.krakow@polskapress.pl

REKLAMA

0010985747



www.cor-med.com

CENTRUM CHOROŚ SERCA

PEŁNA DIAGNOSTYKA

**KONSULTACJE ORDYNATORÓW,
PROFESORÓW I DOCENTÓW**

♦ Echo serca i naczyń (Doppler kolor)

♦ EKG ♦ EKG wysiłkowe ♦ Holter ♦ Holter ciśnieniowy

Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 118

Rejestracja tel. (12.00 - 17.00)

012 636 44 22

REKLAMA

0011441807

BEZ PANIKI

Gdy liczy się czas - zasady bezpiecznej ewakuacji



**Auditorium
Maximum UJ**
ul. Krupnicza 33 A,
Kraków

**8 grudnia 2025 r.
godz. 18.00-20.00**

**UDZIAŁ
BEZPŁATNY**
Liczba miejsc
ograniczona

BEZPŁATNE PORADNIKI EWAKUACYJNE DLA UCZESTNIKÓW!

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW BUDŻETU PAŃSTWA

Ochrona ludzkości i obrona cywilna

www.badzgotow.pl

Rubio: Polska zajmie należne miejsce w G20 podczas szczytu w Miami

Marcin Koziestański
USA

- Polska dołączy do G20, aby zająć należne jej miejsce - ogłosił sekretarz stanu USA Marco Rubio. Szczyt przywódców największych gospodarek świata odbędzie się w grudniu 2026 r. w Miami.

Marco Rubio ogłosił w środę, że Polska dołączy do G20, aby „zająć należne jej miejsce w gronie największych gospodarek świata”. Stany Zjednoczone objęły przewodnictwo w grupie w poniedziałek. Rubio podkreślił, że USA po raz pierwszy od 2009 roku będą gospodarzem spotkania 20 największych gospodarek świata. Zaznaczył, że szczyt będzie okazją do docenienia wartości innowacyjności, przedsiębiorczości i wytrwałości, które „uczyniły Amerykę wielką i wyznaczają ścieżkę do dobrobytu dla całego świata”.

- Będziemy zapraszać przyjaciół, sąsiadów i partnerów na amerykański szczyt G20. Przy amerykańskim stole powitamy największe gospodarki świata,



FOT. PAP/EP/ARTAL TREZINZINOR

Sekretarz Stanu USA Marco Rubio: Polska obecnie jest w gronie 20 największych gospodarek świata

a także rozwijających się partnerów i sojuszników - dodał Rubio.

W komunikacie zwrócił uwagę na rolę Polski: „W szczególności Polska, kraj, który dawniej tkwił w pułapce za Żelazną Kurtyną, a obecnie jest w gronie 20 największych gospodarek świata, dołączy do nas, aby zająć należne jej miejsce w G20. Sukces Polski dowodzi, że skoncentrowanie się na przyszłości jest lepszym rozwiązaniem niż skupianie się na pretensjach”.

PAP

Marcin Koziestański
USA/Ukraina

Ambasadorka Ukrainy w USA, Ołha Stefaniszyna, oceniła, że rozmowy amerykańskich przedstawicieli z Władimirem Putinem nie przyniosły znaczącego przełomu. Zapowiedziała kolejne negocjacje Ukrainy z USA.

Stefaniszyna stwierdziła, że wtorkowe rozmowy przedstawicieli USA z Władimirem Putinem na Kremlu nie przyniosły wyraźnych rezultatów. Jednocześnie poinformowała, że kolejna runda konsultacji między Ukrainą a USA ma odbyć się w czwartek, 5 grudnia w Miami. W jej ocenie Waszyngton mógłby silniej oddziaływać na Rosję.

Dyplomatkę odniosła się do spotkania wysłanników Stanów Zjednoczonych - Steve'a Witkoffa oraz Jareda Kushnera - o czym mówiła dziennikarzom w amerykańskim Senacie, gdzie zabierała głos na temat uprowadzonych ukraińskich dzieci.

- Ukraina podjęła wszelkie możliwe wysiłki na rzecz zakoń-



FOT. PAP/TYTUS ZMIJEWSKI

Ołha Stefaniszyna: Jeśli chodzi o spotkania w Moskwie oraz kolejne działania, które mogłyby zostać podjęte, to nie ma zbyt wielkiego postępu, ale to jest proces

czenia wojny i zapewnienia sprawiedliwego i trwałego pokoju w naszym kraju. Poświęciliśmy dużo czasu na komunikację ze stroną amerykańską. (...) Jeśli chodzi o spotkania w Moskwie oraz kolejne działania, które mogłyby zostać podjęte, to nie ma zbyt wielkiego postępu, ale to jest proces - podkreśliła Stefaniszyna.

Zapowiedziała również rozmowy w Miami, w których

ukraińskiej delegacji przewodniczyć będzie Rustem Umierow. - Dopiero po tej rozmowie możemy wyciągnąć jakieś wnioski - zaznaczyła.

Pytana o słowa Donalda Trumpa, który ocenił, że Putin dąży do pokoju, ale „do tanga trzeba dwojga”, Stefaniszyna odwołała się do wypowiedzi szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha. Ten w jednym z wywiadów mówił,

że jego wymarzonimi gośćmi na wspólnej kolacji byłiby Trump, Putin i Wołodymyr Zełenski, a w menu znalazłyby się steki, frytki i rosyjski dressing. - Pokój z rosyjskim dressingiem to nie jest pokój, jakiego my chcemy - skomentowała ambasadorka.

Zwróciła również uwagę, że Ukraina ma poparcie obu stron politycznych w Kongresie. Wyraziła nadzieję, że przełoży się ono na decyzję o wprowadzeniu dodatkowych sankcji wobec Rosji. Podkreśliła, że działania nie powinny być odkładane w czasie.

- Nie powinniśmy czekać do jutra. Rosja do jutra zdąży popełnić wiele zbrodni. Nie osiągnęli porozumienia na Alasce. Nie zorganizowali spotkań w Budapeszcie. Nie negocjowali w dobrej wierze w sprawie tej 28-punktowej propozycji. Wystarczy. A prezydent Trump powinien mieć do dyspozycji większe środki nacisku. Myślę, że Senat mógłby mu to umożliwić w dalszych negocjacjach - powiedziała.

PAP

Biały Dom: Nie wykluczamy obław na nielegalnych imigrantów podczas meczów mistrzostw świata

Daniel Świerzewski
USA

Szef zespołu Białego Domu ds. organizacji piłkarskich mistrzostw świata Andrew Giuliani powiedział w środę, że nie może wykluczyć zatrzymywania nielegalnych imigrantów na stadionach.

Giuliani odpowiadał w środę na pytania zagranicznych dziennikarzy dotyczące organizacji przyszłorocznego mundialu w USA, Kanadzie i Meksyku. Niemal wszystkie pyta-

nia dotyczyły obaw kibiców i turystów dotyczących wjazdu do USA w związku z zaostrzeniem polityki migracyjnej, w tym z wprowadzeniem całkowitego zakazu wjazdu dla obywateli - jak to ujął prezydent Donald Trump - „krajów Trzeciego Świata”.

MŚ mają być bezpieczne

Giuliani przyznał, że liczba krajów objętych zakazem prawdopodobnie zostanie zwiększona z obecnych 19 krajów (w tym Haiti i Iranu, które

zakwalifikowały się do mistrzostw), przekonywał jednak, że twierdzenia, jakoby USA pod rządami Donalda Trumpa były nieprzyjemne dla przybyszów z zagranicy, to „fikcja”.

- Prezydent chce zapewnić, by ludzie mogli jeździć do Stanów Zjednoczonych legalnie. W ten sposób możemy zapewnić, że mistrzostwa będą bezpieczne - powiedział. Zapewnił, odpowiadając na pytanie PAP w tej sprawie, że rozporządzenie Trumpa o zamknięciu granic dla obywateli niektórych państw zawiera wyjątki, co umożliwi

przyznanie wiz uczestnikom turnieju z Haiti i Iranu. Tego samego nie powiedział jednak o kibicach tych drużyn.

Obławy na nielegalnych imigrantów?

W odniesieniu do wcześniejszych wypowiedzi ministrowi bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem o możliwości przeprowadzania operacji służb imigracyjnych przeciw nielegalnym imigrantom na stadionach Giuliani nie wykluczył takich działań.



FOT. IMAGO/MATTHIAS KOCH/EAST NEWS

Piłkarskie mistrzostwa świata w 2026 roku odbędą się w Kanadzie, Meksyku i USA

- Rozmawiamy o tym cały czas. Jedno jest pewne: prezydent nie wyklucza niczego, co

mogłoby poprawić bezpieczeństwo amerykańskich obywateli - zaznaczył. PAP

REKLAMA

0011441695

LISTY DO ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

weź udział w konkursie i wygraj wymarzony prezent

Organizator:

DZIENNIK POLSKI

Mecenas Akcji:





PULS
#193

FOTOkomentarz tygodnia



FOT. PAP/EP/CLEMENS BILAN

1 GRUDNIA, NIEMCY. **Widoczna na zdjęciu rzeźba Eduarda Chillidy, stojąca przed niemieckim urzędem kanclerskim, symbolizuje pojednanie. Jednak konsultacje międzyrządowe Polski i Niemiec trudno uznać za jego przykład. Szefowie rządów obu krajów Donald Tusk i Friedrich Merz (stoją po lewej, dokonując przeglądu warty) niby w wielu kwestiach się zgadzają, od pomocy dla Ukrainy poczynając, ale też w wielu dzieli ich bardzo dużo. A apel polskiego premiera o to, by Niemcy wreszcie udzielili pomocy ofiarom II wojny światowej pozostał bez odpowiedzi**



FOT. PAP/LESZEK SZYMANSKI

3 GRUDNIA, WĘGRY. **Prezydenci krajów Grupy Wyszehradzkiej na jarmarku bożonarodzeniowym w Ostrzyhomiu. Czy toasty pomogą ożywić ten format? Miły początek nie musi oznaczać ciągu dalszego**



FOT. PAP/EP/CHAMILA KARUNARATHNE

1 GRUDNIA, SRI LANKA. **Tragiczny w skutkach cyklon Ditwah zdevastował Sri Lankę. W wyniku powodzi śmierć poniosło niemal 500 osób, kolejnych 400 uważa się za zaginione. Rząd mówi o najgorszym tsunami od 2004 r. - ale lokalni mieszkańcy są wściekli na władze za brak skutecznej akcji ewakuacyjnej**



FOT. PAP/EP/ALI HAIDER

3 GRUDNIA, ZJEDNOCZONE EMIRATY ARABSKIE. **Budowano je 16 lat, otwarcie cztery razy przesuwano. Ale powstało: imponujące muzeum pamięci Zajida ibn Sultana Al Nahajjana, pierwszego prezydenta kraju**

DZIENNIK OPINII

Liliana Sonik

ZROBIMY Z KRAKOWA
MIASTO TRANZYTOWE?

Dwa tygodnie temu Komisja Europejska wniosowała do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej o nałożenie na Polskę kar za uporczywe przekraczanie w aglomeracji krakowskiej dopuszczalnego poziomu dwutlenku azotu (NO₂). Źródłem NO₂ są spaliny samochodowe. Nie będę straszyć listą następstw ekspozycji na NO₂ i tylko zauważę, że chodzi o jednostki chorobowe naprawdę paskudne. Eksperci twierdzą, że wyrok niekorzystny dla Polski jest pewny. Będziemy płać kary?

Czy w tej sytuacji w dalszym ciągu chcemy za pomocą S7 zrobić z historycznego miasta Kraków miasto tranzytowe?

Chyba nie do końca rozumiemy, co jest stawką drogowej układanki.

W jednej z telewizji powiedzieli, że większość Polaków domaga się szybkiej drogi do Zakopanego, ale to może się nie udać, bo budowie S7 na południe nonsensownie sprzeciwiają się podkrakowskie wiochy. Chociaż przeciw S7 protestują też władze Krakowa, chociaż słowo „wiocha” nie padło, ani słowo „warchoły”, to tak wymowę materiału odebrali protestujący.

Bo w południowych dzielnicach Krakowa i w okolicznych miejscowościach wrze. Zapowiedź budowy na tych terenach 3-pasmowej S7 wywołała opór o skały, której nikt się nie spodziewał. Zwłaszcza nie przewidzieli decydenci.

Protesty gromadzą setki ludzi, nawet w środku dnia, gdy trzeba zwolnić się z pracy. Protestują młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Nawet dzieci i osoby na wózkach. Czyżby byli egoistami broniącymi swojej chałupy wbrew dobru wspólnemu?

Proszę nie wierzyć takiej opowieści. Sytuacja wygląda zgoła inaczej.

PRZEZ MIASTO KRAKÓW, nie w pobliżu, tylko właśnie PRZEZ MIASTO biegnie niestannie zakorkowana autostrada A4. Według Generalnego Pomiaru Ruchu w rejonie Zakopianki przemieszcza się tu nawet 80 tys. pojazdów na dobę. A powstająca Beskidzka Droga Integracyjna (S52) ma być połączona z którymś z wariantów S7 i wtedy ruch na przecinającej miasto A4 wzrośnie o dodatkowe tysiące pojazdów na dobę. Ponieważ A4 nie ma takiej przepustowości, planuje się jej rozbudowę do 3 pasów w każdą stronę.

Kilka dekad temu tak cieszyło się nowymi drogami, że dopuszczono trasę A4 przez miasto. Teraz świadomość ewoluowała. Chcemy czystego powietrza i braku zanieczyszczenia światłem i hałasem... Potężnym wysiłkiem zlikwidowano w Krakowie kopciuchy, zakazano nawet kominków i palenia drewnem (choć to odnawialne źródło), a teraz mamy wpuszczać do miasta dodatkowy strumień samochodów, w tym tiry? No nie!

W niektórych punktach A4 biegnie zaledwie 6 km od Wawelu. Podczas gdy w Polsce centralnej wiatr wieje od Atlantyku po Ural, Kraków leży w niecce, gdzie wszystko się kisi. W dodatku w ostatnich dekadach bezmyślnie zabudowano naturalne korytarze powietrzne. W efekcie mamy naprawdę potężny kłopot. A powstanie S7 w projektowanych wariantach sytuację pogorszy.

Czy w trzeciej dekadzie XXI wieku powinniśmy w historycznym mieście budować autostradę obsługującą nie tylko ruch lokalny i aglomeracyjny, ale także ruch ciężarowy, tranzytowy i turystyczny?

Jeśli w dalszym ciągu uważacie Państwo, że protesty przeciw S7 z Krakowa do Myślenic są fanaberią mieszkańców okolicznych wiosek, to znaczy, że czegoś nie rozumiecie. Problem z S7 żywo dotyczy Krakowa.

Pod presją bezpośredniego i pośredniego wpływu S7 na życie mieszkańców znalazły się niemal wszystkie południowe tereny miasta. Zwłaszcza Jugowice, Swoszowice, Opatkowice, Rajsko, Wróblowice, Soboniewice, Zbydniowice, Kosocice, Prokocim-Bieżanów, Kurdwanów, Piaszki Wielkie, Rząka. Do tego doliczyć należy powiaty krakowski i wielicki.

Tu żyje jedna trzecia mieszkańców województwa małopolskiego. Milion ludzi.

Są jeszcze koszty społeczne. Weźmy przykład gminy Świątniki Górne. Z długą historią i silną tożsamością. Nazwa wzięła się stąd, że będąc osadą służebną Katedry Krakowskiej, Świątniki zapewniały dzwonników, zwłaszcza do dzwonu Zygmunta. Pełnienie tych obowiązków zwalniało świątniczian z pańszczyzny. A kiedy w XVI wieku biskup krakowski sprowadził tu z Italii rusznikarzy, zrodziła się trwająca do dziś tradycja pracy z metalem. Założona w XIX wieku Szkoła Ślusarska kształciła mistrzów ślusarskich, gdzie poza nauką zawodu uczono księgowości i dwu języków obcych. Ta najmniejsza w Polsce gmina miejsko-wiejska jest gęsto zaludniona. Mieszka tu 545 osób na km kw. Jeśli zostanie przecięta którymś z projektowanych wariantów, w zasadzie przestanie istnieć jako gmina i jako społeczność.

W perspektywie wszystkiego, co powyżej, gadanie, że tranzyt przez Kraków skraca trasę tirom i turystom, jest żałosne. Już teraz każdego dnia ok. 40 tys. aut przejeżdża przez miasto tranzytem. A po oddaniu BDI będzie gorzej.

Nam potrzeba zupełnie nowego myślenia! Minęły czasy fastrygowania. Bo planowane warianty S7 zostały wymyślone jako fastryga - w duchu poprzedniego wieku. Jeśli leci z nami pilot, to czas najwyższy, żeby się ujawnił.

Arlena Sokalska

JAKI PIĘKNY BYŁ TEN SPACER PO MOSKWIE...



Każdy, kto tak jak ja (i wszyscy z mojego pokolenia) musiał uczyć się języka rosyjskiego, pamięta pewnie piosenkę „A ja idu, szagaju pa Maskwie”. Czyli, „Idę, spaceruję po Moskwie”. Trochę jak specjaliści wysłannicy Donalda Trumpa - jego zięć Jared Kushner i Steve Witkoff. Bo właśnie spacer po Moskwie zdaje się głównym elementem ich „rozmów pokojowych” ze stroną rosyjską. Rodzina Kushnera wywodzi się z Nowogródka (dziś Białoruś). Tak, tego samego, w którym urodził się Adam Mickiewicz. Co nie zmienia faktu, że w rodzinie Trumpów jedyną osobą, która choć trochę rozumie, czym jest Rosja, wciąż pozostaje urodzona w Słowenii Melania. Kushner to biznesmen, podobnie, jak Witkoff, a ich celem jest zdaje się po prostu ukucie jakiegoś dobrego interesu z Rosjanami. Bo o żadnych rozmowach pokojowych nie ma tu mowy.

Gdyby do stołu siedli dyplomaci: ministrowie spraw zagranicznych trzech stron: USA, czyli Marco Rubio, Ukrainy Andrij Sibiha i Rosji Siergiej Ławrow, nie mieliby o czym rozmawiać. Bo żadnych konkretów nie ma na stole - a dyplomaci nie rozmawiają o biznesie, tylko o konkretach. A o tym, jak bardzo strony rosyjskiej konkrety nie interesują, świadczy choćby wypowiedź doradcy Putina Jurija Uszakowa, który panów biznesmenów z USA nazwał „tymi dwoma, którzy dziś przybyli na Kreml”. Zaś sam Putin kazał im na siebie czekać aż półtorej godziny. Jak ocenił to znany ukraiński publicysta Witalij Portnikow, po prostu car przybywa na spotkanie nie wtedy, kiedy ono ma się odbyć, ale wtedy, gdy on ma na to ochotę.

A spotkanie zakończyło się niczym, bo niczym zakończyć się musiało. Putin, który uwielbia, żeby wszystko było „zgodnie z prawem” (właśnie po to zmienił np. konstytucję Federacji Rosyjskiej, w której zapisano, że Krym oraz obwody ługański, doniecki, chersoński i zaporoski są częścią Rosji), doskonale wie, że zarówno Kushner, jak i Witkoff nie mają żadnego umocowania prawnego w amerykańskiej administracji do prowadzenia poważnych rozmów.

Zatem Kirył Dmitriew na koniec oprowadził tę jakże ważną amerykańską delegację po Moskwie. Jej członkowie byli zachwyceni. Nic dziwnego, Moskwa robi wrażenie. I wybija się nie tylko na tle reszty kraju (ok. 1/4 mieszkańców Federacji Rosyjskiej, czyli ponad 25 milionów osób nie ma wewnętrznej toalety w domu czy mieszkaniu), ale i na tle innych światowych stolic. Przy okazji Witkoff już miał usłyszeć propozycję zrobienia biznesu amerykańsko-rosyjskiego wartego 200 miliardów dolarów. I jest gotowy, podobnie jak Donald Trump, przehandlować Ukrainę.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko posłuchać piosenki Zbigniewa Wodeckiego „Spacer po Moskwie”. To oczywiście przeróbka tamtego słynnego hitu z czasów ZSRR. Posłuchać i zachwycić się, jak panowie Kushner i Witkoff. Nic innego nam nie pozostało...

*„A ja po Moskwie idę sobie dziś
i mógłbym chyba przejść w ten zmierny
ocean i sto mórz, sto rzek
i tundrę, tajgę też.
Rozwinę żagle wiatrom wszystkich mórz,
choć nie wiem jeszcze z kim.
A gdy za domem będę tęsknił już,
spod śniegu kwiat przytulę do swych ust
i wspomnę miasto z nim,
i wspomnę miasto z nim”.*

Adam Bula

O CZYM BY TU JESZCZE POWAŻNIE NIE POROZMAWIAĆ?



Całkiem bez echa przeszła informacja, że pani prezydentowa Marta Nawrocka przeszła właśnie na emeryturę. Nabyła uprawnienia po 18 latach służby w Krajowej Administracji Skarbowej, objętej - jak cała mundurówka i wiele innych branż - emerytalnymi specprzywilejami. To mógłby być dobry pretekst do poważnej rozmowy, gdzie my z tym całym systemem jesteśmy i jak szybko zwali się on nam na głowę. No tylko kto z kim miałby rozmawiać poważnie?

Pani Marta skorzystała z obowiązujących przepisów i nie jest to tekst o niej. Choć działami na wyobraźnię fakt, że 39-letnia kobieta ma przed sobą 43 lata pobierania emerytury (zakładając, czego prezydentowej życzą, jako minimum średni czas życia kobiet w Polsce, rosnący stale i dziś wynoszący już ponad 82 lata).

Nie jest to też tekst o tym, że nie bardzo rozumiem, czym praca kontrolera skarbowego różni się w kontekście emerytalnym od pracy kontrolera w tramwaju. To ograny już wątek o policjancie z biura logistyki, który w życiu nie wyszedł na uliczny patrol. Sam pamiętam męczący dysgust, gdy poznałem post-górnika ledwie po 40, który szukał sobie hobby na resztę życia (ostatecznie wszedł w kolarstwo długodystansowe).

Problem z rozbuchanymi przywilejami emerytalnymi jest u nas „od zawsze”, częściowo zresztą to jeszcze spadek po PRL. Nieruszany, bo jedyne, co łączy naszą klasę polityczną to aksjomat, że poważnych problemów się nie rusza. Cena, jaką zapłacił poprzedni rząd Tuska za podniesienie wieku emerytalnego w 2012 r., została przez polityków zapamiętana na zawsze. Jak i profity, jakie uzyskał PiS, odkręcając wszystko w 2016 r.

Pozostanie więc nam na kolejne lata ponad milionowa armia emerytów po 40 i reszta, która będzie musiała dociągnąć do swoich 60 i 65 lat, czekając na świadczenia, które NA PEWNO będą coraz bardziej głodowe. O czym wszyscy doskonale wiedzą.

No tylko jak wyobrazić sobie choćby próbę poważnej dyskusji o tym, nie mówiąc już o próbie wprowadzenia istotnych zmian, ratujących system przed nieuniknionym kolapsem. No nie da się.

Więc może służba zdrowia, która zalicza kolejny kryzys, kiedy w NFZ pod koniec roku pojawia się nieplanowana dziura. Rząd, tradycyjnie dla wszystkich kolejnych rządów, dzielnie usiłuje bagatelizować problem, po cichu dosypując awaryjnie kasę do niewydolnego systemu. Na co wrzeszczy opozycja. Dziś to PiS, który - swoim zwyczajem - sięga od razu po najcięższy młotek wyjąc, że Polacy masowo umierają przez Tuska na SOR-ach.

Konfederację za to obchodzi tylko, że leczymy za darmo Ukraińców. Stanisław Tysza wrzuca z lubością wpisy, że w 2024 r. wydaliśmy na ich leczenie aż 2,2 mld zł. Co z tego, że w tym samym roku obywatele Ukrainy zapłacili prawie 4 mld zł składki zdrowotnej.

Można więc poprawnie napisać też: dzięki Ukraincom Polacy mieli w 2024 r. aż 1,8 mld zł więcej na leczenie. No można, ale czy to pomoże w rozmowie z Konfederacją?

A tu na scenę wchodzi jeszcze prezydent Nawrocki, zapraszając do siebie wszystkich zainteresowanych ratowaniem służby zdrowia. Ten sam prezydent, który przez ostatnie tygodnie obraził się i żąda przeprosin od kogo się da, wetując i nie podpisując, co tylko się da. Prezydent, który rzuca rządowi i Sejmowi swoje pomysły na stół z przesłaniem: bierzcie i uchwalajcie bez zbędnego gadania, oto słowo pańskie.

Więc rząd, na szybko, robi sobie spotkanie na temat służby zdrowia dzień wcześniej, by „nie oddawać narracji”. Czy z tego pojawi się jakikolwiek plan, jak uzdrowić służbę zdrowia? Oczywiście, że nie. Poważne zmiany to wystawienie się na taki sam łatwy strzał, jaki zaliczył Tusk z wiekiem emerytalnym.

To może chociaż bezpieczeństwo, armia i polityka zagraniczna? Zapomnij, z jednej strony Błaszczak z PiS, zajęty udowadnianiem, że tylko on umiał wydawać na armię pieniądze, z drugiej nowa ekipa prezydencka z panem Cenckiewiczem na czele, która - łagodnie rzecz ujmując - coraz bardziej pachnie macierewiczowskimi szajbami.

Warto to sobie uświadomić w Adwencie. Osiągnęliśmy - MY - niewiarygodny sukces cywilizacyjny przez dane nam 35 lat wolności. I nie pojedziemy już dalej. Nawet całkiem niezłe urządzone państwa, jak nasze, wymaga od czasu do czasu - jak wszystko - generalnego remontu jakiejś ważnej części.

Tylko że nasz serwis jest na stałe zamknięty, bo trwa tam jakaś absurdalna bójka.

Będziemy zapraszać przyjaciół, sąsiadów i partnerów na amerykański szczyt G20. W szczególności Polskę, kraj, który dawniej tkwił w pułapce za Żelazną Kurtyną, a obecnie jest w gronie 20 największych gospodarek świata, dołączyć do nas, aby zająć należne jej miejsce w G20

CZEKAMY NA BOŻE NARODZENIE I MOCNO TRZYMAMY SIĘ ZA PORTFELE

Niespodzianek nie ma: w tym roku też będzie Boże Narodzenie i też będzie drogo. Większość z nas nie zamierza jednak wydać na święta więcej niż zazwyczaj. Jak przyoszczędzimy? Kupimy mniej prezentów, wykorzystamy stare ozdoby albo sami je zrobimy. Co wcale nie znaczy, że te święta będą gorsze niż poprzednie – w końcu najważniejsza nie jest liczba prezentów, a atmosfera panująca przy świątecznym stole

Dorota Kowalska

Małgorzata, 58 lat, księgowa. Od lat organizuje wigilie u siebie w domu. Przychodzą: jej tata (mama zmarła wiele lat temu), córka z mężem i dziećmi, w tym roku będą też rodzice zięcia. W sumie ma u siebie 9 osób.

- Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Cały czas gdzieś biegamy, wszyscy mają swoje sprawy. Boże Narodzenie to tak naprawdę jeden z niewielu momentów, kiedy możemy zwolnić, porozmawiać, nacieszyć się sobą – opowiada. Potrawy wigilijne przygotowuje już kilka dni wcześniej, a przynajmniej to, co może powstać w lodówce czy zamrażalce. Są więc pierogi z kapustą i grzybami, śledzie, karp, w Wigilię gotuje zupę grzybową, robi kapustę z grzybami i grochem. Każdy też przynosi coś ze sobą, kładzie na stole.

- Myślę, że w tym roku wydam na święta około 2 tysięcy złotych! – mówi. - Dużo - wrzusa ramionami.

Bo przecież trzeba jeszcze kupić choinkę, jakieś wędliny, kawałek ciasta, zawsze robi też na święta sałatkę jarzynową i taką z pomidorów, mozzarelli, rukoli i oliwek. No i są prezenty: dla wnuków, męża, dzieci.

- Staram się nie szaleć. Nienawidzę wyrzucać jedzenia, więc to nie jest tak, że w święta wypada mi ono z lodówki. Robię takie zakupy, jakie muszę zrobić, ale pewnych rzeczy nie przeszkoczę – tłumaczy.

Nie jest z tych, którzy biorą pożyczki albo kredyty na święta, ale tak – to finansowo ciężki dla niej czas.

- W tym roku na pewno jest drożej niż w zeszłym – Małgorzata nie ma co do tego wątpliwości. Widzi to po paragonach z supermarketów, o małych sklepach nie mówi.

Trzymamy się za portfele

To prawda, będzie drożej. Podwyżki cen na 2025 roku zaplanowało aż 48 proc. firm, tylko jedna trzecia z nich już ich dokonała. Pozostałe, a więc praktycznie 30 proc. ogółu, czekają na ostatnie miesiące, a nawet tygodnie 2025 roku. Powód planowanego albo już dokonanego wzrostu cen? Rosną koszty energii, paliw i kosztów pracy: podwyżki płac i związane z tym obciążenia chociażby na rzecz ZUS.

Podwyżki swoich cen i usług planują przede wszystkim małe firmy, więc możemy się zdziwić, idąc tuż przed świętami do fryzjera, krawca, ulubionego butiku czy cukierni za rogiem.

Firmy z podwyżkami czekają, bo liczą na efekt psychologiczny: przed świętami wydajemy więcej niż zazwyczaj, jesteśmy przyzwyczajeni do określonych produktów i kupimy je, nawet jeśli będą o kilka złotych droższe.

Dodatkowo kryzys, inflacja i rosnące koszty sprawiły, że Boże Narodzenie z trzech ostatnich lat było skromne, a jest trochę tak, że jeśli sytuacja się poprawia, chcemy odreagować chude lata i stajemy się bardziej rozrzutni.

Chociaż wygląda na to, że nie zamierzamy szaleć pieniędzmi. Na tegoroczne zakupy świąteczne 56 proc. Polaków planuje przeznaczyć podobną kwotę jak rok wcześniej – wynika z badania Santander Consumer Banku „Polaków Portfel Własny: E-commerce od święta”. Co piąty uczestnik sondażu (19 proc.) planuje zwiększyć wydatki, a 14 proc. ograniczyć budżet. Wyższe koszty planują przede wszystkim osoby w wieku 30-39 lat (27 proc.).

W grupie osób planujących większe wydatki 77 proc. wskazało, że to efekt rosnących cen, część stwierdziło, że ma dłuższą



Świątecznych symboli nie brakuje. Sklepy pełne są ozdób, wszędzie grają świąteczne piosenki, na platformach pełno jest filmów związanych z Bożym Narodzeniem

listę prezentów (32 proc.), inni chcą pozwolić sobie na droższe i lepsze upominki (22 proc.), a niektórzy organizują święta u siebie lub podejmują większą grupę gości i dlatego muszą liczyć się z wyższymi kosztami (15 proc.).

Jednak jest grupa respondentów, która planuje zmniejszyć w tym roku świąteczne wydatki. Głównym powodem jest ograniczona sytuacja materialna – stwierdziło tak 31 proc. badanych. Częściej na ten powód wskazywały kobiety (34 proc.) niż mężczyźni (26 proc.). Problem ten dotyczy głównie osób o najniższych dochodach – do 2999 zł.

Jak chcemy przyoszczędzić na świętach? 26 proc. badanych planuje kupić mniej prezentów, a 23 proc. zamierza wykorzystać ozdoby świąteczne z poprzednich lat lub przygotować je samodzielnie. Według badania to kobiety częściej niż mężczyźni starają się kontrolować domowe finanse – 45 proc. z nich ogranicza wydatki na co dzień, a w przypadku mężczyzn to 10 proc.

Ile wydamy na święta? Jedna czwarta Polaków na zakupy w sklepach internetowych przeznaczy na święta do 500 zł. Tę kwotę wskazywali najczęściej najmłodsi dorośli 18-29 lat (34 proc.), 28 proc. nie przekroczy

1000 zł, a prawie jedna na pięć osób deklaruje wydatki między 1001 zł a 2000 zł (19 proc.). Więcej niż 2000 zł zamierza przeznaczyć jeden na dziesięciu badanych.

Z kolei 13 proc. Polaków nie zamierza robić świątecznych zakupów w sieci. Częściej są to mężczyźni (15 proc.) niż kobiety (11 proc.), a podobne nastawienie mają zarówno seniorzy (16 proc.), jak i osiemnastolatki (15 proc.).

Szał jarmarków

Magda, 27-latką, pracuje. Mieszka sama, ale święta spędza w rodzinnym domu.

- Na szczęście, inaczej nie dałabym rady finansowo – przyznaje. Bo wiadomo: odpada jej przygotowanie Wigilii i całych świąt. Jak to się mówi, jedzie na gotowe.

- Ale i tak na święta wydam ponad 500 złotych. Jest drożej niż w zeszłym roku, więc wydam więcej – tłumaczy. I tak: od lat robią sobie kilka dni przed 24 grudnia Wigilię z przyjaciółmi. Stara paczka, znają się właściwie od szkoły podstawowej. Każdy na kolację coś przynosi, ona – krokiety. W tym roku nie będzie miała czasu ich zrobić, więc kupi u pani Eweliny w osiedlowym sklepiku. Ta zawsze przed Wigilią ma u siebie robione ręcznie pierogi, uszka, krokiety – 11 złotych za sztukę, ale zprezenty: dla mamy, taty, babciom na szczęście podarki przygotowują rodzice. No i prezent dla osoby z paczki, bo zawsze robią losowanie i kupują sobie coś pod choinkę. W tym roku wylosowała Maćka. Dobrze, z prezentem nie będzie problemu, bo Maciek to mól książkowy. Mają się zmieścić w kwocie 100 złotych, więc pewnie będzie jeszcze coś oprócz książki.

- Co do prezentów stawiam na oryginalność, zawsze odwiedzam jarmark bożonarodzeniowy, można tam znaleźć coś ciekawego – mówi. - Tanio nie jest! – dodaje ze śmiechem.

To prawda, ale Polaków ogarnął szal jarmarkowy. Jeżdżą na jarmarki bożonarodzeniowe do Pragi, Wiednia, Berlina, Gdańska czy Warszawy.

Popularny youtuber Książulo postanowił sprawdzić, co można zjeść i za ile na jarmarku bożonarodzeniowym w stolicy. Irzeczywiście, tanio nie jest.

Pierwszym posiłkiem Książulo, czyli Szymona Nyczke, była kanapka ze smalcem za 11 zł. - Smakuje jak pasztet, naprawdę.



FOT. ALEKSY WITWICKI

Jarmarki bożonarodzeniowe są w każdym większym mieście. Ale narzekamy na ceny – wszystko drogo kosztuje

Gdzieś się zagubił taki smalcowy klimat – ocenił youtuber.

Kawałek boczku można dostać na jarmarku pod Pałacem Kultury za 10 zł, przy czym był on, zdaniem Książula, ledwo ciepły i zbyt tłusty. Pita z kurczakiem kosztowała 35 zł. Za kanapkę z mięsem grillowanym zapłacił 54 zł, a za miszkę barszczu świątecznego 25 zł.

- Ale słone. Sama sól. To w ogóle nie smakuje burakiem – stwierdził.

Za grzaniec na jarmarku w Warszawie trzeba zapłacić 20 zł. Cynamonki kosztują 17,90 zł, oscypki z żurawiną 9 zł, a herbata z miodem z własnej pasieki 15 zł. Bratwurst czy currywurst – 40 zł, miniburgery – 39 zł.

Diabelskim młynem przejdziemy się za 45 zł, a karuzelą za 20 zł.

Ceny na jarmarku bożonarodzeniowym w Krakowie też nie zaskakują – drogo, nawet bardzo. 8 sztuk pierogów kosztuje 45 zł, 10 sztuk – 50 zł, 12 sztuk – 55 zł, 400 ml grzańca – 40 zł, za pajdę ze smalcem lub osełką czosnkową trzeba zapłacić 18-19 zł, a „w wypasionej wersji” 56 zł. Uroczę kubki, które mogą być prezentem pod choinkę, można kupić od 25 do 30 zł, są też rękodzieła, kosze z wikliny, haftowane obrusy, ozdoby.

Jesteśmy tradycjonalistami

Święta Bożego Narodzenia są dla nas ważne. Jak wynika z badania CBOS, dla większości Polaków (62 proc.) to w pierwszej kolejności święto rodzinne. Tylko dla niespełna co piątego Polaka (19 proc.) to głównie przeżycie religijne, dla co dziesiątego (10 proc.) miła tradycja, dla co dwudziestego (5 proc.) wypoczynek i przerwa od pracy.

Z kolei z badania „Sztuka przeżywania świąt według Polaków”, zrealizowanego przez serwis Prezentmarzeń, wynika, że aż 73 proc. Polaków odczuwa silniejsze emocje podczas świąt. Dominują głównie pozytywne uczucia (81 proc.), takie jak radość (33 proc.) i wdzięczność (20 proc.), ale dla części święta to stres i zdenerwowanie (37 proc.).

Najważniejszymi czynnikami wpływającymi na emocje w okresie świątecznym są spotkania rodzinne (45 proc.) oraz przygotowania do świąt (37 proc.). 39 proc. ankietowanych wskazało, że to organizacja uroczystości w domu przysparza im najwięcej stresu, a 29 proc. odczuwa niepokój związany z kupowaniem prezentów.

Dla 6 proc. osób Boże Narodzenie jest doskonałą okazją do refleksji i poprawy relacji z innymi. Czas spędzony z rodziną jest jednym z najważniejszych aspektów Bożego Narodzenia. Aż 48 proc. respondentów wskazało, że właśnie te chwile przynoszą im największą radość. 57 proc. respondentów deklaruje, że święta przeżywa bardziej świadomie, jedynie dla 23 proc. osób są one mniej ważne. Na liście ulubionych wspomnień z dzieciństwa królują: kolacja wigilijna, rozpakowywanie prezentów, wspólne koledowanie. Trzymamy się tradycyjnych zwyczajów: 2 proc. Polaków pielęgnuje wspólne ubieranie choinki, a 20 proc. wciąż przygotowuje kolację wigilijną z 12 potraw.

- Obdarowywanie bliskich prezentami to nie tylko tradycja, ale także wyraz emocji i troski. Ponad 56 proc. respondentów podkreśla, że prezenty odzwierciedlają nasze relacje rodzinne i przyjacielskie. Dla 62 proc. Polaków są one ważne. Ich wartość nie opiera się jedynie na wymia-

rze materialnym, ale także na symbolice i emocjach, które towarzyszą przy ich wręczaniu. Co ciekawe, 67 proc. respondentów otrzymało kiedykolwiek prezent w formie przeżyć, co pokazuje również rosnącą popularność doświadczeń jako formy obdarowywania. Coraz więcej osób docenia prezenty w formie przeżyć. W erze materializmu stawiamy na wspólne chwile i wartości, które pozostają z nami na dłużej – mówi Michał Krasoń z serwisu Prezentmarzeń.

Przygotowania do Wigilii postrzegane są w różnorodny sposób – 27 proc. uczestników uznaje je za przyjemność, a dla 33 proc. to duże obciążenie. Respondenci często korzystają z zakupów online przy organizowaniu prezentów (44 proc.), preferują wygodę i elastyczność. 41 proc. Polaków przygotowuje większość potraw samodzielnie, a 36 proc. tylko niektóre z nich, podczas gdy 12 proc. korzysta z gotowych dań. Jesteśmy silnie przywiązani do tradycji kulinarnych i procesu przygotowań.

Nie wpaść w świąteczny szal

Ewa, razem z mężem, bo Marek świetnie gotuje, podobnie jak Małgorzata święta przygotowują wcześniej. Rozkładają też zakupy, nie robią ich w ostatnim tygodniu przed świętami, ale już w listopadzie sprawdzają, co im potrzeba, co można kupić wcześniej, i to kupują. Wtedy, jak tłumaczy, nie ma takiego szoku cenowego.

- Pierogi, uszka lepimy jakieś dwa tygodnie przed świętami – mówi Ewa. Wszystko potem mrozą, wyciągają w Wigilię, wrzucają na gotującą się wodę i gotowe.

- Czasami też wcześniej przygotowuję bigos, bo jemy go

na święta. Wcześniej piekę ciasta – dodaje. Nie ona jedna wychodzi z założenia, że nie ma sensu wszystkiego zostawiać na ostatnią chwilę.

- Chociaż mam w pracy koleżanki, które biorą przed świętami trzy dni wolnego i nie wychodzą z kuchni – wzrusza ramionami.

Starają się nie przesadzać ze świątecznymi zakupami, ale i tak, jak przyznają, wydadzą na święta jakieś 1500 złotych. Podrożało, jak wyliczają, niemal wszystko: chleb, ser, jaja, warzywa, owoce. W 2024 roku ceny kawy na światowych rynkach poszły w górę aż o 87 procent, cena kakao, w którego – jak wiemy – robi się czekoladę, przez rok wzrosła o 145 procent. Więć o czym tutaj mówić?

- Prezenty sobie kupujemy, ale wcześniej. Z tym też nie czekamy na ostatnią chwilę – wtrąca Marek. Robią listę: na zwisko, a obok pomysł na prezent.

Mają na kolacji wigilijnej dzieci, czyli 14-letnią Zosię, 18-letniego Adama i rodziców. Pytają dzieci, co chciałyby dostać pod choinkę, podobnie rodziców. Jeśli zobaczą coś niebanalnego w wrześnień co październiku, kupują już wtedy. Dla rodziców starają się przygotować coś z pomysłem: zafundować im jakiś weekendowy wyjazd, dobry masaż czy wyjście do teatru.

- Wszyscy sporo czytamy, więc książki również sprawdzają się jako prezenty – mówi Marek.

I dodaje, że najważniejsze to nie wpaść w świąteczny szal. - Nas zresztą na to nie stać – wybucha śmiechem.

Jego kuzyn, Wojtek, 44-latek, ojciec dwójki dzieci, nie ukrywa, że w tym roku podarki pod cho-

inką będą skromne. W ramach prezentu idą z żoną w styczniu na koncert. Antek, syn, dostanie piłkę, córka zestaw farbek, bo uwielbia malować, do tego jakieś słodczyce. Tyle.

Według badania IBRIS wydatki świąteczne przeciętnego gospodarstwa domowego wyniosły w 2024 roku 1575,95 zł, to stanowi wzrost o około 8 proc. w porównaniu do roku 2023. I najwyższy wynik w ostatnich pięciu latach, co w opinii autorów raportu może być efektem inflacji, ale także większej gotowości do świątecznych wydatków.

Co ciekawe, jak zauważono w raporcie, chociaż kwota przeznaczana na święta rośnie, zmienia się struktura wydatków. Prezenty były dla respondentów mniej ważne niż kiedyś – w 2024 roku Polacy przeznaczali na nie 51 proc. budżetu świątecznego, podczas gdy w 2023 roku było to 66 proc. To prawda, część osób czy rodzin rezygnuje z robienia sobie prezentów – bo drogo, bo kłopot. Inni stawiają na symboliczne drobizgi.

Przy świątecznym stole

Mimo że jesteśmy tradycjonalistami, celebруем święta Bożego Narodzenia, to jednak stopniowo zmieniamy do nich stosunek.

- Z roku na rok coraz więcej Polaków przyznaje, że świąt Bożego Narodzenia po prostu nie lubi. To nie jest tak, że kiedyś wszyscy je uwielbiali, tylko teraz coraz więcej osób ma od wagę powiedzieć to wprost. Przykładowo w badaniu Amazon i IBRIS 20 procent mileniśców i 33 proc. osób z pokolenia Z przyznało, że dzielenie się opłatkiem jest dla nich dyskomfortem i nie lubi tego rytu-

ału podczas Wigilii – mówi dr Bartosz Kicior, socjolog z Uniwersytetu SWPS.

I tłumaczy, że zwłaszcza dla kobiet presja świątecznych przygotowań i związana z tym harówka – sprzątanie, gotowanie – są przytłaczające. Coraz mniej pań chce spędzać przedświąteczny czas na szorowaniu podłóg i ścieraniu kurzu, a potem święta w kuchni. Dlatego z roku na rok rosną w tym okresie obroty firm cateringowych, coraz więcej też osób na Boże Narodzenie po prostu wyjeżdża.

Z badań RMF wynika, że w 2023 roku blisko 10 proc. Polaków wyjechało na święta z kraju. Z pozostałych 90 proc. badanych, którzy zostali w Polsce, też nie wszyscy spędzili Boże Narodzenie w domu rodzinnym.

- Chodzi o to, żeby po prostu przez te trzy, cztery dni odpocząć, nie robić zbyt dużo, a dla wielu pobyt w domu to właśnie praca. Ten, kto wykupuje taki wyjazd, inwestuje przede wszystkim w spokój. Płaci za to, że nie musi sprzątać mieszkania na błysk, bo przyjedzie rodzina i będzie oceniać, dekorować dom, przygotowywać albo zamawiać tych wszystkich potraw. Gdy spojrzymy na koszty związane z jedzeniem, a także wydatke czasowy i energetyczny, to czasem okazuje się, że te trzy dni spędzone w hotelu z posiłkami nie wychodzi wcale tak drogo – tłumaczy dr Bartosz Kicior.

Na świąteczne wyjazdy udajemy się najczęściej z rodziną, czasem z rodziną i przyjaciółmi. Coraz częściej spędzamy święta tylko w kręgu najbliższych. Rzadziej spotykamy się przy świątecznym stole z dalszą rodziną, chcemy uniknąć trudnych pytań i rozmów o polityce. Zwłaszcza kobietom przeszkadza poruszanie prywatnych tematów i dociekliwości wujków, cioci, dalekich kuzynów.

Dla tych, którzy świętują tradycyjnie, bardzo ważny jest aspekt ekonomiczny.

- Wydajemy coraz więcej pieniędzy nie tylko dlatego, że wszystko więcej kosztuje, ale też z chęci pokazania się, zrobienia wrażenia np. na członkach rodziny. Niektórzy kupują online drogę przedziewczy zastawę stołową ozdoby świętami po to, żeby zaraz po Bożym Narodzeniu wykorzystać możliwość odstąpienia od umowy, na którą mamy 14 dni, i zwrócić zakupy. To trend wynikający z niezdrowego podejścia do swojego wizerunku – podkreśla dr Bartosz Kicior.

Właśnie, bo chyba najważniejszy jest zdrowy rozsądek. Przecież święta to spotkanie z bliskimi, chwila oddechu od codziennej bieganiny. Najważniejsza nie jest świąteczna zastawa, ale atmosfera panująca przy świątecznym stole. PAP

NAJCENNIJSZE DZIEŁO ZRABOWANE PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ. CZY „PORTRET MŁODZIEŃCA” KIEDYKOLWIEK WRÓCI DO KRAKOWA?

516 tysięcy dzieł sztuki i ponad 22 miliony woluminów to liczby strat wojennych, jakie podaje ministerialny Wydział Restytucji Dóbr Kultury. Odnoszą się jedynie do znanych i zarejestrowanych zbiorów. Trudno oszacować rzeczywistą skalę strat poniesionych przez Polskę podczas II wojny światowej. Najśłynniejsza wojenna strata polskich zbiorów to dzieło ukradzione z Krakowa – „Portret młodzieńca” Rafaela Santi. Co o nim wiemy?

Anna Piątkowska

La polskie straty wojenne uznaje się ruchome dobra kultury utracone w wyniku II wojny światowej z terenów Polski po 1945 roku, pochodzące zarówno ze zbiorów publicznych, prywatnych, jak i kościelnych.

W czasie działań wojennych z polskich kolekcji zaginęły takie dzieła, jak: „Portret młodzieńca” Rafaela Santi, „Zwiastowanie pastora” Rembrandta, „Diana i Kalisto” Rubensa, XVI-wieczna „Madonna z Dzieciątkiem (zw. Głogowską)” i „Kuszenie św. Antoniego” Lucasa Cranacha Starszego, „Leżąca łwica”, rysunek XV-wiecznego mistrza Albrechta Dürera i jego miedzioryt „Melancholia”, obraz Antona van Dycka „Ecce Homo”. To zaledwie kilka zrabowanych dzieł, o których wiadomo, że podczas wojny nie zostały zniszczone, a ukradzione.

Obszerny katalog dzieł zrabowanych i wywiezionych z Polski znajduje się na stronie dziela-utracone.gov.pl.

Najcenniejsze zrabowane dzieło z polskich zbiorów

Po II wojny światowej w krakowskich zbiorach nie odnaleziono takich dzieł, jak należąca do wawelskiej kolekcji akwarela Juliana Fałata „Widok Krakowa”, fragmentu tryptyku ołtarza z Lusiny dzieła Wita Stwosza lub wykonanego w jego warsztacie (część ołtarza odzyskano – znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie); środkowego fragmentu – „Matka Boska zwraca cyrograf św. Teofilowi” – nadal nie udało się odnaleźć. Ale najśłynniejszą stratą jest „Portret młodzieńca” Rafaela Santi.

„Straty wojenne Muzeum Narodowego w Krakowie obejmują łącznie 1163 obiekty, w tym straty wojenne dzieł sztuki z MNK to 836 obiektów, a 327 to obiekty z Kolekcji Czartoryskich. Są to przedmioty zrabowane przez niemieckich okupantów, którymi między innymi dekorowano siedziby Głównego Guber-

natora, urzędy niemieckie i niektóre lokale użytkowe” – czytamy na stronie Muzeum Narodowego w Krakowie. Po wojnie odzyskano m.in. obrazy Leonarda da Vinci i Rembrandta z tych zbiorów, do dziś nie odnaleziono jednak „Portretu młodzieńca”.

Namalowany w 1514 roku obraz należał do kolekcji Czartoryskich i przed wojną prezentowany był w krakowskim muzeum. Portret nie zawiera podpisu malarza, ale historycy sztuki przypisują jego autorstwo Rafaelowi.

Przedstawia młodego mężczyznę w czarnej czapce na głowie, ubranego w białą koszulę, na którą zarzucone ma futro. Za postacią widoczne jest okno, przez które widać włoski krajobraz. Obraz może przedstawiać samego malarza – historycy sztuki wskazują podobieństwo bohatera do innego autoportretu malarza. Obraz jest bezcenny, ale kwota, jaka pada w jego kontekście, to około 100 milionów dolarów.

„Portret młodzieńca” trafił do polskich zbiorów w pierwszej poł. XIX wieku za sprawą księżnej Izabeli Czartoryskiej, która w rodzinnej rezydencji w Puławach gromadziła zabytki o znaczeniu historycznym i kulturalnym. Kiedy w Krakowie powstało Muzeum Czartoryskich, obraz był w nim prezentowany.

O jego wojennych losach wiadomo tyle, że tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku został ukryty w majątku Czartoryskich w Sieniawie, m.in. z obrazem Leonarda da Vinci. Skrytka została jednak splądrowana i jeszcze w tym samym roku portret trafił do Berlina – w przyszłości miał się znaleźć w planowanym przez Hitlera w Linzu muzeum sztuki. Nigdy ono jednak nie powstało. Obraz został wpisany do specjalnego katalogu zabytków przejętych przez Niemców na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie otrzymał numer 141. Z Berlina w 1943 roku „Młodzieniec” wrócił do Kra-



„Portret młodzieńca” Rafaela Santi

kowa – przejęty przez gubernatora Hansa Franka zawiął w jego rezydencji na Wawelu.

Latem 1944 roku Frank zdecydował o przygotowaniu zbiorów sztuki przechowywanych w Krakowie do ewakuacji. Obraz wraz z innymi dziełami sztuki prawdopodobnie został zdeponowany w Sichowie na Dolnym Śląsku. Trzy skrzynie wybranych dzieł sztuki trafiły do Bawarii: była wśród nich „Dama z gronostajem” i „Krajobraz z miłośnikiem Samarytaninem”, które odzyskano do polskich zbiorów. „Portretu młodzieńca” miało w skrzyniach jednak nie być ze względu na nieporęczne wymiary deski, na której namalowano obraz. Tu ślad po arcydziele się urywa: nie jest wspomniany ani w notatkach, ani w zeznaniach świadków.

W 2012 roku polskie media (powołując się na źródła w MSZ)

donosiły, że zaginiony obraz Rafaela spoczywa bezpiecznie w jednym z bankowych sejfów, jednak resort zdementował te pogłoski.

To on odzyskał „Damę z gronostajem”

W poszukiwaniu „Portretu młodzieńca” zaangażował się jeszcze podczas wojny historyk sztuki, prof. Karol Estreicher jr – bezskutecznie, choć na swoim koncie ma on rewindykację wielu najcenniejszych zrabowanych dzieł.

Karol Estreicher już w czasie wojny zaczął tworzyć podstawy prawne do przyszłej rewindykacji dzieł, w związku z czym w 1945 roku Polska była jedynym krajem przygotowanym do odzyskania skarbów: była kartoteka zrabowanych obiektów i prawdopodobne miejsce, gdzie mogły się znajdować. Es-

treicher – jako jedyny Polak – został zaliczony do grupy tzw. Monuments Men, czyli alianckich historyków sztuki, którzy odnawiali po wojnie zabytki. Wcześniej był też zaangażowany w ewakuację najcenniejszych zabytków wawelskich, m.in. arrasów i Szczerbca.

Estreicher ma swój ogromny wkład w to, że 30 kwietnia 1946 roku do Krakowa przyjechał transport 40 wagonów historii Polski – był tam m.in. ołtarz mariacki, „Dama z gronostajem”, a także 7 wagonów mienia uniwersyteckiego.

Zrabowane dzieła wróciły na Wawel

W grudniu 2021 roku po siedemdziesięciu latach na Wawel powrócił zrabowany obraz Leona Wyczółkowskiego „Góralka/Wiejska dziewczyna w żółtej chuście”, odzyskany dzięki staraniom MKiDN. Rok wcześniej pracownicy Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zidentyfikowali obraz na jednej z aukcji. Szybko udało się potwierdzić proveniencję obrazu i dzięki temu mógł on również szybko wrócić do zbiorów wawelskich.

W lipcu 2024 roku na Zamek Królewski w Krakowie powróciła kolejna strata wojenna – to „Śmierć łwana”, obraz lwowskiego malarza Kajetana Stefanowicza. Na ślad akwareli trafiono po tym, jak jej zdjęcia zostały opublikowane w mediach społecznościowych. Resort kultury zgłosił sprawę policji – tak kryminalni trafili do posiadacza utraconej akwareli.

Rok wcześniej do królewskiej rezydencji powróciła „Lekcja rysunku” Jana Mauritsa Quinkhardta. Dzieło trafiło na Wawel w 1927 roku wraz z kolekcją prof. Jerzego Mycielskiego; zaginęło w czasie wojny. W 2022 roku obraz trafił do jednego z krakowskich domów aukcyjnych, gdzie został rozpoznany jako strata wojenna. Wła-

ściciel nie miał świadomości, że to zrabowane dzieło. Po rozpoznaniu zwrócił obraz prawowitemu właścicielowi.

Do najbardziej znaczących strat wojennych Zamku Królewskiego na Wawelu należą obiekty z działu malarstwa dawnego, wśród nich „Pejzaż nadbrzeżny” i „Krajobraz z zagrodą i nasypem” Jana van Goyena, „Siwy koń na tle krajobrazu” Paulusa Pottera, „Święta Katarzyna Aleksandryjska z donatorem” XVI-wiecznego malarza włoskiego i „Scena rodzinowa” Isaaca van Ostade. Wśród dzieł sztuki polskiej XIX i XX w. najdotkliwszą pod względem artystycznym stratę stanowią dzieła Piotra Michałowskiego, Maksymiliana Gierymskiego, Artura Grottgera, Jana Rembowski, Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego czy rzeźby Xawergo Dunikowskiego.

Królewską taszkę prokurator badał ponad dekadę

W listopadzie 2025 roku z Wawelu do wielkopolskiego Kórnik wyjechała taszka – element siodła króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. To także strata wojenna, którą rozpoznano, kiedy w 2013 roku zaproponowano Zamkowi Królewskiemu na Wawelu jej zakup.

Od tego czasu trwało długie i skomplikowane śledztwo prokuratorskie, a taszka czekała w magazynach. Została zrabowana ze zbiorów Biblioteki Kórnickiej i właśnie trafiła do prawowitego właściciela. – Odzyskaliśmy ponad 800 różnych obiektów naszego dziedzictwa kulturowego, natomiast cały czas jesteśmy w wielu procesach restytucyjnych: złożonych jest ponad 200 wniosków w 18 krajach na całym świecie. Tylko w tym roku udało się w wyniku takich wniosków odzyskać 25 obiektów. Ostatnio udało się odzyskać obiekt ze Stanów Zjednoczonych, lada chwila ogłosimy naprawdę przełomowy powrót ogromnego kawałka naszej historii, który został skradziony podczas II wojny światowej – informowała w listopadzie Marta Cienkowska, minister kultury i dziedzictwa narodowego.

Zrabowane obiekty niejednokrotnie są dziś w rękach prywatnych. Ich obecni właściciele często nie mają tej świadomości, wystawiając je na aukcjach, gdzie bywają rozpoznane jako straty wojenne. Potem najczęściej rozpoczynają się negocjacje, ponieważ dzieł zrabowanych państwo nie odkupuje – są zwracane właścicielowi.

Królewską taszkę jej właścicielka oddała, natomiast proces sprawdzania dzieł wojennych zabytków od czasu kradzieży, dochodzenie prokuratorskie, badania historyków, którzy dociekali autentyczności przedmiotu i drogi, jaką przez te lata przeszedł, trwały 12 lat.

Terror w służbie władzy

ZORGANIZOWANA PRZEMOC

– Funkcjonariusze bezpieki stali się symbolem narodowej zdrady i zaprzaństwa
– podkreśla dr hab. Filip Musiał, dyrektor Oddziału IPN w Krakowie

– Dlaczego komuniści, narzucając Polsce swoją władzę, od razu sięgnęli po zorganizowaną przemoc?

Filip Musiał: – Już Włodzimierz Lenin pisał, że „Proletariatowi niezbędna jest władza państwowa, scentralizowana organizacja siły, organizacja przemocy, zarówno w celu złamania oporu wyzyskiwaczy, jak dla kierowania olbrzymią masą ludności: chłopstwem, drobnomieszczaństwem, półproletariuszami, przy uruchamianiu gospodarki socjalistycznej”.

– Tak działo się na wschodzie...

– Nie zrozumiemy powojennej historii Polski jeśli nie przyjmimy prawd podstawowych. Władza komunistyczna była całkowicie nielegalna. Została narzucona Polsce przez Moskwę, a to że składała się z Polaków nie zmieniało istoty rzeczy. Administracja komunistyczna nie była przez Polaków wybrana, nie cieszyła się ich poparciem, a wynikała jedynie z woli Józefa Stalina. To sowiecki przywódca powołał ją do życia w Moskwie, a potem nakazał przerwienie jej do Polski (w jej powojennych granicach wstępnie przyjętych w Teheranie, a potwierdzonych w Jałcie i Poczdamie – bez wiedzy i zgody prawowitych, konstytucyjnych władz polskich). Była zaprzeczeniem wolnej II Rzeczypospolitej. Jej powołanie było możliwe dzięki rozbiću przez Sowietów prawowitej władzy działającej konspiracyjnie w okupacyjnym

kraju czyli Polskiego Państwa Podziemnego. Ukoronowaniem tego procesu było skazanie, pod fikcyjnymi zarzutami, w haniebnym procesie w Moskwie wicepremiera konstytucyjnego rządu polskiego – Delegata Rządu na Kraj Jana Stanisława Jankowskiego i jego piętnastu współpracowników.

– Po przemoc sięgnięto tylko po to, aby zdobyć władzę?

– Nie. Bezprawna administracja, która miała sprawować władzę w Polsce z woli Stalina i dzięki Armii Czerwonej, potrzebowała owej kreślonej przez Lenina zorganizowanej przemocy, nie tylko po to by władzę przejąć, ale by potem ją utrzymać. W pierwszym etapie zorganizowaną przemoc zapewnili Sowiet, którzy rozbili struktury Polskiego Państwa Podziemnego i do jesieni 1945 r. prowadzili własne działania wymierzone w polskie ośrodki niepodległościowe – bez nich polscy komuniści sami nie zdołaliby zapanować nad polskim społeczeństwem.

– Skąd czerpano kadry?

– System terroru budowano w Polsce pojałtańskiej na wzór sowiecki. Pierwsze kadry, które miały odpowiadać za stworzenie struktury urzędów bezpieczeństwa przygotowywano w Sowietach w szkole NKWD w Kujbyszewie. Później bezpieka była zasilana przez osoby wskazane przez partię komunistyczną, partyzantów komunistycznej Armii Ludowej, ko-



Minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz z funkcjonariuszami UB kończącymi kurs w Poznaniu

munistów walczących w sowieckiej partyzancie czy członków rozmaitych formacji militarnych i dywersyjnych tworzonych w ZSRS na potrzeby działań wojennych.

– Kim byli funkcjonariusze bezpieki?

– Olbrzymia większość funkcjonariuszy spełniała założenie klasowej bliskości czyli wywodziła się ze środowisk robotniczych i chłopskich. Przytłaczająca większość była bardzo słabo wykształcona. Tworzyli aparat represji, który w szczytowym momencie rozwoju liczył ponad 30 tys. funkcjonariuszy. Obok UB ministrowi bezpieczeństwa publicznego podporządkowane były kolejne formacje: Milicja Obywatelska, Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego

czy Wojska Ochrony Pogranicza. Dziesiątki tysięcy osób, które miały stabilizować komunistyczną władzę. Jak bowiem podkreślał Stanisław Radkiewicz – minister bezpieczeństwa publicznego – „Funkcjonariusz bezpieczeństwa, milicjant, żołnierz KBW, czy ORM-wiec to nie tylko urzędnik z pistoletem, karabinem, czy automatem, to człowiek świadomy swej klasowej postawy, to bojownik walczący o ugruntowanie Demokracji Ludowej, o Socjalizm w Polsce”.

– Stali się bezwolnym orężem w rękach sowieckich?

– Bezpieka nazywana była – tak jak sowieckie służby – mieczem i tarczą komunistycznego państwa, a w istocie partii komunistycznej. Mieczem, bo była powołana do zwalczania „reakcji” czyli

wszystkich środowisk, które sprzeciwiały się sowietyzacji, albo potencjalnie mogły się jej sprzeciwić. Tarczą, bo miała chronić dyktaturę i jej elitę władzy przed społeczeństwem. Słowem, Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a później Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego i Służba Bezpieczeństwa, miało zwalczać polskie dążenie do niepodległości, czy jakiegokolwiek przejawy oporu wobec komunistycznej władzy. Tak jak partia komunistyczna realizowała sowiecki interes imperialny, tak samo realizowała go bezpieka.

– Jakie stawiano zadania przed MBP i jej następcami?

– To zależało od fazy rozwojowej państwa komunistycznego. Najpierw miało ono zapewnić możliwość przejęcia przez komunistów monopolistycznej władzy w Polsce „ludowej”, zwalczało więc podziemie niepodległościowe i jawną opozycję. Później miało dbać o to, by władza komunistyczna nie była zagrożona. Działania UB wymierzone były więc w Kościół, osoby utrzymujące kontakt z uchodźstwem politycznym i Polonią (a za granicami w uchodźstwo i Polonię), chłopów sprzeciwiających się kolektywizacji czy robotników opierających się sowietyzacji gospodarki, środowiska akademickie, twórcze czy artystyczne, literatów, dziennikarzy... Bezpieka obejmowała swą kontrolą całość życia publicznego w „ludowej” Polsce

i wkraczała w życie prywatne jej mieszkańców.

– Skąd aż taka brutalność funkcjonariuszy UB?

– Częściowo dlatego, że byli to ludzie niewykształceni i prymitywni. Chodziło też o to, aby społeczeństwo zastraszyć. Funkcjonariusze UB dokonywali politycznych zabójstw, szantażowali, wykorzystywali podstęp i prowokację, a wobec osób ujętych szeroki arsenał brutalnych i wymyślnych tortur. Jak mówił jeden z funkcjonariuszy śledczych słynących z brutalności, Józef Dusza zwany „katem Mokotowa” – „w sprawach politycznych bijemy i będziemy bili, bo to jest najlepszy sposób zmuszenia naszych wrogów do mówienia prawdy”.

– Przemoc, przemoc i raz jeszcze przemoc?

– Tak. Bezpieka miała być skuteczna, miała zapewnić komunistom monopol władzy i utrzymując społeczeństwo w ryzach sprawić, by Polska tkwiła w bloku sowieckim. Przez 45 lat funkcjonariusze UB i SB działali jako strażnicy sowieckiego imperium, dławiąc kolejne społeczne protesty, rozbijając środowiska niepodległościowe i opozycyjne, zwalczając Kościół, który od lat 50. był najważniejszym instytucjonalnym oponentem władzy komunistycznej. Stali się symbolem narodowej zdrady i zaprzaństwa niszcząc polskie dążenia do wolności.

SIŁĄ LUB PODSTĘPEM

Bezpieka w walce ze zbrojnym podziemiem dysponowała od samego początku ogromną przewagą. Stała za nią rozbudowana struktura, zaplecze logistyczne, a także metody, które wypracowane były już podczas zwalczania AK na terenie wschodniej Polski – najpierw przez Sowietów, później przez komunistów z PKWN. Mimo to podziemie było w stanie przez długie lata zadawać reżimowi dotkliwe straty

dr DAWID GOLIK

Instalująca się na polskich ziemiach władza komunistyczna za głównego przeciwnika uznawała zbrojne podziemie niepodległościowe. Już w 1944 r. pracownicy Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, funkcjonującego jeszcze jako policja polityczna Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, ramię w ramię z NKWD i Smierszem dokonywali aresztowań, a nieraz też fizycznej likwidacji żołnierzy Armii Krajowej. Zniszczenie pionu wojskowego podziemia, czyli de facto trzonu sił zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, miało pozbać zarówno władzę w Londynie, jak też podległe im struktury w kraju, realnej możliwości hamowania sowietyzacji Polski. Procesu tego nie przerwało rozwiązanie AK 19 stycznia 1945 r., mające w założeniu dowództwa podziemia ochronić przed represjami szeregowych żołnierzy konspiracji. Obławy na ukrywających się, aresztowania wśród kadr, próby rozpracowywania agenturalnego – to wszystko trwało w najlepszym przez kolejne lata, pod szyldem walki z „reakcją”, „podziemiem poakowskim” czy „bandami NSZ”.

Areną tych zmagania od pierwszych miesięcy 1945 r. stała się również Małopolska. Czynne zaangażowanie funkcjonariuszy UB, zarówno szczebla wojewódzkiego, jak też powiatowego, w rozprawę ze zbrojnymi oddziałami podziemia niepodległościowego zakończyło się na tym terenie dopiero dekadę po wojnie. Na przestrzeni lat zmieniały się metody, którymi posługiwała się komunistyczna policja polityczna, ale nie cel. A tym była eliminacja przeciwnika i zastraszanie wspierających podziemie cywilów.

Operacje przeciw podziemi

Powojenne komunistyczne obławy na partyzantów możemy porównać z tymi przeprowadzanymi przez Niemców w czasie okupacji. W niemieckich akcjach przeciwpartyzanckich wykorzystywano głównie plutony żandarmerii, z czasem kompanie, bataliony czy nawet pułki policji porządkowej, a podczas największych operacji także jednostki wojska i SS. Tylko w ograniczonej formie w akcje angażowane były siły Gestapo, a więc niemieckiej policji poli-



Funkcjonariusze UB wraz z ujętymi w lipcu 1949 r. dwoma partyzantami oddziału „Wiarusy”. Obok nich, drugi z prawej w pierwszym rzędzie, agent Marian Strużyński

tycznej. Funkcjonariusze tej formacji zwykle odpowiadali za logistykę i analizę danych niezbędnych do przygotowania obławy, lecz nie decydowali o jej sile i przebiegu.

Zdecydowanie na większą skalę w zwalczanie powojennego podziemia niepodległościowego włączana była po 1944 r. komunistyczna bezpieka. Jej członkowie zasilali bowiem często tzw. grupy operacyjne – niewielkie oddziały pościgowe, jak też specjalnie wysyłane w teren większe jednostki, których celem było permanentne terroryzowanie regionu i walka z konkretnym oddziałem partyzanckim. Grupy takie mogły początkowo składać się z sowieckich oddziałów NKWD czy rzadziej regularnych jednostek Armii Czerwonej, oddziałów „ludowego” Wojska Polskiego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a także zebranych ad hoc plutonów UB i MO. Od skali i zasięgu operacji zależało ich wyposażenie, liczebność, czas przebywania w danym rejonie.

Komunistyczne grupy operacyjne wysyłane były w teren

po to, żeby zlikwidować oddziały partyzanckie w ich obozowiskach, miejscach koncentracji, ale także w celu aresztowania współpracowników podziemia oraz do przeprowadzania rewizji w poszukiwaniu broni i dokumentów konspiracyjnych. Niekiedy same penetrowały teren i zbierały informacje niezbędne do przeprowadzania akcji (np. werbując agenturę lub prowadząc działania na podstawie zeznań członków podziemia), ale z reguły opierały się na danych otrzymanych wcześniej od lokalnych funkcjonariuszy UB, którzy analogicznie jak w czasie wojny gestapowcy przygotowywali operacje, a następnie przejmowali pochwyconych partyzantów i ich współpracowników, żeby uzyskane od nich informacje włączyć do prowadzonych przeciwko podziemi śledztw.

Modyfikacjom na przestrzeni lat podlegała taktyka działań oraz sposoby przeprowadzania obław. Początkowo, gdy w latach 1944–1945 do likwidacji podziemia włączano grupy wojskowe, na ich aktyw-

ność ogromny wpływ miały doświadczenia frontowe, często nieskuteczne w walce z partyzantką. W późniejszym czasie problem stanowiły również niedostateczne informacje na temat podziemia, które doprowadzały do tego, że schematycznie przeprowadzane akcje uderzały w próżnię, narażając tylko biorących w nich udział żołnierzy i funkcjonariuszy na frustrację oraz zmęczenie. Z kolei już w 1946 r. zwracano uwagę na to, że często obławy i operacje przeprowadza się nie profilaktycznie, lecz w odpowiedzi na akcje partyzanckie – czyli pozostawiając inicjatywę po stronie „leśnych”. W końcu, w drugiej połowie tego roku, zmieniono też ogólną taktykę dotyczącą wielkości oddziałów zaangażowanych w walkę z podziemiem. Zauważono bowiem, że przy coraz większym rozproszeniu partyzantów nie ma sensu wysyłać w teren grup liczących więcej niż 2–3 bataliony wojska, a więc ponad 2 tys. żołnierzy. W praktyce oznaczało to też, że konkretna grupa otrzymywała jako cel swojej operacji likwidację da-

nego oddziału partyzanckiego i koncentrowała się na permanentnym jego nękanii, aż do całkowitego rozbicia. Co więcej, dzięki zdobytym w poprzednich latach doświadczeniom, położono też duży nacisk na realizację akcji przeciwpartyzanckich w okresie zimowym, formując specjalne instrukcje ze wskazaniem na likwidację leśnych „bunkrów” i urządzenie w ich pobliżu zasadzek.

Krwawe obławy

Pierwsze operacje przeciw podziemi organizowane przez krakowską bezpiekę miały miejsce wiosną 1945 r. Przybierały one charakter doraźnych działań, które przeprowadzał tzw. baon operacyjny funkcjonujący przy Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. Był on wysyłany w różne rejony Małopolski, często pod osobistym dowództwem kierownika Wydziału Walki z Bandytyzmem kpt. Leona Podworskiego.

Akcje tej grupy cechowała niezwykle brutalność połączona z poczuciem zupełnej bezkarności. To właśnie funkcyjna-

riusze kierowani przez Podworskiego zamordowali 18 kwietnia 1945 r. „podczas śledztwa” dawnego dowódcę Oddziału Specjalnego Ludowej Straży Bezpieczeństwa por. Wojciecha Dębskiego „Bicza”, w odwecie za rozbicie przez podziemie siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Limanowej.

Natomiast niecały miesiąc później w obławie przeciw złożonej z dawnych partyzantów Batalionów Chłopskich grupie zbrojnej pozwolono na dobicie strzałem w głowę rannej sanitariuszki, zasłużonej działaczki ludowego podziemia, Genowefy Kroczyk „Lotte”.

Na baonie operacyjnym z Krakowa ciąży również zarzut rozstrzelania 20 czerwca 1945 r. aresztowanych podczas przeczesywania Lasów Bratucich koło Brzeska kilku młodych ludzi powiązanych z oddziałem partyzanckim „Ści-gacz”. Rzecz jasna wszystkich zabijanych ludzi Podworski raportował przełożonym jako zastrzelonych w walce – dokładnie tak samo jak robili to w czasie wojny Niemcy, wliczając do strat partyzantów zamordowanych w czasie pacyfikacji cywilów.

Wiele obław UB trafiało w pustkę, gdyż oddziały partyzanckie starały się często zmieniać miejsca pobytu i zabezpieczać teren swoimi informatorami. Kiedy jednak do ich przeprowadzania wykorzystywano dane uzyskiwane od konfidentów, to wówczas były one szczególnie niebezpieczne, a niekiedy kończyły się całkowitym rozbięciem „leśnych”. Tak jak w przypadku przygotowanej przez UB z pow. nowotarskiego operacji z 12 czerwca 1945 r. w Sierockim na Podhalu, podczas której zlikwidowano oddział poakowski stworzony przez por. cc Feliksa Perekłodowskiego „Przyjaciela”. Wywiad przeprowadziła bezpieka, a niezbędne siły wojskowe zapewniły oddziały pograniczne NKWD. Nie był to ostatni sukces podhalańskiej bezpieki. Obławy prowadzone przez informatorów lub „złamanych” w śledztwie partyzantów doprowadziły także do rozbicia ostatniego obozu sztabu „Ognia” (w lutym 1947 r.) oraz likwidacji ziemianki „Wiarusów” nad Harlową (w lutym 1948 r.). Zdecydowanie gorzej szło w tym czasie funkcjonariuszom z Nowego Sącza, którzy aż do lata 1949 r.

nie byli w stanie zlokalizować obozowiska oddziału „Żandarmeria” Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowców.

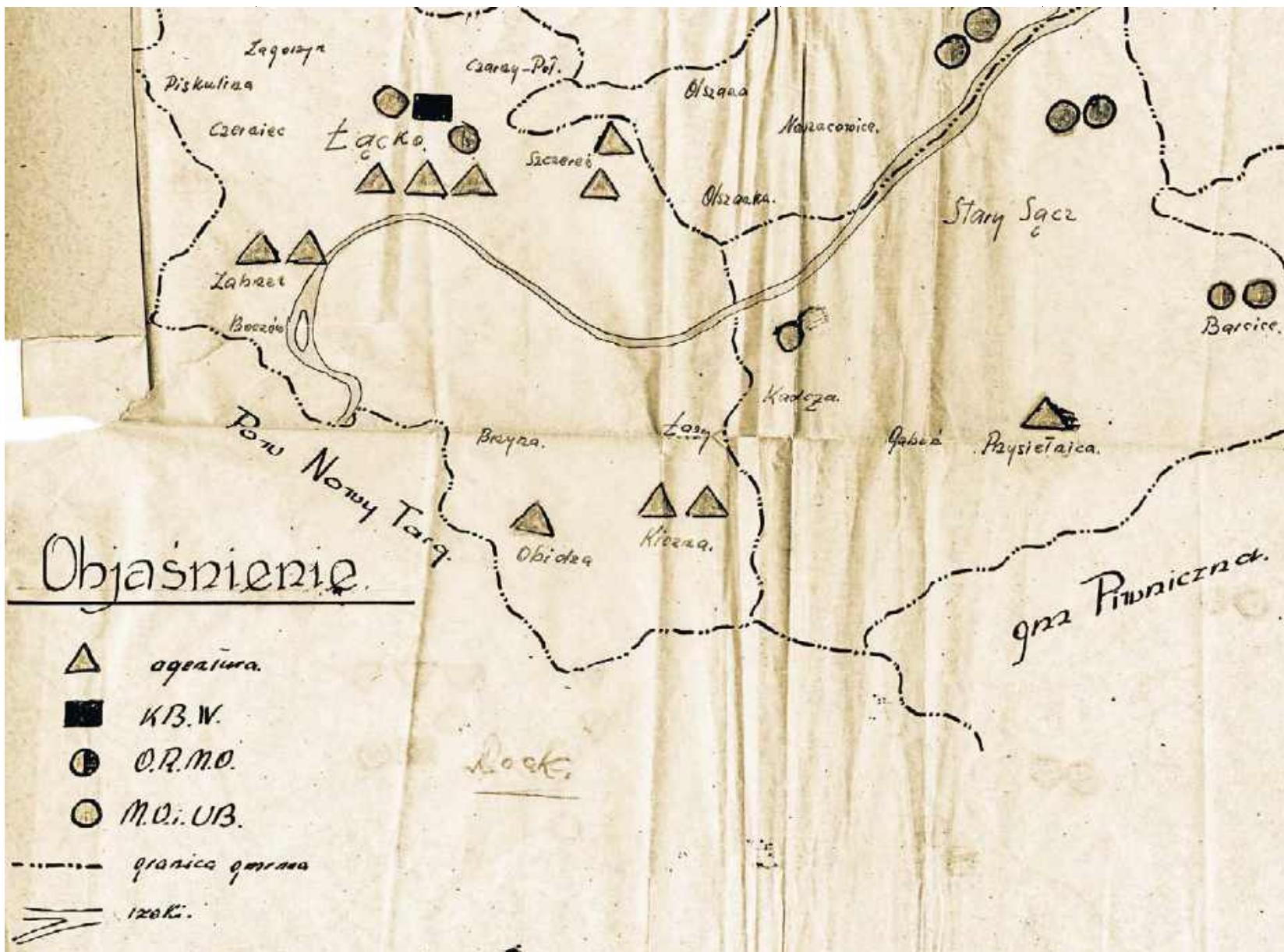
W latach 50. XX wieku podziemie nie miało już większych szans w starciu z akcjami przeciwpartyzanckimi UB. Przede wszystkim wynikało to z dysproporcji sił. Jeśli do operacji dochodziło nagle i wróg miał możliwość okrążyć „leśnych”, z reguły musieli się oni poddać lub ginęli w walce. Doskonale to widać przy działaniach przeciwko tzw. grupom przetrwania, a więc ostatnim ukrywającym się niepodległościowcom. W dniu 2 października 1953 r. na dwóch partyzantów działających jako „Wojsko Generała Andersa”, uderzyła w położonych pod Nowym Sączem Kleczanach grupa 115 żołnierzy KBW oraz 10 pracowników UB. Z takiej matni wyjścia nie było – obaj zginęli.

Pewność siebie mogła jednak gubić komunistów. Dwa lata później, 10 lipca 1955 r., dziesięcioosobowa grupa, której trzonem byli pracownicy UB z Nowego Sącza, wyruszyła w Beskid Sądecki, by dopaść partyzantów Stanisława Perełki „Dębińskiego”. Motorem akcji był przebywający akurat w Nowym Sączu inspektor Wydziału V Departamentu III Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego mjr Waław Szataniak. Dążył on do „realizacji bandy” nie czekając na wsparcie KBW, chcąc samodzielnie zlikwidować ostatnią niepodległościową grupę działającą jeszcze w Małopolsce. Sukces był jednak umiarkowany. Wprawdzie dwóch partyzantów zabito, ale dwóm kolejnym udało się zbiec. W starciu zginął też zastępca szefa sądeckiej bezpieki por. Edward Solarzski. Szataniak brawurę przypłacił zdjęciem ze stanowiska i obniżeniem stopnia oficerskiego do kapitana.

Prowokatorzy i agenci

Obok obław niezwykle groźnym sposobem walki z podziemiem były różnego rodzaju działania prowokacyjne i agenturalne. Nie ograniczano się jedynie do korzystania z wiedzy tajnych współpracowników czy gromadzenia informacji z zeznań pochwyconych ludzi podziemia. Starano się wnikać w jego szereg, a niekiedy także pozorować działalność partyzancką, żeby połączyć się z jakimś oddziałem lub poznać jego zaplecze.

Jedną z takich grup stworzył w lipcu 1946 r. mjr Stanisław Waław z WUBP w Krakowie i na jej czele wymaszerował w stronę Turbacza. Prowokatorów szybko jednak zdekonspirowano i na ich tymczasowy błąd uderzył partyzancki patrol. Jak wspominał Waław: „W czym kto był – boso, bez marynarki – każdy gnał na oślep”. Operacja zakończyła się fiaskiem. Stracono mapy, doku-



Fragment szkicu ilustrującego rozmieszczenie agentury i jednostek operacyjnych UB, MO i KBW podczas zwalczania oddziału „Żandarmeria” Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowców

menty, a nawet przenośną radiostację.

Akcje bezpieki bywały jednak bardziej finezyjne. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy „przebierańcy” z Krakowa uciekali przed partyzanckimi kulami, w otoczeniu Kurasia znajdował się agent wysłany tam bezpośrednio przez kierownika WUBP w Krakowie – mjr. Jana Freya-Bieleckiego. Był to Franciszek Potyka (podpisujący się wówczas jako „Kpt. Grom”), w czasie wojny członek Polskiej Armii Ludowej. Został on zworbowany jako agent UB 3 kwietnia 1946 r., a wraz z nim na Podhalę wysłana została również jego kochanka, Leokadia Wardak, pracująca dotychczas w Wojewódzkiej Komendzie MO we Wrocławiu. Miała ona pełnić funkcję łączniczki między Potyką a Bieleckim i przenosić meldunki podpisywane nazwiskiem „Franciszek Dębski”. Agenci przebywali na Podhalu od kwietnia 1946 r. i stopniowo zyskiwali zaufanie miejscowych. Początkowo mieszkali w Nowym Targu, później również w Ratułowie i Zakopanem. Jako „Cebulski” i „Krasnodębska” (tak brzmiały ich fałszywe nazwiska) zajmowali się handlem, poszukując jedno-

ześnie możliwości wniknięcia w strukturę podziemia. Po pewnym czasie, poprzez lokalnych działaczy PSL, Potyka skontaktował się z „ogniowcami”, zostając współpracownikiem zgrupowania. Poznał samego „Ognia”, ale również jego podkomendnych – m.in. pochodzącego z Warszawy ppor. Stefana Ostaszewskiego „Ryska”. W związku z tym, że Potyka brał udział w Powstaniu Warszawskim miał z „Ryskiem” wiele wspólnych tematów do rozmów. W zaufaniu młody oficer zdradził mu swoje prawdziwe nazwisko, fakt pracy ojca w Policji Państwowej przed wojną oraz to, że jego rodzina wciąż mieszka w stolicy. Pomimo precyzyjnych meldunków na temat dyslokacji oraz składu oddziału „Ognia”, które dostarczał duet Potyka-Wardak, WUBP nie potrafił wykorzystać ich w odpowiedni sposób. Wiązało się to również z faktem, że o ich działalności nie wiedzieli nic powiatowe komórki UB w Nowym Targu, co w znaczny sposób wydłużało czas dostarczania wiadomości do Krakowa i przeprowadzania obław na partyzantów. Na początku września agenci zostali częściej zdekonspirowani. Postanowili więc wyjechać z niebez-

piecznego dla nich Podhala i udali się do Warszawy. Tam jednak działali dalej, przyczyniając się m.in. do umożliwienia bezpieki rozegrania gry operacyjnej, która poskutkowała dezercją „Ryska” ze zgrupowania „Ognia”.

Doskonale sprawdzały się takie działania bezpieki, które do likwidowania oddziałów partyzanckich wykorzystywały pozyskanych do współpracy dawnych ludzi podziemia. Szczególnie dwie postaci okryły się na tym polu złą sławą. Pierwszą z nich był dawny żołnierz AK, a później członek WiN – Marian Strużyński (vel Reniak). Jako czynny współpracownik bezpieki od 1947 r. specjalizował się w docieraniu do oddziałów zbrojnych i wciąganiu ich w zasadzki zastawiane przez UB. Był zawsze dobrze „zalegędowany”, reprezentując w rozmowach z „leśnymi” jakąś większą strukturą podziemną, której mieli się oni podporządkować. Wiedział jak „podejść” partyzantów – kiedy prywatnie podzielić się z nimi prawdziwymi wspomnieniami z AK, a kiedy wyrzucić presję jako „por. »Henryk«”, „kpt. »Karol«” czy „kpt. »Zbigniew«” z ogólnopol-

skiej konspiracji. Doprowadził w ten sposób kolejno do rozbięcia oddziału „Wiarusy” (1949 r.), grupy Józefa Miki „Leszka” i Franciszka Mroza „Bobra” (1950 r.) oraz aresztowania Stanisława Nowaka „Iskry” i jego ludzi (1951 r.). Nigdy nie musiał sam sięgać po broń – zawsze realizacji dokonywali funkcjonariusze UB oraz żołnierze KBW.

Różniło go to od drugiego sprawnego likwidatora małopolskiego podziemia, Kazimierza Kubarka. Ten był partyzant oddziału por. Mieczysława Wądołnego „Mściciela” został zworbowany do współpracy z UB w celu wnikania do grup przetrwania funkcjonujących w znanym mu pow. wadowickim. Miał jednak, jak się wydaje, przyzwolenie od UB, aby w sprzyjających okolicznościach mordować „towarzyszy broni”. W 1949 r. Kubarkowi udało się zastrzelić podczas wspólnego noclegu Mieczysława Spute „Felusius” oraz Kazimierza Kudłamika „Zenita”. W styczniu 1955 r. zadał śmiertelny cios legendzie beskidzkiej partyzantki, Janowi Sałapatkowi „Orłowi”.

Bezpieka w walce ze zbrojnym podziemiem dysponowała

od samego początku ogromną przewagą. Stała za nią rozbudowana struktura, zaplecze logistyczne, a także metody, które wypracowane były już podczas zwalczania AK na terenie wschodniej Polski – najpierw przez Sowieców, później przez komunistów z PKWN. Mimo to podziemie było w stanie przez długie lata zadawać reżimowi dotkliwe straty.

Czy świadczy to o nieskuteczności UB? Niekoniecznie. Być może kluczem do zrozumienia długotrwałości oporu powojennej partyzantki jest determinacja walczących oraz wsparcie, jakie otrzymywali od społeczeństwa. Komuniści nie byli bowiem w stanie przekonać Polaków ani do tego, że walczący w lesie ludzie kierują się niskimi pobudkami, ani też tym bardziej, że ubecy i milicjanci stoją na straży ładu i porządku, a nie realizują opresyjną politykę narzuconej i niechcianej władzy. Sympatie bardzo długo były po stronie podziemia i nie mogła tego zmienić ani komunistyczna propaganda, ani represje. A jeżeli chłopów z lasu traktowano jako „swoich”, to zawsze znajdowali się ludzie, którzy im pomagali. Do samego końca.

BESTIE Z UB

O sadyzmie pracowników UB w pierwszych latach Polski „ludowej” powiedziano i napisano już dużo. Zaświadczyły o nim osoby, które przeszły przez gehennę przesłuchań, ich rodziny, potwierdziła dokumentacja archiwalna i medyczna oraz kierownictwo aparatu represji, gdy po ucieczce Józefa Światły rozliczano niektórych funkcjonariuszy za wypaczenia i nadużycia władzy w bezpiece

dr ELŻBIETA
PIETRZYK-DĄBROWSKA

Od samego początku aparatu represji wśród jego pracowników pojawiały się patologiczne zachowania. Nielegalne przejście przez komunistów władzy, potrzeba szybkiego wyeliminowania „wrogów” komunizmu i uzasadnienia dla osadzenia dziesiątek tysięcy niewinnych ludzi w aresztach i więzieniach sprawiały, że wydobywanie zeznań, z reguły wymuszonych psychicznym i fizycznym znęcaniem, stało się celem nadzłym.

Panowie życia i śmierci

Znaczna część funkcjonariuszy UB pochodziła z nizin społecznych. Prymitywizm tych ludzi i ogromna, niemal niczym nie ograniczona władza nad człowiekiem, demoralizowały błyskawicznie. Oficer śledczy stał się panem życia i śmierci.

Anatol Fejgin, dyrektor Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przyznał, że awans na decydenta o losie innego człowieka mógł „przewrócić w głowach nawet w pełni ukształtowanego, o wiele bardziej inteligentnym ludziom, a co dopiero takim prostakom”. W wielu pracownikach odzywały się skrywane predyspozycje charakterologiczne i skłonności do przemocy, ale też urazy i chęć odegrania się za wojenne nieszcześcia. Na brutalizację funkcjonariuszy wpływała też specyfika funkcjonowania aparatu represji i przyzwolenie położonych na stosowanie przemocy.

Szacuje się, że do 1956 r. około 200 tys. osób doświadczyło represji ze strony państwowego aparatu przymusu. Większość z nich to żołnierze organizacji niepodległościowych walczących w czasie wojny z Niemcami, niegodzący się na podległość Związkowi Sowieckiemu.

Sposób na udowodnienie win

Słabo wykształceni śledczy z UB nie potrafili prowadzić śledztw. W konfrontacji z przeszkolonymi w konspiracji żołnierzami, oficerami i działac-



Działacz WiN z Tarnowa Bolesław Kalaciński nie mogąc znieść tortur próbował popełnić samobójstwo wymierzając sobie cios w głowę pozostawionym w celi toporkiem. Na zdjęciu już po próbie samobójczej



czami Państwa Podziemnego, nie radzili sobie ani z zadawaniem pytań, ani z wypełnianiem protokołów.

Anatol Fejgin pisał po latach o funkcjonariuszach: „Co mądrego taki człowiek może napisać? O co mądrego może zapytać przesłuchiwanego?”. Własne braki przysłaniały „efektywnością” stosowanych podczas śledztwa środków przymusu. Szukając dowodów winy poddawali zatrzymanych wielodniowym przesłuchaniom bez przerwy na sen i bez jedzenia (tzw. konwejer), biciu do nieprzytomności dłońmi, gumą i różnymi przedmiotami, np. metalowymi prętami, kopaniu, miażdżeniu butami genitaliów, wyrzucaniu obcęgami paznokci, miażdżeniu palców, wbijaniu ostrych przedmiotów pod paznokcie.

Przesłuchiwanie pod przymusem było dostaniem nieruchomości przez kilkanaście godzin przy ścianie aż do skrajnego wycieńczenia, stania z podniesionymi do góry rękami. Bywali zamykani nawet na kilka dni w karczerze – niewielkim, ciemnym, betonowym pomieszczeniu, w którym nie można było usiąść ani się położyć. Trzymano ich w lekko ubranu lub nago w celi wypełnionej wodą, z otwartymi oknami nawet przy silnym mrozie. Dotkliwą torturą było zmuszanie więźniów do długiego siedzenia na nodze odwróco-

nego stołka, co określano sarkastycznie „palem Andersa”.

Fizyczne znęcanie się nad przesłuchiwanymi uzupełniano silną presją psychiczną. Zatrzymanych wyzywano, obrażano, poniżano i wyśmiewano. Grożono śmiercią najbliższych, przekazywano kłamliwe o nich informacje, czasami celowo przesłuchiowano współmałżonków, dzieci lub rodziców tak, by słyszano wzajemnie krzyki, płacz i błaganie o pomoc. Zdarzało się, że zatrzymanego wyprowadzano z sali i pozorując egzekucję przystawiano do głowy nienaładowany pistolet. Stosowane metody śledcze dotyczyły wszystkich, również kobiet, nawet w ciąży, młodzieży i osób starszych.

Niektórzy pracownicy UB wymyślali własne metody śledcze. Kierując Departamentem V MBP zajmującym się m.in. walką z Kościołem płk Julia Brystygier, zwana Krwawą Luną znana z okrutnych metod śledczych stosowanych wobec młodych mężczyzn, miała bić ich pejcem po genitaliach i miażdżyć je szufladą biurka. Uciekinier z Polski „ludowej” ppłk Józef Światło stosował zaś „metodę ołówka”, czyli wkładanie ołówka między palce przesłuchiwanego i miażdżenia mu dłoni. Inny oficer śledczy MBP, płk Adam Humer, bił kobiety po piersi i kroczu drutem kol-

czastym i biczem zakończonym metalową kulką.

Stosowane środki przymusu miały doprowadzić często do wytworzenia w podejrzanym przekonania o tym, że wszelki upór jest zbyteczny oraz zmusić go do przyznania się do winy i obciążenia przed sądem innych, uznanych przez władzę ludową za wrogów. Skatowani ludzie podpisywali dokumenty podsunięte im przez ubowców. Niekiedy w czasie rozpraw przed Wojskowym Sądem Rejonowym odwoływali swoje zeznania tłumacząc się wymuszeniem zeznań przez bicie, jednak nie miało to już znaczenia w rozstrzygnięciu spraw.

Pokrzywdzeni nie kłamią

O dramacie przesłuchiwanym świadczą zeznania osób pokrzywdzonych przez aparat represji składane przed Główną Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN.

Aresztowany jesienią 1949 r. przez PUBP w Miechowie Henryk Wesołowski zeznał: „Byłem w tym czasie wiele razy przesłuchiwany w sposób bardzo brutalny – przywiązano mi ręce i nogi do kija i w takiej skurczonej pozycji bito mnie gumą po całym ciele”. Podczas jednego z przesłuchań Wesołowski został pobity do nieprzytomności, a gdy oprzytom-

niał, kazano mu zlizywać własną krew z podłogi.

Piotr Gęgotek, żołnierz 106 DP AK, aresztowany jesienią 1947 r. i przesłuchiwany w tym samym PUBP zeznał: „byłem bity po całym ciele rękami przez przesłuchujących mnie, musiałem do wyczerpania organizmu robić przysiady i »żabki«, stać na jednej nodze. [...] W czasie przesłuchań byłem straszony że będę wisiał, [...] dwa razy byłem umieszczony na okres dwu i trzech dni w karczerze, była to komórka betonowa i wilgotna około 1 m na 1 m nie można było się położyć i z trudem można było usiąść. Można było tylko stanąć, bo była dość wysoka”.

Niektórzy przesłuchiwanym nad którymi się znęcano w akcie desperacji decydowali się na zakończenie swoich cierpień samobójstwem. Wiktor Madejski, żołnierz ZWZ-AK, członek Batalionu Szturmowego „Suszarnia”, aresztowany z końcem 1948 r., bity do nieprzytomności i kilkakrotnie zamykany w karczerze, zeznał później: „byłem tak zmaltretowany i bałem się, że będę mnie ponownie przesłuchiwać i wypytawać o dowodów, że znalazłem w celi żyłkę podciąłem sobie żyły w nadgarstku lewej ręki”.

Tadeusz Gołąb, również przechodzący brutalnie prowadzone śledztwo, zeznał:

„siedzący ze mną w celi też byli bici. Jeden z nich Jarosz z Racławic nie mógł wytrzymać i powiesił się na ręczniku przy łóżku”.

Śmiercią samobójczą zakończyło się śledztwo rolnika, członka PSL Piotra Nowaka, który podczas przesłuchania poderżnął sobie gardło brzytwą zostawioną na biurku pokoju przesłuchań.

Podobnych sytuacji było mnóstwo. Wielu zatrzymanych po wyjściu z więzień pozostawało inwalidami – z uszkodzonym słuchem, niedowładem kończyn, poważnymi chorobami neurologicznymi i narządów wewnętrznych.

Ujawnione zbrodnie

Nadużycia komunistycznego aparatu represji ujrzały światło dzienne dzięki audycjom z udziałem Józefa Światły, wicedyrektora X Departamentu MBP w Warszawie, który w 1953 r. uciekł na Zachód.

Na falach Radia Wolna Europa Światło ujawnił przed całym światem wiele zbrodni dokonanych przez UB. W Polsce wiedzano o tych zbrodniach, lecz bano się o tym mówić. Ci, którzy nie zostali skazani wracali przecież do rodzin, ludzie widzieli ślady pobić i uszkodzenia ciała. Dostrzegano również zmiany w psychice tych, którzy przeszli przez ubecką „obróbkę” – załamanie, stany depresyjne i ciągły strach.

W efekcie audycji emitowanych przez RWE w Polsce ludowe rozpoczął się proces trzech zbrodniarzy: dyrektora Departamentu Śledczego MBP Józefa Różańskiego, wiceministra bezpieczeństwa publicznego Romana Romkowskiego oraz Anatola Fejgina. Skazano ich na 15 i 12 lat więzienia za nadużycia w UB i torturowanie ludzi, jednak całości kary nie odbyli i w 1964 r. wyszli na wolność. Rozliczenia miały miejsce także w wojewódzkich i powiatowych Urzędach Bezpieczeństwa. Najbardziej brutalne osoby zostały usunięte z organów represji, jednak realnie kary nie były bardzo dotkliwe. Przeszli oni na emerytury lub znaleźli zatrudnienie w państwowych zakładach pracy. Tylko niektórych zbrodniarzy, takich jak Adam Humer, udało się skazać na więzienie już w III Rzeczpospolitej.

PO PROSTU MORDERSTWO

Strzał w plecy Henryka Flamego „Bartka”. Zakopany żywcem działacz PSL spod Grójca. Zastrzelony peeselowiec z Prokocimia. Dwa strzały w głowę ks. Rapacza. Obok obław na partyzantów, pracy operacyjnej, brutalnych śledztw i wyroków śmierci była jeszcze jedna droga do realizacji celów UB. Zwyczajne morderstwo

dr MICHAŁ WENKLAR

Urzędowi Bezpieczeństwa od początku towarzyszyła pogarda dla życia ludzkiego. Dobrze ilustruje ją incydent z Tarnowa z czerwca 1945 r. Przecho-
dzący przez miasto funkcyj-
nariusze UB zastrzelili przypad-
kowo napotkanego człowieka,
który na ich widok wyciągnął
broń. W poczuciu dobrze wy-
konanego obowiązku meldo-
wali następnie, że skoro przy za-
bitym nie znaleźli żadnych do-
kumentów, a zajście odbyło
się bez świadków, to postano-
wili wrzucić zwłoki do rzeki
Białej.

Czasem akcje przeciw
podziemi niepodległości-
owemu przeprowadzano spe-
cjalnie w taki sposób, by par-
tyzantów zabić, nie aresztow-
ać. „Żywcem staramy się
w ogóle jak najmniej brać ban-
dytów – meldował do War-
szawy przed planowaną akcją
likwidacji sztabu Józefa Kura-
sia „Ognia” funkcjonariusz Mi-
nisterstwa Bezpieczeństwa
Publicznego – z tego względu,
gdyż nie ma kto przeprowa-
dzać śledztwa w PUBP w No-
wym Targu”.

Czym innym jest jednak
zabicie przeciwnika w walce,
czym innym celowe morder-
stwo bezbronnego człowieka.
Przywołać możemy całą serię
mordów skrytobójczych, tak-
kich, do których formalnie
bezpieka nie mogła się przy-
znawać. Niektóre zabójstwa
były popełniane przez funk-
cjonariuszy UB w czasie
służby, niektóre po służbie.
Najczęściej z ukrycia, nocą,
jak zwykli zbrodniarze. Cza-
sem przeprowadzali je funk-
cjonariusze innych służb ko-
munistycznych, np. Milicji
Obywatelskiej, czasem były to
zbrojne bojówki Polskiej Par-
tii Robotniczej, które śmiało
możemy określić mianem
szwadronów śmierci. Były to
działania zbrodnicze i tajne,
nawet władza miała świad-
omość ich charakteru. Stąd naj-
częściej brak dokumentacji.
Autorstwo mordów przypisy-
wano z reguły „nieznanym
sprawcom”.

Zabójstwa partyzantów

Do niektórych zbrodni docho-
dziło podczas realizacji służbo-
wych zadań. W wojewódzkim
UB w Krakowie istniał Wydział
WB, a więc „walki z bandyty-



Nekrolog Józefa Hachlicy, zamordowanego przez UB działacza PSL

zmem” – bo komuniści tak jak
Niemcy nazywali partyzantów
bandytami. Wiemy, że Leon
Podworski, kierownik Wy-
działu WB od kwietnia 1945 r.,
został służbowo przeniesiony
do PUBP w Tarnowie w związku
z pojawiającymi się oskarże-
niami o rozstrzeliwanie podej-
rzanych w trakcie operacji
przeciw podziemi.

O jednym z najbardziej
znanych zabójstw w Krakowie
przypomina pomnik na Plan-
tach, z sylwetką padającego
człowieka wpisaną w znak Pol-
ski Walczącej. W tym miejscu
dwóch funkcjonariuszy UB za-
strzeliło Narcyza Wiatra „Za-
wojnę”. Był to konspirator
związany z ruchem ludowym,
były komendant Okręgu Mało-
polsko-Śląskiego Batalionów
Chłopskich, a po akcji scalenio-
wej również zastępca komen-
danta Okręgu Armii Krajowej
Kraków. Wiosną 1945 r. „Za-
wojna” pozostawał w konspi-
racji. Aresztowany 21 kwietnia,
został przez ubeków sprowoko-
wany do ucieczki, a następnie
zabity strzałem w plecy.

Wstrząsająca jest historia
Henryka Flamego „Bartka”,
dowódcy zgrupowania party-
zanckiego Narodowych Sił
Zbrojnych działającego w Be-
skidzie Śląskim. Jego żołnierze
padli w większości ofiarą ubec-

kiej prowokacji. Ponad stu par-
tyzantów zgrupowania zostało
wymordowanych w kilku mie-
scach na Śląsku Opolskim – wie-
rzyli, że jadą tam by zostać na-
stępnie przerzuconymi na Za-
chód. Po rozbiciu przez UB
zgrupowania, dowódca Hen-
ryk Flame ujawnił się 11 marca
1947 r., złożył broń i zamiesz-
kał w Dziedzicach. Nie podej-
mował już działalności kon-
spiracyjnej. Kilka miesięcy
później, w restauracji w Za-
brzegu (dziś dzielnica Czecho-
wicz-Dziedzic), otrzymał strzał
w plecy od miejscowego mili-
cjanta. Badający sprawę histo-
rycy są przekonani, że działo
się to z inspiracji UB.

Zabójstwa peeselowców

Do stycznia 1947 r., czyli
do wyborów do Sejmu Usta-
wodawczego, najważniejszym
jawnym przeciwnikiem poli-
tycznym komunistów było
Polskie Stronnictwo Ludowe
Stanisława Mikołajczyka. UB
zwalczając PSL posługiwał się
całym szeregiem metod z cze-
kistowskiego repertuaru prze-
mocy: szantaż, zastraszanie,
aresztowanie, pobicie. Nie-
rzadkie były też skrytobójcze
mordy.

Czasem śmierć była wy-
nikiem zbyt intensywnego bi-
cia. W odwecie za akcję od-

działu NSZ Jana Dubaniow-
skiego „Salwy” pod Łapano-
wem, w wyniku której zginęło
kilku funkcjonariuszy MO
i PPR, ubecy aresztowali wójta
Jana Jarotka z PSL. Przewie-
ziony do bocheńskiego UB, zo-
stał tam zakatowany na śmierć
i zagrzebany na podwórku
urzędu.

Mordowano peeselowców,
żeby zastraszyć społeczeń-
stwo przed tzw. referendum
ludowym z czerwca 1946 r.
i wyborami ze stycznia 1947 r.,
żeby fizycznie wyeliminować
szczególnie niebezpiecznych
zdaniem komunistów działac-
zy. Do tych ostatnich zaliczał
się m.in. Władysław Kojder –
członek Naczelnego Komitetu
Wykonawczego i Rady Naczel-
nej PSL, a także Zarządu Okrę-
gowego PSL w Krakowie. We
wrześniu 1945 r. Kojder został
wybrany wiceprezesem Okrę-
gu. Tuż po powrocie z Krako-
wa do domu „nieznani spraw-
cy” porwali go i wywieźli
do lasu. Jego zwłoki odnale-
ziono dopiero rok później,
tkwiło w nich blisko trzydzie-
ści kul. Ministerstwo Bezpie-
czeństwa Publicznego zali-
czyło go do ofiar „band NSZ-
owskich”, choć była to ubecka
zbrodnia.

W Krakowie głośnym
echem odbiła się śmierć pre-

zesa Koła PSL Kraków-Proko-
cim, Józefa Hachlicy. W paź-
dzierniku 1946 r. przemawiał
na pogrzebie dwóch działaczy
PSL ze wsi Rzeszotary pod Kra-
kowem, skąd pochodził, zabi-
tych przez partyjną bojówkę.
Kilka dni później sam został
napadnięty pod własnym do-
mem. Otrzymał kilkanaście
strzałów w głowę. Udało się
sfotografować jego zwłoki
i przemycić zdjęcia na Zachód
– dzięki nim świat mógł się do-
wiedzieć o sytuacji w Polsce.

Makabryczny charakter
nosiła zbrodnia w Grójcu
pod Warszawą. Bojówka PPR
niejakiego Władysława Rypiń-
skiego „Rypy” porwała 1 grud-
nia 1945 r. czterech lokalnych
działaczy PSL. Rozstrzelano
ich, a ciała szybko zakopano
w dole. Okazało się jednak, że
jeden z nich, Józef Sikorski,
przeżył, udawał tylko trupa.
Szczęśliwie udało mu się wy-
kopać z dołu. Złożył później
szerokie wyjaśnienia w Sądzie
Okręgowym w Warszawie,
dzięki czemu nie udało się tej
zbrodni ukryć. „Rypa” został
później zastrzelony przez pod-
ziemny oddział Ruchu Oporu
Armii Krajowej. Przynajmniej
ten zbrodniarz poniósł karę.

Szacuje się, że z rąk ubow-
ców i innych „nieznanych
sprawców” zginęło stu kilku-

dziesięciu działaczy PSL. Pary-
skie „Zeszyty Historyczne”
z 1964 r. wyliczały z imienia
i nazwiska 128 ofiar, ale lista ta
nie była kompletna.

Zabójstwa księży

W przestrzeni duchowej naj-
ważniejszym przeciwnikiem
materialistycznych komuni-
stów był Kościół katolicki. Ale
komuniści w walce z nim nie
ograniczali się do światopoglą-
dowych dyskusji – stosowano
represje. Zdarzały się i zabój-
stwa.

Pochodzący z myślenic-
kiego Tenczyna ks. Michał Ra-
pacz był proboszczem w Pło-
kach, niedaleko Chrzanowa.
Był to rejon robotniczy, w któ-
rym więcej było, w porówna-
niu z resztą województwa kra-
kowskiego, poparcia dla PPR,
więcej stąd pochodziło funk-
cjonariuszy UB. Bezkompro-
misowe kazania ks. Rapacza
ściągnęły na niego gniew mie-
scowych komunistów. Nocą 11
maja 1946 r. na plebanii wtar-
gnęła grupa ok. dwudziestu
uzbrojonych mężczyzn. Naj-
pierw zamknęli i przeszuchi-
wali księdza, później wypro-
wadzili go do pobliskiego la-
sku i pozbawili życia dwoma
strzałami w głowę. Najpraw-
dopodobniej napastnikami
byli pochodzący z tych stron
funkcjonariusze UB i MO
z Chrzanowa. A władza wpi-
sała go w szereg ofiar zbroj-
nego podziemia.

Cztery miesiące później
został zastrzelony proboszcz
z niedalekiego Libiąża, ks.
Franciszek Flasiński, obserwo-
wany wcześniej przez UB.
Znów „nieznani sprawcy”. Ko-
lejne dwa tygodnie później ks.
Stanisław Ziółkowski, zastrze-
lony w lesie koło swojej pleba-
nii na Karczówce w Kielcach.
Kilka jeszcze nazwisk można
by wymienić, od ks. Michała
Pilipca spod Przemyśla zamor-
dowanego za przynależność
do AK już w grudniu 1944 r.,
po ks. Lucjana Niedzielaka za-
bitego na plebanii w Polsko-
woli koło Radzyna Podla-
skiego w lutym 1947 r., bo do-
kumentował zbrodnie UB
i NKWD.

Po 1956 r. bezpieka zasad-
niczo nie uciekała się do za-
bójstw. Miała inne metody. Ale
śmierć Piotra Bartoszcze czy
ks. Jerzego Popiełuszki w 1984 r.
pokazuje, że w razie potrzeby
esbicy też byli gotowi mordo-
wać.

CO TRZECI POLAK POD INWIGILACJĄ

W latach 1944-1956 bezpiece udało się stworzyć system kontroli społeczeństwa oparty na terrorze i pracy operacyjnej. Przy opracowaniu metod i środków czerpano ze wzorców sowieckich

dr MONIKA
KOMANIECKA-ŁYP

Po powstaniu resortu bezpieczeństwa jego aktywność skierowana została przeciwko szeroko pojętym „wrogom ludu” lub „wrogom klasowym”, czyli tym, którzy byli przeciwni nowej władzy. Komunistyczna dyktatura opierała się w znacznym stopniu na terrorze wymierzonym przeciw określonym grupom społeczeństwa.

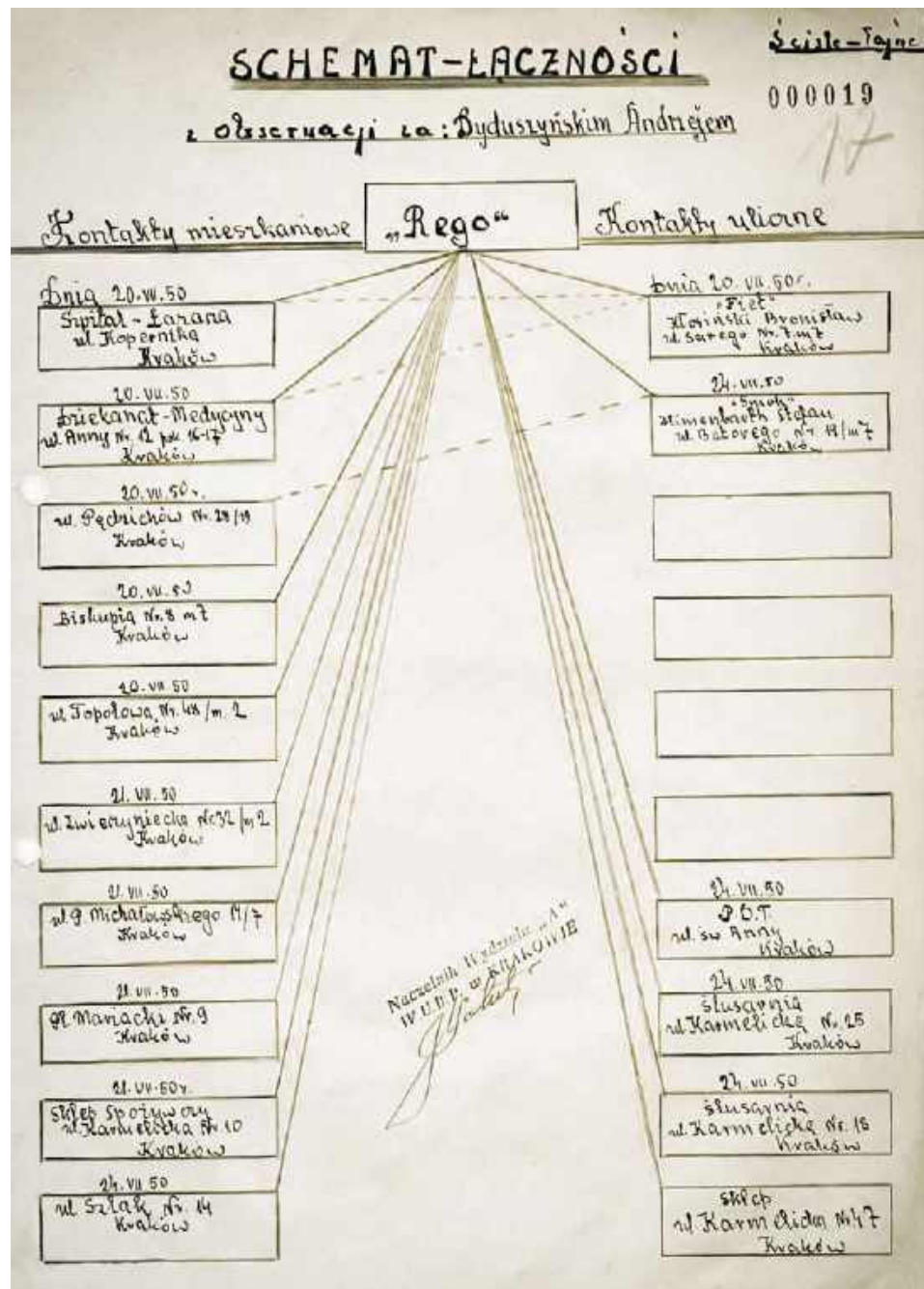
Wiosną 1945 r. zostały wydane dwie instrukcje, które określały zasady pracy bezpieki: z 13 lutego 1945 r. o sieci agenturalno-informacyjnej (czyli sieci „współpracowników”) oraz z marca 1945 r. o prowadzeniu rejestracji przestępców przeciw państwu (czyli „przeciwników” systemu). W 1954 r. w kartotekach Urzędu Bezpieczeństwa znalazło się już 6 mln osób uznanych za podejrzane, co stanowiło niemal 1/3 dorosłych Polaków.

W okresie stalinowskim, praktycznie do 1956 r., w pracy operacyjnej najważniejsza była praca z agenturą. Wykorzystywano również techniczne środki pozyskiwania informacji: obserwację oraz perlustrację korespondencji. Od 1955 r. praca operacyjna znacznie się wyspecjalizowała – stosowano różne metody i odpowiadające im sprawy (sprawy rozpracowania agenturalnego, agenturalnego sprawdzenia, ewidencyjno-obserwacyjne, teczki obiektowe i zagadnienie).

Agentura

Rozwój sieci agenturalnej nastąpił szczególnie w okresie stalinowskim, kiedy pod koniec 1953 r. wynosiła 85 333 zarejestrowane osoby. Weryfikacja w resortie bezpieczeństwa przeprowadzona w latach 1954-1955 doprowadziła do ograniczenia liczby współpracowników – w końcu 1956 r. spadła do 19 941 osób.

Były minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz rozliczając się z działań okresu stalinowskiego na naradzie aktywu partyjno-służbowego 11 grudnia 1954 r., stwierdzał: „Otóż budowaliśmy ją [agenturę – MKŁ] na przestrzeni 10 lat w różnych okresach historycznych, na różnych etapach walki klasowej, z różną funkcją tej



Schemat prowadzonej w lipcu 1950 r. przez Wydział „A” WUBP w Krakowie obserwacji Andrzeja Dydużyńskiego, wybitnego później kardiologa, a w niedawnej przeszłości działacza Zrzeszenia „WiN”

agentury (...). Ta masowość agentury zdobywana była w znacznej swojej części jako instrument terroru. Tak to trzeba powiedzieć: żeby sterylizować przeciwnika (...).”

W latach 40. i 50. agentura pozyskiwana była głównie na podstawie tzw. materiałów kompromitujących, zwanych z sowiecką kompromatami. Resortowa broszura szkoleniowa z 1950 r. określała, że były nimi „fakty, których ujawnienie grozi winnemu ich popełnienia – bądź sankcjami etyczno-moralnymi, bądź sankcjami kodeksu karnego”.

Kwestie związane z tworzeniem sieci agenturalnej, jej sposób werbowania i pracy oraz wynagradzania określały do 1956 r. trzy instrukcje (z 1945, 1953 i 1955 r.). W tym okresie wyróżniano cztery kategorie agentury: agenta, informatora, rezydenta i kontakt operacyjny. Agent uczestniczył w rozpracowywaniu danego środowiska i miał możliwość inicjowania kombinacji operacyjnych. Informator był osobą mającą związek z organizacją i zajmował się przekazywaniem informacji. Rezydentem był agent, który miał na łączności innych agentów,

a od połowy lat 50. informatorów. Kontakt operacyjny była to kategoria nieujęta w instrukcjach, informacji udzielał ustnie.

Agentura pełniła różne role i funkcje. Na przykład ta pozyskiwana spośród działaczy PSL była jednym ze sposobów walki politycznej. Stanisław Radkiewicz, w 1954 r. na wspomnianej już grudniowej naradzie przyznawał: „No, myśmy na przykład werbowali masowo w okresie walki z PSL. Myśmy werbowali PSL-owców po to, żeby oni milczeli, żeby nie głosowali za Miłkołajczykiem, żeby występo-

wali przeciwko nim, żeby rozłamy u nich robić (...) żeby ich złamać, związać (...)”.

Inwigilacja

Urząd Bezpieczeństwa w Krakowie prowadził działania inwigilacyjne wobec różnych środowisk i grup społecznych. W pierwszym okresie działalności w 1945 r. zajmowano się głównie zbrojnym podziemiem.

Z czasem zwalczano działaczy ugrupowań politycznych i organizacji przeciwstawiających się komunistom, głównie Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Narodowego oraz duchowieństwo katolickie. Od 1946 r. na większą skalę zaczęto również interesować się dyplomatami, rozpracowując np. Konsulat Francuski w Krakowie. Inwigilacja polegała na zbieraniu wszelkich informacji o tzw. figurantach, co miało prowadzić do kontrolowania danego środowiska i zapobiegania jego aktywności, czy wręcz do rozbicia poprzez aresztowania. Wykorzystywano do tego agenturę, wywiady, obserwację i perlustrację korespondencji. Stan agentury w WUBP w Krakowie był największy w okresie stalinowskim – w 1950 r. wynosił 5000, w 1953 r. 7730 osób.

Obserwacja i perlustracja

Oprócz agentury, ważnym środkiem pracy operacyjnej była obserwacja i wywiady. W Krakowie zajmowali się tym funkcjonariusze Wydziału „A” WUBP, od 1955 r. „B” WUdsBP.

Wywiady były wykorzystywane do rozpracowywania podziemia niepodległościowego zbrojnego i politycznego oraz legalnej opozycji (PSL). Funkcjonariusze przy małym nakładzie środków uzyskiwali informacje o poszukiwanych osobach, a następnie ustalali dokładne dane, w tym miejsce ich pobytu, rozpytując dozorców, sąsiadów lub sprawdzając w książkach meldunkowych. Pomagała im w tym sieć agenturalna umiejscowiona w różnych dzielnicach miast, zakładach pracy i instytucjach państwowych. W końcu lat 40. w Krakowie miesięcznie wykonywano średnio około 1000 wywiadów, natomiast w I poł. lat 50. około 2000.

Jedną z sekcji Wydziału „A” – realizacji – zajmowała się z kolei przeprowadzaniem aresztowań, zatrzymań i orga-

nizowaniem zasadzek. Najwięcej aresztowań zrealizowano w 1949 r., natomiast w latach 50. ich liczba wynosiła średnio jedno aresztowanie miesięcznie.

Obserwacja polegała głównie na bezpośrednim śledzeniu osób. Miesięcznie pion „A” wykonywał 20 zleceń. Ich wynikiem było ustalenie osób, z którymi spotykał się obserwowany (tzw. kontaktów), czyli danych personalnych i adresów zamieszkania. Na przykład wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego PSL w Krakowie Stanisław Mierzwa po wyjściu z więzienia w 1953 r. był stale inwigilowany. Funkcjonariusze pionu „A”/„B” kilkakrotnie go śledzili, odnotowując rozkład dnia, kiedy udaje się do pracy, z kim się spotyka itd.

W latach 1945-1946 funkcjonowała jawna cenzura korespondencji. Sporządzony w WUBP w Krakowie wykaz nazwisk osób i instytucji, których korespondencja była kontrolowana, liczył przeszło 220 pozycji. Wykaz ten przechwyciła działaczka Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” Janina Mierzwowicz, która pracowała w Wydziale Cenzury Wojennej w Krakowie. W drugiej połowie lat 40. wprowadzono tajną perlustrację korespondencji. Listy, przeglądane przez funkcjonariuszy w specjalnych pomieszczeniach urzędów pocztowych, były źródłem wiedzy o mających się odbyć spotkaniach oraz osobach, z którymi inwigilowany utrzymywał korespondencję.

Kontrolowano korespondencję „krajową” (na terenie PRL) osób, które uważano za przeciwników komunistów, m.in. ludowców, księży i zakonników. Ważną była również kontrola korespondencji w obrocie z zagranicą, bowiem wskazywała na powiązania z ośrodkami „rewizjonistycznymi”, co w języku bezpieki oznaczało emigrację polityczną oraz działalność wywiadowczą państw zachodnich. Kontrolowane listy były również dla bezpieki źródłem informacji o nastrojach społecznych.

Lata 1945-1956 to czas totalnej inwigilacji. Głównym celem bezpieki było utworzenie systemu terroru, ponieważ tylko w ten sposób można było podporządkować sobie społeczeństwo, w większości wrogie narzuconej władzy.

SĄDY W POLSCE TO PIC I FOTOMONTAŻ

„Sądy w Polsce to pic i fotomontaż. Tu się kroi i tu się szyje. Sądy są od tego, aby zaprasować nasz wyrok i ogłosić go”. Te słowa oficera śledczego Informacji Wojskowej można odnieść do roli wszystkich organów śledczych, przed którymi komuniści postawili zadanie walki z „wrogami władzy ludowej”

dr WOJCIECH FRAZIK

Dokonując w latach 1944-1945 podboju Polski, Związek Sowiecki usilnie dbał o zachowanie pozorów legalności. Dlatego narzucone władze deklarowały między innymi zachowanie w większości przedwojennego porządku prawnego i przejęły przedwojenny aparat sądownictwa.

Rychło okazało się, że taki wymiar sprawiedliwości jest zupełnie nieadekwatny do rewolucyjnych celów, jakie stawiali przed sobą komuniści - przede wszystkim nie zapewnia sprawnej eliminacji przeciwników politycznych. Do grudnia 1945 r., gdy został zniesiony stan wojenny, można było posiłkować się w tym dziele sądami wojskowymi, które opierały się na „prawie” ukształtowanym w latach 1943-1944. Dlatego w styczniu 1946 r. do realizacji celów politycznych: „unieszkodliwiania wroga klasowego” powołano Wojskowe Sądy Rejonowe (WSR). Wbrew nazwie miały one na podstawie specjalnych przepisów sądzić przede wszystkim cywilów (obok nich pod ich jurysdykcję podlegali członkowie niewojskowych formacji mundurowych). Przez kolejne dziesięć lat były one najważniejszym narzędziem rozprawy z siłami niepodległościowymi i wszystkimi wskazywanymi na kolejnych etapach przez partię komunistyczną jako wrogowie.

Główne decyzje zapadały oczywiście na najwyższych szczeblach władzy, a ogłaszane były z trybuny Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Na poziomie wojewódzkim szeregowały „polityki karnej” ustalano podczas wspólnych narad I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego, szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, szefa Wojskowej Prokuratury Rejonowej i szefa Wojskowego Sądu Rejonowego. Mimo deklarowanej niezawisłości, sami sędziowie WSR (i Najwyższego Sądu Wojskowego) czuli się zobowiązani realizować politykę partii komunistycznej, przez co rozumieli między innymi dopełnianie dzieła rozpoczętego przez aparat bezpieczeństwa.



Sala rozpraw w czasie procesu krakowskiego WiN i PSL, po lewej stronie stół sędziowski, na wprost ława oskarżonych

Śledztwo

Od początku nowa władza, wprowadzając specjalne prawo, wskazywała, że dochodzenie w sprawach przestępstw określonych jako „antypaństwowe” i „zbrodnie stanu”, a zagrożonych najczęściej karą śmierci, prowadzić będzie aparat bezpieczeństwa.

Biorąc pod uwagę, że był on definiowany jak miecz i tarcza partii komunistycznej oraz jednoznacznie sytuowany jako jej główne narzędzie mające zapewnić utrzymanie i umocnienie jej panowania, nie mógł być narzędziem ustalania prawdy. Wręcz przeciwnie - wszelkimi sposobami miał on dostarczyć argumentów zaskazaniem wytypowanych do aresztowania. Oprócz niewątpliwych przeciwników, czyli uczestników cywilnej i zbrojnej konspiracji, byli to bowiem - w ramach kolejnych kampanii politycznych - członkowie niezależnych ugrupowań politycznych, księża, rzekomi kułacy czy sabotażyści.

Akta śledztwa były tak przygotowywane, by zawierały wyłącznie materiały zgodne z linią oskarżenia. Z licznych źródeł wiemy, jak wyglądała „praca” nad protokołami prze-

słuchań. Trwała ona tak długo, aż podejrzany potwierdził założone tezy oskarżenia. Protokoły nieodpowiadające temu założeniu nie trafiały do akt przeznaczonych dla sądu. Formalnie to prokuratura odpowiadała za oskarżenie przed sądem, jednak w praktyce jej nadzór nad śledztwem w cywilnym i wojskowym aparacie bezpieczeństwa był iluzoryczny, a prokuratorzy najczęściej ograniczali się do zatwierdzenia (ewentualnie z drobnymi zmianami) sporządzonego tam aktu oskarżenia. Oficjalne zarządzenia nakazywały dokonywanie czynności śledczych przez prokuratora zawsze w obecności oficera śledczego, co w oczywisty sposób prowadziło do potwierdzenia przez aresztowanego wymuszonych na nim wcześniej zeznań.

Serwilizm sądów wojskowych wobec UB był jaskrawo widoczny w kwestii tymczasowego aresztowania - powyżej sześciu miesięcy wymagało ono postanowienia sądu (wcześniejszej prokuratury). Tak długi czas śledztwa nie był niczym nadzwyczajnym, a sądy zatwierdzały wnioski o przedłużenie aresztowania bez zapoznawania się z aktami.

Procesy

Szczególnym przypadkiem rozpraw sądowych były procesy pokazowe. Były one niezwykle pieczołowicie przygotowywane przez aparat bezpieczeństwa, by spełniły zakładane cele polityczne. Ich scenariusz pisany był w gabinetach partyjnych, ale reżyseria należała do śledczych.

W pierwszym etapie należało wymusić na aresztowanych odpowiednie zeznania. Po sformułowaniu na tej podstawie aktu oskarżenia tuż przed samą rozprawą śledczy odbywali z oskarżonymi „rozmowy kontrolne”, które miały upewnić, że przed sądem potwierdzą oni treść protokołów przesłuchań. Uciekano się do szantażowania losem rodziny, współoskarżonych, a przede wszystkim obiecywano zmaltretowanemu długim zwykle śledztwem więziennemu łagodniejszy wymiar kary - nierzadko groziła im przecież śmierć, co stale słyszeli od oprawców. Funkcjonariusze obecni byli podczas rozprawy, a gdy zaczynała przebiegać niezgodnie z założeniem, doprowadzali do jej przerwania przez sąd. Nacisk na oskarżonych pozwalał na jej wznowienie.

Przed krakowskim WSR odbyły się dwie rozprawy pokazowe o znaczeniu ogólnopolskim: proces działaczy II Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN i PSL w lecie 1947 r. i tzw. proces kurii krakowskiej w styczniu 1953 r. Wyroki określono na najwyższym szczeblu politycznym, sąd je „zaprasował”.

W sprawach politycznych procesy pokazowe stanowiły mniejszość, w większości były to procesy „kiblowe” - w celu więziennej bądź z wyłączeniem jawności, gdzie jedyną „publicznością” byli oficerowie śledczy. Zdarzały się sytuacje, że funkcjonariusze zasiadali w składach sądowniczych. W listopadzie 1956 r. podczas narady aktywu partyjnego NSW sędzia kpt. Michał Bieniaszewski przedstawiał jako niemal rewolucję odsunięcie funkcjonariuszy WUBP od wpływu na pracę sądu i od orzekania, gdy szefem WSR w Zielonej Górze został w połowie 1952 r. mjr Józef Waszkiewicz.

Nawet podczas procesów pokazowych zdarzało się, że oskarżeni bądź świadkowie odwoływali wymuszone przez UB zeznania. Prokuratorzy i sędziowie uznawali to z reguły za prowokację; byli sędziowie,

którzy fakt taki uznawali za okoliczność obciążającą i zaostrzającą wyrok. Mimo oficjalnego zakazu stosowania tortur w śledztwie nie zdarzało się, by po ujawnieniu podczas procesu faktu ich stosowania sędziowie podejmowali jakiegokolwiek kroki zmierzające do wyjaśnienia tej kwestii, a tym bardziej skutkujące ukaraniem sprawców.

Raport Szerera

Jesienią 1956 r. na fali przemian politycznych sędziowie (zwłaszcza wojskowi) i szerzej - osoby związane z wymiarem sprawiedliwości bili się w piersi i analizowali przyczyny swojego udziału w systemie zbrodni. Jednak próby rozliczenia się z przeszłością ucięto bardzo szybko, powołane w tym celu komisje materiał zgromadziły, ale praktyczne wnioski zostały wyciągnięte wobec bardzo nielicznych.

Sędzia Mieczysław Szerer, który na przełomie 1956 i 1957 r. był członkiem komisji badającej odpowiedzialność za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym, w swoim raporcie wskazywał przede wszystkim na „system”, który zmieniał młodych obiecujących oficerów w bestie znęcające się w śledztwie nad niewinnymi osobami, atmosferę polityczną kreowaną przez najwyższe czynniki w państwie i potęgowaną przez propagandę, nacisk położonych często przysłanych ze Związku Sowieckiego. Nie pominął też zwykłych ludzkich słabości: karierowiczostwa, słabego charakteru, niskiego poziomu umysłowego czy moralnego. Konkludował, że nie da się udowodnić sędziemu orzekania w złej wierze i wskazywał, że należy odrzucić odpowiedzialność karną sędziów za ich decyzje.

Jednak niezależnie od skali manipulacji materiałem dowodowym przez śledczych, nacisków, atmosfery politycznej, strachu o własny los czy zwykłego oportunistu do poszczególnych sędziów - wydając wyroki często tragicznie nieodwracalne - legalizowali komunistyczną politykę zwalczania podziemia niepodległościowego, opozycji i „wroga klasowego”. Nierzadko nosiło to znamiona zbrodni sądowej, co dopiero od niedawna zaczyna być mocniej akcentowane.

BEZPIEKA, I CO DALEJ?

Po 1956 r. UB zostało zastąpione przez SB. Zmieniła się nazwa, częściowo zredukowano kadre, nowa sytuacja wymagała też innych metod działania. Ale do końca PRL bezpieczeństwa pozostawała narzędziem represji wobec społeczeństwa

dr MARCIN KASPRZYCKI

Październikowa „odwilż” 1956 r. wywołała największy od powstania kryzys w policji politycznej. Odnosiła ona regres na płaszczyźnie organizacyjnej, funkcjonalnej i pod względem zasobów ludzkich – własnych i zorganizowanej w całym kraju sieci agentów i informatorów, na co dodatkowo nałożył się spadek zaufania ze strony nowej ekipy rządzącej.

W nowym, popaździernikowym formacie policja polityczna – Służba Bezpieczeństwa – ukryta została w strukturze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Do jej zadań miało należeć zwalczanie „szpiegostwa, terroru i innej wrogiej działalności skierowanej przeciwko władzy ludowej i interesom państwa”. W MSW powstały trzy pionowe operacyjne SB: Departament I (wywiad), Departament II (kontrwywiad) oraz Departament III („walka z działalnością antypaństwową w kraju”) oraz pionowe pomocnicze, zajmujące się kontrolą korespondencji, obserwacją i podsłuchami.

„Wróg to nie jest abstrakcja...”

Przypisane bezpieczeństwu nadal miały być realizowane za pomocą metod, środków i form pracy określanych przez kolejne normatywy wewnętrzne resortowe. To, co się zmieniło po 1956 r., to kolejność stosowania tych funkcji. O ile wcześniej dominowała funkcja represyjna, o tyle po „odwilży” na pierwszy plan wysunęły się funkcje informacyjna, kontrolna i manipulacyjna, ale jeśli interes władzy tego wymagał, sięgano też po funkcję represyjną.

Na naradzie kadry kierowniczej SB w połowie lutego 1957 r., minister spraw wewnętrznych Władysław Wicha wypowiedział słowa, które definiowały rolę policji politycznej w popaździernikowym reżimie: „Podstawowym zadaniem [SB] to ustalenie się na froncie walki klasowej. Ustawienie się tak, ażeby wroga bić tam, gdzie on jest (...). A gdzież ten wróg może się znajdować? Wszędzie. I w mieście i na wsi – wróg to nie jest abstrakcja, wróg to jest żywy człowiek, który musi gdzieś się uplastować ażeby tą wrogą działalność prowadzić”.



Akademia z okazji 25. rocznicy powołania aparatu bezpieczeństwa. Z dwóch stron dekoracji częściowo widoczne słowa: MO i SB (1969 r.)

„Siedźcie cicho na d... i koniec”

Jak w praktyce miało to wyglądać, przekonał się jesienią 1957 r. Marian Pajdak, działacz Stronnictwa Narodowego, żołnierz Narodowej Organizacji Wojskowej, skazany po wojnie w procesie Adama Doboszyńskiego. Po wyjściu z więzienia w listopadzie 1956 r. rozpoczął organizowanie pomocy dla więźniów okresu stalinowskiego, kontaktując się w tej sprawie między innymi z emigracyjnymi działaczami narodowymi. A ponieważ z korespondencji przejętej przez SB wynikało, że krytykował władze komunistyczne, bezpieczeństwa postanowiła go „uspokoić”.

Wezwany do MSW, usłyszał od esbeka tyradę, dosadnie wyrażającą oczekiwania: „My ani nie chcemy z waszej strony ofiarności, ani nie chcemy abyście stanęli na mównicy i zaczęli wychwalać nas, albo żebyście zaczęli hymny pochwalne śpiewać na cześć komunizmu i socjalizmu, czy władzy ludowej (...). Siedźcie cicho na d... i koniec. Szukajcie sobie możliwości osobistego wyżycia się, powiedzmy niech to będzie w figurkach, niech będzie w robieniu dzieci, niech będzie w ogródku, niech to będzie w łowieniu ryb, niech to będzie w czymkolwiek innym. Tyle jest pięknej literatury, czytajcie (...). Róbcie te rzeczy, które nie przeszkadzają, które nie narażają”.

„Kler to nasz wróg”

W pierwszych latach po objęciu władzy przez Gomułkę, głównym przeciwnikiem ideologicznym komunistów był Kościół katolicki. Celem był nie tylko prymas Stefan Wyszyński i najwyżsi hierarchowie. Aktywizacja wiernych w ramach Wielkiej Nowenki uświadomiła władzy, że należy uderzyć w parafie, gdzie życie religijne było najbardziej dynamiczne i promieniowało na lokalne społeczności. Gdy nadarzała się okazja, wykorzystywano agenturę do dezintegracji tych wspólnot.

W ten sposób w 1964 r. powstała m.in. tzw. parafia niezależna w Kamionce Wielkiej koło Nowego Sącza. Wikary, będący na usługach SB zbuntował się przeciwko ordynariuszowi tarnowskiemu i wspierany przez część wiernych zażył stary kościół. Oszukując zwolenników, że wszystko odbywa się w zgodzie z prawem kanonicznym, stał się narzędziem bezpieczeństwa, przysparzającym Kościołowi problemów. Ale działania SB odcisnęły również piętno na życiu parafian: „Sklóceni są tutaj nie tylko sąsiedzi, lecz najbliżsi członkowie rodzin. Antagonizmy i różnice poglądów są tak ogromne, że gniewa się brat z bratem, mąż z żoną, sąsiedzi”.

„Nie potopimy ich w Wiśle”

W nowej instrukcji o pracy operacyjnej SB z lutego 1970 r. ponownie uwypuklono akcenty

ideologiczne, które miały przypominać funkcjonariuszom, że wszystko co robią, ma związek z ochroną „ludowej ojczyzny” i „mas pracujących”, wytrwale budujących socjalizm, któremu zagrażały ośrodki „dywersyjne” na Zachodzie, inspirujące „wrogów” w kraju do działalności antykomunistycznej.

Kolejne wyzwania stanęły przed SB po zawiązaniu Komitetu Obrony Robotników, niosącego pomoc robotnikom represjonowanym za protesty z czerwca 1976 r. Choć MSW stało na stanowisku zdecydowanego uderzenia w jawnie działającą grupę opozycyjną, uwarunkowania międzynarodowe, m.in. uzależnienie PRL od zachodnich pożyczek, wymusiły na SB inną taktykę. Jak stwierdził dyrektor Departamentu III MSW gen. Adam Krzysztowski: „my nie weźmiemy kilkudziesięciu, a może setki, a może stukilkudziesięciu młodych ludzi i może tak mówiąc nieładnie, nie potopimy ich w Wiśle”.

Dlatego wobec dysydentów zastosowano szeroką gamę „działań politycznych, operacyjnych i śledczych” o charakterze nękającym, wśród których m.in. były anonimowe pogróżki, najścia „aktywu”, pobicia oraz środki operacyjne (inwigilacja przez tajnych współpracowników, kontrola listów, obserwacja, podsłuchy). Jednak te „zawężone represje” wymknęły się spod kontroli. 7 maja 1977 r. na klatce schodowej kamienicy przy ul. Szewskiej

w Krakowie znaleziono zwłoki Stanisława Pyjasa, studenta polonistyki UJ i współpracownika KOR. Dla jego przyjaciół było oczywiste, że za zabójstwem stała bezpieka. Tym bardziej, że kilka miesięcy później z Zalewu Solińskiego wyłowiono zwłoki innego studenta UJ Stanisława Pietraszki, niewygodnego dla SB świadka, który widział Pyjasa niedługo przed śmiercią z nieznanym mężczyzną.

Od Solidarności do „Renesansu”

Strajki w lecie 1980 r. i powstanie Solidarności zaskoczyły władze. Bezpieka zbierała informacje o osobach zaangażowanych w organizowanie struktur związku w miejscach pracy. Potrzeby operacyjne wymusiły werbunek kolejnych tajnych współpracowników, których ilość od drugiej połowy lat 70., w związku z pojawieniem się jawnej opozycji sukcesywnie rosła. W 1980 r. osiągnęła liczbę ok. 30 tys., a w następnym kilka kolejnych tysięcy. Jednym ze sposobów na neutralizację związku miała być jego dezintegracja, która miała doprowadzić do trwałych podziałów. Sprawdzeniem dla skuteczności wykorzystania tego narzędzia był I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarność, na którym wśród 857 delegatów było 71 donosicieli.

Wprowadzenie stanu wojennego było wyraźną porażką SB, która mimo skokowego wzrostu agentury nie potrafiła środkami operacyjnymi prze-

jąć kontroli nad związkiem. W pierwszych tygodniach stanu wojennego próbowała nieskutecznie zrealizować kolejny cel. W ramach operacji „Renesans” werbowała zastraszonych działaczy do współpracy, planując oprzeć na nich działalność „odnowionej” Solidarności, w pełni podporządkowanej PZPR. Ostatecznie z operacji zrezygnowano, do czego przyczyniła się również postawa Lecha Wałęsy, który odmówił firmowania tego przedsięwzięcia swoim nazwiskiem.

Schyłek

Wszystko, co robiła SB, robiła w interesie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i sprawowanej przez nią z sowieckiego nadania władzy. Nawet po częściowo wolnych wyborach z czerwca 1989 r., gdy PZPR znalazła się w trudnej sytuacji, bezpieka starała się ingerować w życie polityczne zgodnie z jej interesem.

Szef SB gen. Henryk Dankowski nakazał zdjęcie z czynnej ewidencji wszystkich nowo wybranych posłów sejmu kontraktowego, wykorzystywanych jako osobowe źródła informacji, z jednoczesnym utrzymaniem z nimi kontaktów operacyjnych. Gdy Zgromadzenie Narodowe miało zająć się wyborem kandydata PZPR na prezydenta, Dankowski zalecał wykorzystanie możliwości SB, by zagwarantować odpowiedni wynik.

Jesienią 1989 r., przy okazji kolejnej reorganizacji mocno okrojono strukturę SB, czemu towarzyszyła redukcja kadry. Zmiany polityczne przyspieszyły w 1990 r. W styczniu została rozwiązana PZPR, a osamotnieni esbecy zaczęli walkę o przetrwanie. Jednocześnie po cichu od lata 1989 r. niszczyli dokumenty operacyjne, do czego zachęcał Dankowski, sugerując podwładnym „odchudzenie szaf”.

6 kwietnia 1990 r. Sejm uchwalił ustawę o Urzędzie Ochrony Państwa. Esbecy, którzy wyrazili chęć pozostania w nowej służbie, musieli przejść weryfikację. Z 24 tys. funkcjonariuszy na ten krok zdecydowało się 14 tys., a 10 tys. komisje weryfikacyjne zaopiniowały pozytywnie. W efekcie UOP, który miał dbać o bezpieczeństwo niepodległej Rzeczypospolitej już na starcie został skazany obecnością „fachowców”, do niedawna służących komunistom.

Zofia Komedowa, Maria Kownacka, Joanna Hasiorowa - są bardzo różne. Co łączyło je w ich związku z Bieszczadami?

Wszystkie kochały niezależność, miały ogromną wiarę w siebie i przekonanie, że poradzą sobie wszędzie. Hasiorowa, artystka tkaniny, żona Władysława Hasiora, podróżowała i wystawiała prace na całym świecie. Komedowa - najpierw żyła jako światowa kobieta u boku męża muzyka, torując mu karierę, a potem odważna wdowa. Kownacka - przez lata bez oporów ruszała w teren, nawet po siedemdziesiątce, by obserwować przyrodę. Była wieczną „kobietą w drodze” - reporterką, krajoznawczynią, która musiała wszystko w naturze dotknąć, usłyszeć i zobać. Pracowała do końca życia. Wszystkie moje bohaterki to kobiety wyzwolone, samodzielne, odważne, gotowe podjąć decyzję o zmianie życia z dnia na dzień. Synowie Hasiorowej i Komedowej opowiadali mi, jak nagle usłyszeli od matek, że mają im wynająć pokój lub spakować rzeczy z mieszkania, bo one zostają w Bieszczadach. Moje bohaterki łączyła też ogromna uważność na przyrodę. Zofia Komedowa opowiadała, że nie mogła się skupić na czytaniu, bo tyle działo się wokół jej domu w Bieszczadach: a to samy podchodziły pod San, a to łasice biegały po strychu, a to niedźwiedź wszedł na podwórko, albo obserwowała przez lornetkę ptaki w dolinie Sanu.

To bohaterki na nasze czasy?

Zdecydowanie. Realizowały w jakiś sposób - pewnie nieświadomie - ideę głębokiej ekologii. Nie stawiały siebie w centrum i zamykały się w domach, tylko budowały relacje z sąsiadami, rozumiały, że współczucie to nie uczucie, tylko postawa, dbały o zwierzęta, przyglądały się roślinom rosnącym obok domu, czyli aktywnie, z pełnym zaangażowaniem nawiązywały więzi ze wszystkim, co żyje. I troszczyły się o środowisko. Pomagały innym i chroniły to, co wokół, doświadczając Bieszczadów w pełni.

Tytuł „Nie dopytuj się” brzmi jak nakaz milczenia. Co oznacza?

To zdanie usłyszałam w Bieszczadach kilka razy. Na przykład od gospodarza schroniska, którego dopytywałam kiedyś o współuczestników pewnego wieczoru w Bieszczadach. Opowiedział mi historię jednego z kolegów, który w nich przepadł. Drugi raz - od osoby wychowanej w Bieszczadach, która odkryła, że część rodziny kolegi, która nagle zjawia się w jego domu, trafiła na Warmię po wysiedleniu w czasie akcji „Wisła”. W obu sytuacjach padło: „Nie dopytuj się”. Nie wiedziałam też przez długi czas, czy mam prawo dopytywać

ARTYSTKI, NIEZALEŻNE WDOWY I BUNTOWNICZKI. BOHATERKI BIESZCZADZKICH OPOWIEŚCI

Bieszczady - kraina wolności, zakapiorów, artystów i uciekinierów od miejskiego hałasu. Ale im dłużej im się przyglądać, tym wyraźniej widać, że to miejsce nie jest ani romantyczną dziczą, ani pustą przestrzenią gotową na nowe legendy. Pod warstwą współczesnych opowieści wciąż żyją tu historie wysiedleń, nieistniejących wsi, wieloetnicznych sąsiedztw i pamięci. Anna Kamińska w książce „Nie dopytuj się” wraca w Bieszczady, by opowiedzieć je na nowo z kobiecej perspektywy.

Jolanta Tęcza-Ćwierz



FOT. MAT. PRASOWE

Anna Kamińska: Przez dwa lata jeździłam w Bieszczady na reporterskie wyprawy

o losy pewnej rodziny z Wełtyny, aż w końcu się odważyłam. Uznałam, że to świętny tytuł, bo w Bieszczadach takich niedopowiedzianych historii - wynikających z wojny oraz wysiedleń, przesiedleń, czy trudów życia na co dzień jest mnóstwo, a codzienność bieszczadzka i okruciny wielkiej historii to tło mojej książki.

Jak często trafiała pani na historie, których nie dało się dopytać?

W Bieszczadach pamięć została przerwana w latach 40. XX wieku, więc nieustająco traflałam na takie historie. Każda wieś ma inną przeszłość: jedne miejscowości objęła akcja „Wisła”, inne - jak okolice Lutowisk - nie, bo do 1951 roku należały do ZSRR, dopiero potem na skutek korekty granic wróciły do Polski. Ta wielość, różnorodność i gęstość historii była dla mnie wyzwaniem.

Jak wyglądała pani praca?

Przez dwa lata jeździłam w Bieszczady na reporterskie wyprawy. Część rozmów zawsze miałam umówionych, a część wynikała z tego, że kogoś spotkałam na miejscu. Przyglądałam się życiu w wielu miejscowościach. Rozmawiałam z rodzinami i przyjaciółmi głównych bohaterów książki, przeglądałam dokumenty, odwiedzałam archiwa, odsłuchiwałam nagrania Zofii Komedowej, odszyfrowywałam listy byłej żony Władysława Ha-

siora, odszukiwałam świadków zdarzeń w innych częściach Polski i sporo czytałam, żeby nie powtarzać tego, co już napisano o Bieszczadach, tylko opowiedzieć czytelnikom nowe historie.

Czy podczas zbierania materiałów coś panią zaskoczyło?

W Bieszczadach zaskakuje wiele i to nawet ludzi, którzy są stamtąd, choćby dzika przyroda. Spotyka się tam osoby z nieprzewidywalnymi pomysłami na życie, barwnymi osobowościami, czy takich, którzy opowiadają niestworzone rzeczy. Przed sklepami we wsiach siedzą miejscowi, którzy potrafią snuć opowieści bez końca. Mnie na pewno zaskoczyła Zofia Komedowa. Znałam ją z opowieści artystów i publikacji - raczej niepoehlebnych. A jej sąsiedzi malowali zupełnie inny obraz „Zośki” - osoby, która pomagała wszystkim we wsi, wozila cudze zwierzęta do weterynarza, pomagała ludziom pisać pisma, załatwiała lekarzy, prowadziła dom otwarty dla wszystkich: i dla artystów, i dla miejscowych.

A same Bieszczady? Zmieniła się pani wizja tych gór?

Znałam Bieszczady od lat z górskich wędrowek i miałam zawsze wrażenie, że to góry łagodne. Jednak kiedy zaczęłam rozmawiać w ramach pracy nad książką z ratownikiem GOPR i dowiedziałam się o wielu zdarzeniach: zaginięciu dzieci na połoninie, zamarnięciu leśnika w lesie na skutek załamania pogody, czy wypadku śmiertelnym na łagodnym Bukowym Berdzie, zaczęłam na nie patrzeć inaczej, z respektem. Opisuję w książce te historie.

Pisze pani również o napięciach kulturowych: Bojkowie, Łemkowie, Polacy, Ukraińcy, Żydzi. Czy Bieszczady nadal noszą ślady tamtej wieloetnicznej historii?

Ślady rzeczywiście noszą, ale mam wrażenie, że o wieloetniczności, wielokulturowości, czy wielonarodowości dawnych Bieszczadów mówi się zdecydowanie za mało. Wielokulturowość sprzed II wojny światowej nie jest tu szeroko opisywana, pokazywana, czy przypominana. W Lutowiskach jest kirkut - cmentarz żydowski, ale trudno do niego trafić, tablica informacyjna stoi gdzieś na uboczu, a w miejscu byłej synagogi, po której zostały ruiny, leżą śmieci. Zdecydowanie brakuje działań, które przywołałyby tamtejszą historię.

W książce pojawia się też Siłmona Kossak. Jaką rolę odegrała w kontekście Bieszczad?

Zanim trafiła do Puszczy Białowieskiej, marzyła, by pracować w Dolinie Hulskiej w Bieszczadach. Pojechałam tam jej śladami, żeby zobaczyć miej-

sce, które sobie wymarzyła. Znała te góry z czasów studiów biologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim i po dyplomie chciała badać tam dzikie zwierzęta. Nie dostała jednak pracy, nie było tam jeszcze Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Pojechała więc do Białowieży, znalazła etat w jednym z instytutów naukowych i została tam na całe życie. Ale kochała każdy las górski: świerki, jodły, cisy. Wracała w Bieszczady, miała tu przyjaciela. Patrząc na nią, próbowałam zrozumieć, co tak bardzo ją tu kiedyś porwało, zafascynowało i uwiodło. Dzisiaj rozumiem ją doskonale.

Pisze pani o kobiecej relacji z naturą, a Bieszczady określa jako „kobietę niezależną”.

Skąd ten trop?
Z historii moich bohaterek. Od początku chciałam opowiedzieć o nich z kobiecej perspektywy, ponieważ takiej w książkach o Bieszczadach właściwie nie ma. Trafiłam na publikacje o zakapiorach, wojsku, harcerzach, PRL-u, ale nie o kobietach. A wiedziałam od lat, że mieszkała w nich choćby „szalona Zośka Komedowa”. To jej historia zmotywowała mnie, by przyjrzeć się, jak żyły tam inne kobiety: dlaczego wybrały to miejsce, albo do niego wróciły, dlaczego zostały w Bieszczadach niejako zarządzaniem losu i jakie te kobiety są. Rozmawiałam z panią, która pamięta przedwojenne Bieszczady i ma ponad 100 lat, przytaczam relacje wielu kobiet. Chciałam pokazać, jak kobiety funkcjonowały w trudnym terenie, w surowym klimacie, z kiepskimi drogami i długimi zimami. Kiedyś i dziś.

W książce wybrzmiewają te trudności życia w górach. Jak wpływały one na pani bohaterki i na pani odbiór ich siły?

Imponują mi najbardziej ich otwartość, elastyczność i gotowość do przemieszczania się, także w dojrzałym wieku. To „kobiety migrujące”, które przeczą stereotypowi, że starzych drzew się nie przesadza. I Komedowa, i Hasiorowa miały wnuki, a Kownacka wychowywała siostrzeńców, ale chciały przeżyć swoje życie po swojemu, mieszkać z daleka od miasta w dzikiej przyrodzie i sprawdzić się w nowym miejscu. Były dzielne, kreatywne, spontaniczne i miały poczucie humoru. Apelowaly, by ze wszystkim co żyje, rośnie, kwitnie, żyć w harmonii. Dziś dużo mówimy o „drugiej połowie życia”, czy „starzeniu się z godnością”, a te kobiety pokazują, jak może wyglądać życie na emeryturze i to jest niezwykle podbudowujące. Miałam ogromną przyjemność, że mogłam odkryć te kobiety, czytać ich zapiski, słuchać ich słów, oglądać ich życie na fotografiach i opowiedzieć ich historie w swojej książce.

Kończący się rok Opera Krakowska zdecydowanie może uznać za udany: głośne premiery, gwiazdy na afiszu i wypełniona widownia, a na ostatniej prostej inscenizacja dla najmłodszych melomanów. O tym, jak instytucja otwiera się na nowe pokolenia, a także o planach na przyszły sezon, rozmawiamy z dyrektorem Opery Krakowskiej Piotrem Sułkowskim

Anna Piątkowska

PIOTR SUŁKOWSKI: W KRAKOWIE PUBLICZNOŚĆ NAM UFA

„Amahl i nocni goście” – świeżutka premiera – to kolejny tytuł, który Opera Krakowska kieruje do najmłodszej widowni. Da się zauważyć, że bardzo dbacie o młodego widza. Większość instytucji dba o to, by o publiczności myśleć szeroko. Po pandemii nasza publiczność się zmieniła, z wielu powodów nie wróciło wielu dotychczasowych bywalców. Ale jednocześnie pojawiły się nowe osoby, które wcześniej do opery nie zaglądały – my jako jedna z pierwszych instytucji otworzyliśmy się, kiedy ludzie byli już znudzeni oglądaniem wszystkiego na ekranie. Teraz naszą misją jest edukowanie tych nowych odbiorców i przygotowanie przyszłych. Nawet jeśli te dzieciaki, które teraz bywają u nas na rozmaitych zajęciach, nie zostaną melomanami, to będą świadomi tego, czym jest opera.

W przypadku opery chyba trochę koniecznością jest przygotowanie sobie kolejnego pokolenia publiczności. Opera jest miejscem odwiedzanym raczej przez starszych niż młodszych, albo osoby, które na muzyce się znają. W zwykłej szkole trudno dojść do takiego etapu.

Opera jest bardzo wdzięcznym tematem, jeśli chodzi o dzieci, ponieważ dostają tu wiele różnych bodźców: muzykę, rozmaite instrumenty, ruch, kostiumy, multimedia – mamy coś, co może zachwycić, a na pewno zainteresować. Problem leży raczej w tym, że opera „kojarzy się z czymś trudnym i nudnym – nie wiem dokładnie, co to jest, ale to nie dla mnie”. Tak nie jest i mamy wiele dowodów na to – nie rzadko przychodzą do nas osoby, które dotarły po raz pierwszy do opery przypadkiem, np. dostały zaproszenie, i nagle odkrywają, że na scenie dzieją się fantastyczne rzeczy. Nie zliczę, ile razy już słyszałem: „Czemu nie przyszedłem tu wcześniej?”. I to jest odpowiedź: trzeba przyjść i się przekonać. My skupiamy się na tym, żeby zachęcić do od-



Dyrektor Opery Krakowskiej Piotr Sułkowski

wiedzenia nas. W przypadku dzieci nie bombardujemy trudnymi utworami, tylko zabawą wokół opery, oprowadzamy po budynku, zaglądamy za kulisy, pokazujemy instrumenty, jak się szyje stroje – po to, żeby zaciekać i ośwoić. Dla nieco starszych dzieci, młodzieży mamy widowiska, które wprawdzie wymagają już jakiejś wiedzy, ale same też są w pewien sposób edukacyjne, jak „Kopernik” czy „Bona Sforza”. Krok po kroku budujemy sobie publiczność.

„Amahl i nocni goście” to spektakl rodzinny. To jest taka okazja, żeby zobaczyć operę po raz pierwszy?

Zdecydowanie, bo jest piękna wizualnie, atrakcyjna muzycznie, a do tego mamy historię dotyczącą tematów aktualnych. Główny bohater, chłopiec Amahl, czuje się samotny, odrzucony, jest półsierotą i jest kaleki, ale ma marzenia. Odwiedzają go Trzej Królowie i... więcej nie zdradzę. To świąteczno-magiczna historia dla wszystkich: naprawdę małych dzieci, bo jest to piękne widowisko, aż po naprawdę dojrzałe osoby. Jednoaktowa opera, niezbyt długa, śpiewana po polsku, na pewno nie zmęczy. W dodatku jest to coś nowego w repertuarze polskich oper: nie gra jej nikt poza nami, więc będzie okazja usłyszeć coś nowego.

To też kolejny utwór, który można usłyszeć tylko w Operze Krakowskiej. Przyznaję, że o publiczności operowej myślę, że najbardziej lubi to, co doskonale zna, a Pan przelamuje ten schemat.

Rzeczywiście, klasyczny repertuar najlepiej się sprzedaje i rozszerzanie tego pola nie jest łatwe. Trzeba umieć zachęcić, bo publiczność jest niezwykle podejrzliwa w stosunku do utworów, które powstały jakiś czas temu, ale nie są grane. Pojawia się pytanie, czy nie dlatego, że są kiepskie. A to nieprawda: zdarza się, że coś miało np. niezbyt ciekawą realizację i potem już nikt się za ten tytuł nie brał. Natomiast w przypadku „Ama-

hla” zdecydowanie tak nie jest. To pierwsza opera telewizyjna napisana przez Gian Carlo Menottiego w 1951 roku dla amerykańskiej telewizji, gdzie miała swoją premierę. Dopiero potem trafiła na scenę. W Stanach Zjednoczonych jest to tytuł stale grany w okresie świątecznym. My proponujemy „Amahl” jako urozmaicenie dla „Nowej Opowieści Wigilijnej” oraz „Dziadka do orzechów”, które też mamy w repertuarze i będziemy grać przed świętami.

Jest satysfakcja, kiedy proponuje się widowni coś nowego i to „chwytą”?

No pewnie! W Operze Krakowskiej mamy już kilka takich ty-

tułów: poza „Amahlem” to „Wanda”, „Bona Sforza”, „Kopernik”, operetka „Loteria na mężów” i „Pierwsza zmarszczka”, która miała swoje polskie prawykonanie w naszej Operze. Trzeba przyjechać do Krakowa, żeby usłyszeć te utwory, są tylko u nas. Jestem bardzo otwarty na takie propozycje repertuarowe, jeśli tylko jesteśmy je w stanie zrealizować.

Musi się też sprzedać, brutalnie mówiąc?

Tak, ale nie mamy z tym kłopotu. W Krakowie publiczność nam ufa, przychodzi nawet na tytuły nieznane i jest nam niezwykle miło, gdy poleca nasze spektakle – a tak się dzieje. To najlepsza promocja.

Ale w repertuarze Opery są też klasyki długo oczekiwane w Krakowie, jak „Aida”. Wielki sukces, choć chyba niełatwo zrobić tytuł, który wszyscy melomani znają, tak, żeby pokazać go inaczej. Twórcom „Aidy” w Operze Krakowskiej fantastycznie się to udało.

Reżyser spektaklu, Giorgio Madia, to wspaniały twórca, ale znany głównie z choreografii. Z ciekawością obserwowałem od jakiegoś czasu jego poczynania w operze. Podczas jednego ze spotkań powiedziałem mu, że chciałbym wystawić „Aidę” w Operze Krakowskiej. On się zachnął, mówiąc: „No nie wiem, kto ci się tego podejmie, przecież od tego tytułu trzeba mieć genialny pomysł”. Odpowiedziałem, że właśnie składam mu propozycję. Itaki był początek naszej „Aidy”. Chciałem, by była to inscenizacja nietuzinkowa, którą chce się zobaczyć dziś i która będzie równie atrakcyjna za 50 lat. Nie chciałem, by była przyporządkowana do jakiegoś konkretnego czasu, jak bardzo często się dziś robi. Prosiłem, żeby nie była to też „Aida” osadzona przed dwoma tysiącami lat i żeby nie oczekiwała złotem.

Złota akurat w niej nie brakuje, ale rzeczywiście inscenizacja

FOT. WOJCIECH MATUSIK

**nie oczekiwała nim. Reżyser do-
stał trudne zadanie, bo prze-
cież było już wiele fantastycz-
nych i pamiętanych realizacji.**
A dodatkowym wyzwaniem
było jeszcze, żeby ta insceni-
zacja była mobilna, żeby dekor-
acje można było spakować
na jednego tira, żeby się dało
zagrać na Wawelu... Trzeba
było się nagłówkować, ale wy-
szedł bardzo ciekawy złoto-he-
banowy spektakl, któremu
światło nadaje wiele wymia-
rów. Ogromnie się cieszę z tego,
jak to wyszło. Tuż po premierze
byłem na zjeździe dyrektorów
oper Opera Europa, gdzie zbie-
rałem gratulacje za tę realizację.
Udało się. Oczywiście, zawsze
planuje się, żeby premiera była
świetna, ale nie zawsze to się
udaje. W „Aidzie” mieliśmy
fantastyczny pomysł, dosko-
nałą obsadę, znakomicie przy-
gotowane chóry i orkiestrę. Ale
nie osiadamy na laurach - pla-
nujemy kolejne inscenizacje,
m.in. „Tosce” pokazaną
w piękny sposób. Na początku
przyszłego sezonu zagramy też
„Fausta”, którym zaskoczymy
Kraków. To, co chcemy pokazać
na scenie, będzie dotknięciem
niezwykłego krakowskiego
kawałka historii.

**Kraków już po raz kolejny sta-
nie się tłem spektaklu
w Operze Krakowskiej.**
Tak, mamy „Wandę”, „Bonę”,
„Kopernika” - myślę, że to

ważne, ponieważ mamy taką
misję, żeby przez operę prze-
mycać tematy związane z Kra-
kowem. Odwiedza nas wiele
osób spoza Krakowa i dla nich
to jest też opowieść, która może
zainspirować do poznania le-
piej miasta. Nie ukrywam, że
chcemy, żeby te osoby wyjeź-
dzały z takim skojarzeniem,
że właśnie tu zobaczyły coś ta-
kiego i pozostawały z chęcią po-
wrotu, bo nie da się takiej insce-
nizacji zobaczyć w Wiedniu czy
Paryżu. Dla mieszkańców to
z kolei okazja do odkrycia jakie-
goś kawałka miasta, którego
być może nie znają, albo nasza
inscenizacja pozwoli im spoj-
rzeć na nie z jakiejś nowej per-
spektywy.

**Trochę uchylił Pan rąbka ta-
jemnicy, jeśli chodzi o kolejny
sezon. Czego jeszcze mogą spo-
dziwać się melomani?**
Będzie „Wiedeńska krew”. Pu-
bliczność uwielbia operetki
i ciągle o nie pyta, a w ostatnich
latach jakoś o tych utworach
nie pamiętano, nie uzupeł-
niano repertuaru o nowe ty-
tuły. A z operetką jest tak, że
ciągle musi być świeża - nie da
się grać 300 razy tego samego
tytułu, bo staje się sztampą.
Czegoś nowego potrzebuje
i publiczność, i nasi artyści,
którzy na co dzień grają
w wielu spektaklach opero-
wych, ale jednak operetka jest
zupełnie innym wyzwaniem

- ustawia poprzeczkę wysoko,
jeśli chodzi o dykcję, łączenie
słowa ze śpiewem. To się wy-
daje proste, ale na scenie wery-
fikuje się momentalnie, kto jest
w tym prawdziwy, a kto tylko
odgrywa scenę. Wiosną planu-
jemy też utwór, którzy wszyscy
świetnie znają: „Requiem”
Mozarta. Chcemy pokazać tę
historię w wykonaniu naszego
znakomitego baletu. Muszę to
powiedzieć: mamy fenome-
nalny balet, dużo nowych
osób, skład jest międzynaro-
dowy. Bardzo mnie cieszy,
że tak wiele osób ze świata
chce do nas przyjechać i z nami
współpracować. Mozart będzie
wyzwaniem dla naszego
chóru. Tak trudne kompozy-
cje, jak „Aida” czy „Carmen”,
to dla nich chleb powszedni,
w tym się specjalizują, ale za-
śpiewanie „Requiem” Mozarta
to nie jest repertuar, w którym
na co dzień funkcjonujemy.
Będą emocje, nie mogę się
doczekać tej premiery! Tym
utworem stworzymy okres
wielkanocny.

**Skoro o emocjach, niedawna
premiera „Ariadny z Naxos”
wzbudziła emocje. Spektakl się
podał, ale współpraca z izra-
elską operą wywołała protest
propalestyńskich grup. Jak się
zakończyła ta historia?**
To znakomity spektakl, więc
cieszę się, że mamy go u siebie.
Cieszę się też z powodu współ-

pracy z operami w Tel Awiwie,
Jaffie i operą w Dortmundzie,
z którymi zrealizowaliśmy ten
tytuł. Sami nie byłibyśmy
w stanie pokazać spektaklu
w takim kształcie. Ten protest
czterech osób na sali i grupy
przed operą podczas spekta-
klu niedzielnego, która poja-
wiała się przed budynkiem
także przez następny tydzień,
kiedy graliśmy „Ariadnę”, nie
przekładał się na reakcję pu-
bliczności. Wybrałem ten tytuł
świadomie, ponieważ utwór
jest dla naszego zespołu, orkie-
stry, zespołów wokalnych
bardzo wymagający. I na po-
czątku słyszałem takie obawy,
czy sobie w tym poradzimy.
Teraz słyszę, że jak nam
Strauss poszedł tak dobrze, to
już nic nas nie zaskoczy. Wy-
korzystaliśmy w tym spekta-
klu cały garnitur naszych soli-
stów, a nie jest to tytuł bardzo
popularny. Wszystkie spekta-
kle się fantastycznie sprzedały,
choć Richard Strauss nie jest
pierwszym wyborem naszej
publiczności, ale już mamy py-
tania, kiedy będzie można po-
nownie zobaczyć u nas tę in-
scenizację. Odpowiadam:
jeszcze wiele razy ją zagramy.

Sylwester w operze będzie?
Będzie - rozśpiewany spektakl
oparty na amerykańskich prze-
bojach Broadwayu. Wojciech
Graniczewski napisał piękne li-
bretto, on też reżyseruje i bę-

dzie to pełnowymiarowy dwu-
częściowy spektakl sylwe-
strowy. Tę produkcję bę-
dziemy też powtarzać jako
koncert noworoczny „New
Year Music Show”, a potem
w trakcie sezonu także pod
tytułem „New York Music
Show”.

**Docierały zapewne i do Pana
głosy, że melomani czekają,
kiedy wreszcie w Operze Kra-
kowskiej coś się zacznie dziać.
To chyba teraz jest już ten
moment, na który czekali?**
Żeby upiec chleb, nie wystar-
czyć chcieć. Trzeba mieć piec,
zebrać wszystkie produkty
i dopiero zabierać się za wyra-
bianie ciasta. Rozpoczynając
swoją pracę w Operze Krakow-
skiej, zacząłem przygotowa-
nia, żeby efekty naszej pracy
nie były przypadkowe. Praca
w operze to proces. Nie ma tak,
że dziś wymyślimy, a za trzy
miesiące będzie. Oczywiście,
możemy pozierać dekoracje
z magazynów i zrobić na
szybko galę, ale przygotowa-
nie opery to dwa-trzy lata. Te-
raz widać efekty tych decyzji,
które podejmowałem, rozpo-
czynając pracę w Krakowie.
Dziś planujemy pięć-sześć pre-
mier w sezonie i zawsze coś
do tego jeszcze dochodzi. Je-
steśmy w stanie zrealizować
takie przedstawienia także
pod względem finansów.
Przez ostatnie sezony udaje

nam się tak gospodarować, że
zostaje nam „plus” w budże-
cie, a zastałem instytucję ze
sporym długiem. Nie dosta-
jemy specjalnie większej puli
pieniędzy, ale inaczej nimi za-
rządzamy. To sprawia, że stać
nas na planowanie i nie mu-
simy się obawiać, że jak nie do-
staniemy grantu, to nie zreali-
zujemy jakichś planów. Jeśli
nie zdarzy się nic takiego, co
zbombarduje naszą codzien-
ność, to Opera Krakowska bę-
dzie się bardzo dobrze rozwi-
jała - taki miałem plan, przy-
chodząc tu. I bardzo cieszy
mnie, że nie mamy problemu
z zaproszeniem świetnych ar-
tystów, choć wcale nie płacimy
im bająńskich sum za to, że
przyjeżdżają, bo oni już dosko-
nale wiedzą, czym jest Opera
Krakowska, i chcą tu być.

**Tak było z Jonathanem Tetel-
manem, który wystąpił latem
w Operze Krakowskiej?**
Dokładnie tak. On nie był w Pol-
sce nigdy wcześniej. Kiedy zo-
baczył, jak wygląda nasz Wawel
i dowiedział się, że mógłby tam
wystąpić, od razu zaczął szukać
wolnej daty. Dla naszego ze-
społu to też ważne, kiedy arty-
ści mogą wystąpić z kimś, kto
jest rozpoznawalny na całym
świecie. Udało się go zaprosić,
bo zadzwoniłem i zapytałem.
Być może inni by się zastana-
wali nad wieloma kwestiami,
ja to po prostu zrobiłem.

MATERIAŁ INFORMACYJNY MAŁOPOLSKIEGO ODDZIAŁU REGIONALNEGO ARiMR

0011446234

ROZMOWA Z ŁUKASZEM OŻÓGIEM, ZASTĘPCĄ DYREKTORA MAŁOPOLSKIEGO ODDZIAŁU REGIONALNEGO ARiMR



**Panie Dyrektorze, 1 grud-
nia ruszył nabór wniosków
dotyczących refundacji
kosztów wymiany tach-
ografów inteligentnych. Jak
duże jest zainteresowanie
programem?**
Już pierwszego dnia
funkcjonowania naboru do
Agencji Restrukturyzacji
i Modernizacji Rolnictwa
wpłynęło około 2,8 tysiąca
wniosków. To bardzo wyraź-
ny sygnał, że sektor trans-
portu międzynarodowego
czekał na uruchomienie
tego programu. Zaintere-
sowanie potwierdza rów-
nież potrzebę moderniza-
cji floty i dostosowania jej
do aktualnych wymogów
europejskich.

**Jakie środki przezna-
czono na wsparcie
przewoźników?**
Całkowita pula środków
wynosi ponad 319,67 mln zł,



a program finansowany jest
z Krajowego Planu Odbudo-
wy i Zwiększania Odporno-
ści. To znaczące wsparcie,
które ma pomóc przedsię-
biorcom w dostosowaniu się
do obowiązkowych wymo-

gów dotyczących intelligen-
tnych tachografów.

**Do kogo skierowane jest
dofinansowanie?**
Program przeznaczony
jest dla przewoźników dro-
gowych, którzy mają upraw-
nienia do wykonywania mię-
dzynarodowych przewozów
rzeczy lub osób. Wniosek
mogą złożyć przedsiębiorcy
wpisani do Wykazu upraw-
nionych przewoźników dro-
gowych i posiadający po-
jazdy zgłoszone do licencji
wspólnotowej.

**Na jakie koszty można
otrzymać refundację?**
Pomoc obejmuje zwrot
kosztów zakupu i montażu
inteligentnego tachografu.
Maksymalnie przewoźnik
może uzyskać 3 000 zł netto
na jeden pojazd, przy czym
w pierwszej kolejności finan-
sowanie udzielane jest na do

10 pojazdów wskazanych we
wniosku. Refundacja podlega-
ją wydatki poniesione w okre-
sie od 21 sierpnia 2023 r. do
17 listopada 2025 r.

**Jakie przepisy regulują wa-
runki udzielania wsparcia?**
Podstawą prawną są:
Rozporządzenie Ministra
Infrastruktury z 14 paździer-
nika 2025 r. (Dz.U. 2025 poz.
1385), Regulamin wyboru
przedsięwziąć do objęcia
wsparciem w ramach KPO
- inwestycja E2.2.1 „Inwesty-
cje w zakresie bezpieczeń-
stwa transportu”.

To dokumenty określa-
jące szczegółowe zasady
kwalifikowalności kosztów
i warunki, jakie musi spełnić
wnioskodawca.

**W jakiej formie i do kiedy
należy składać wnioski?**
Wnioski można skła-
dać wyłącznie elektro-

nicznie poprzez Platfor-
mę Usług Elektronicznych
ARiMR - PUE, dostępną
pod adresem epue.arimr.
gov.pl. Nabór trwa od
1 grudnia 2025 r. do 31
stycznia 2026 r. Wnioso-
dawcy mają również moż-
liwość dokonywania zmian
we wnioskach w trakcie
trwania naboru.

**Jakie dokumenty trzeba
dołączyć do wniosku?**
Niezbędne są:
- faktury potwierdzają-
ce koszt wyposażenia
pojazdu w inteligentny
tachograf,
- wydruk danych technicz-
nych z zainstalowanego
urządzenia,
- kopie zaświadczeń o po-
mocy de minimis z ostat-
nich trzech lat (również
w rolnictwie i rybołów-
stwie, jeśli takie wsparcia
były udzielane).

**Co dzieje się po pozy-
tywnym rozpatrzeniu
wniosku?**
Po przyznaniu pomo-
cy ARiMR prześle umowę
do beneficjenta poprzez
platformę PUE. Informa-
cja o jej udostępnieniu
zostanie przekazana e-
mailem lub SMS-em -
zgodnie z preferencja-
mi wskazanymi przez
wnioskodawcę.

**Gdzie przedsiębior-
cy mogą znaleźć więcej
informacji?**
Wszystkie szczegóły do-
tyczące naboru, warunków
wsparcia oraz wymaganych
dokumentów dostępne są na
stronie ARiMR. Zachęcamy
do zapoznania się z infor-
macjami i jak najszybszego
składania wniosków, ponie-
waż obowiązuje kolejność
wpływu aż do wyczerpania
środków.

KRISTI RATUJE ZWIERZĘTA. NA FRONCIE

– Myślę, że z psami na wojnie jest jak z pierwszymi ludźmi, którzy doświadczali burzy. To dla nich przerażające i niezrozumiałe – mówi Krystyna Drahomarecka

Maciej Czerniak

Owczarek, którego osłoniła własnym ciałem, lizała ją potem po dłoniach. Czuł, komu zawdzięcza życie. To było w maju 2024 r. Wraz ze swoimi ludźmi, z grupy „12” („12 Strażników”) w obwodzie Donieckim w Ukrainie robiła to, co zaczęła jeszcze przed wojną: ratowała zwierzęta.

Bitwa na sąsiedniej ulicy

Na stałe pracują pod Odessą. Tam Krystyna prowadzi swój azyl dla psaków, o którym mówi „szelter”, a który nazwała „Miejsce pod słońcem”. Każdego miesiąca na tydzień udają się w rejon frontowy. Jadą na południe albo na wschód. Tam odławiają blakające się psy.

Wtedy, w maju 2024 na akcję pojechali zgodnie z planem.

Ewakuacja okazała się jednak wyjątkowo trudna. – Normalnie, kiedy jesteśmy w pobliżu linii frontu, dobrze wiemy, gdzie są pozycje Rosjan, w jakich odległościach. Wojskowi mają szczegółowe rozeznanie – mówi Kristi. – Tym razem było inaczej.

Rozpoczęła się „operacja charkowska”. Rosyjskie natarcie w kierunku stolicy obwodu. Na drodze wojsk był właśnie Wołczańsk, był też Toreck, gdzie właśnie znaleźli się wolontariusze. – Rosjanie zaczęli częściej używać dronów, więc nie mogliśmy się ewakuować w dzień. Próbowaliśmy nocą, ale to też było trudne, bo oni używają termowizji.

W czasie masowego ataku na miasto zrobił się, jak mówi Kristi, kocioł. Rosyjscy żołnierze byli wszędzie. W tym kotle oni – wolontariusze, animalisi. Po co? Rozmawiamy o tym

z Kristi, ale opowieść zaczyna rządzić się swoją logiką. Pokrętną, chaotyczną. Ogień we wspomnieniach znów staje się żywy i przesłania porządek zdań. – Rosjanie byli dwie ulice dalej, wywiązała się bitwa. Oni widzieli, że jesteśmy tam, że zabieramy psy, ale to dla nich nie miało żadnego znaczenia – opowiada. – Może nie dowierzali, że wolontariusze mogli się znaleźć tak blisko frontu i to nocą... Ich to zresztą nie obchodziło. Widziałam, jak dron zabija parę starszych osób. Małżeństwo – oni uciekali ze swoim psem, chcieli się ewakuować.

W tym ataku Kristi została ranna. Wybuch odrzucił ją, odłamek pocisku trafił w udo. Doznała wstrząsu mózgu. Wolontariusze szli wtedy ze zwierzętami. Kristi miała ze sobą małe psy, jej kolega, jeden z „dwunastu”, prowadził

owczarka niemieckiego. Kiedy doszło do ataku, próbowała osłonić zwierzę własnym ciałem. Pies już przedtem był rozdrażniony, potem wpadł w panikę.

Kiedy ewakuowali się, ukryli się w przyziemiu budynku już w bezpiecznej strefie, siedziała z nogą owiniętą purpurowym, przesiąkniętym krwią opatrunkiem, a psiak już lizał ją po ręce. Na swój sposób czuł, kto go ochronił.

– To jest taka różnica, że my, ludzie, widzimy te wszystkie okropności, ale rozumiemy, skąd się biorą; że to wojna, że ta śmierć może nadejść. I wiemy, z której strony może przyjść. Dla zwierzątek to czysta zgroza. Psy boją się fajerwerków. Wyobraź sobie, czym jest dla nich hałas ognia frontowego. Wystarczy z dział, odpalane pociski rakietowe. I to trwa i trwa.

Dwa światy

Krystyna Drahomarecka ma 28 lat, jest architektem. Przed wojną pracowała w zawodzie, w Odessie. Popołudniami, kiedy wracała do domu, czuła się samotna. Pewnego dnia w 2020 r. na Facebooku znalazła post Ludmiły, która pokazywała, jak ratuje zwierzęta znalezione na ulicy. Kristi napisała do niej.

– Też zawsze chciałam to robić, ale nie wiedziałam jak. Myślałam, że aby prowadzić schronisko, trzeba mieć dużo pieniędzy. Teraz wiem, że chyba wszyscy, którzy prowadzą schroniska, są biedni. A mimo wszystko robią to.

Ludmiła pokazała, że to jest możliwe – można wziąć psa z ulicy i znaleźć dla niego rodzinę. – Zawsze sobie wyobrażałam, że jeśli mnie spotkałoby coś takiego, ten pies zostałby ze mną na zawsze. Nie mogłam

jednak tego zrobić – uśmiecha się Kristi – bo mieszkalam z rodzicami, nie było na to szans.

– Na początku więc pomagałam Ludmiłce w poszukiwaniu nowych domów dla psów. Powiedziałam, że mam balkon i tak możemy zacząć, mogę tam przez jakiś czas trzymać zwierzęta. Tak to się zaczęło. Z czasem zaczęłam już ratować zwierzęta na własną rękę.

Gdy wojna się rozpoczęła, były już dobrymi przyjaciółkami. Wtedy wielu ludzi za granicą było gotowych, by przyjąć do siebie psy z Ukrainy. Adoptować je.

– W Ukrainie naprawdę trudno znaleźć kogoś, kto przyjmie psa do domu. Gdy rozmawiam na ten temat z Polakami, to widzę, że wy też przechodziliście pewną ewolucję, że zmieniał się stosunek ludzi do zwierząt. Wiem, że tu też psy trzymano na łańcu-

AKCJA SPECJALNA

Królewskie warsztaty w stylu eko!



To były warsztaty w iście królewskim stylu! Wspólnie z Województwem Małopolskim połączyliśmy historię, ekologię i współczesność w jedno!

3 grudnia najmłodszy uczniowie małopolskich szkół uczestni-

czyli w niezwykłym wydarzeniu. Na Zamku w Niepołomicach odbyły się warsztaty w stylu eko – „Moda z przeszłości, odpowiedzialność za przyszłość”.

Do udziału w warsztatach zaprosiliśmy uczniów klas

czwartych Szkoły Podstawowej nr 2 im. Króla Kazimierza Wielkiego w Niepołomicach oraz Szkoły Podstawowej im. Świętej Jadwigi Królowej Polski w Podłężu.

W zamkowych komnatach uczestnicy zostali podzieleni

na grupy, a każda z nich – pod okiem animatora – przygotowała jeden z elementów stroju lub atrybutów króla Bolesława Chrobrego. Oczywiście z materiałów z odzysku.

Celem wydarzenia było podkreślenie, jak historia i eko-

logia mogą iść w parze, kształtując odpowiedzialne postawy wśród najmłodszych.

Młodzi ludzie poprzez zabawę nauczyli się, że codzienne wybory (segregacja odpadów, oszczędzanie energii, korzystanie z transportu publicznego)

mają realny wpływ na klimat i jakość życia.

Warsztaty były okazją do praktycznego poznania zasad ekologii – nie tylko teorii.

Więcej – 12 grudnia – w specjalnej publikacji dołączonej do gazety.

AUTOREKLAMA

0011444639

EkoMODA
Z PRZESZŁOŚCI

1025 TYSIĄCLECIE
KRÓLESTWA
POLSKIEGO

GK GAZETA
KRAKOWSKA.PL

DZIENNIK POLSKI

MAŁOPOLSKA

ORGANIZATOR

PARTNER GŁÓWNY



FOT. ARCHIWUM K. DRAHOMARECKIEJ

Krystyna Drahomarecka buduje pod Odessą schronisko dla psów

chach, a teraz śpią z ludźmi w łóżkach. Mam nadzieję, że w Ukrainie sprawy potoczą się podobnie.

Mimo wojny w Ukrainie nastawienie do zwierząt już się powoli zmienia. Psy, jeżeli są na łańcuchach, to najczęściej w małych wsiach. - Mamy też koty, które oddajemy pod opiekę naszym partnerom, oni zajmują się ich leczeniem, odrobaczaniem itd. Kociaki trafiają do nowych właścicieli. Ja jestem psiara, więc mnie łatwiej jest znaleźć nowy dom dla psa niż dla kota.

Niewidzialny, śmiertelny wróg

„Szelter”, który pod Odessą prowadzi teraz Kristi, to tymczasowe schronienie dla 250 psów. - Budujemy je krok po kroku. Na początku to było kilka starych zabudowań, teren zarośnięty krzakami, zaśmiecony. Każdego dnia coś poprawiamy. Mamy pracownika, który każdego dnia coś u nas buduje. Fundusze są niewielkie, nie możemy po prostu wynająć ekipy do zbudowania całego tego miejsca od początku do końca. Jesteśmy zależni od darczyńców. Współpracujemy z organizacją Grater Good, która jest naszym najważniejszym sponsorem.

Działalność Kristi i jej przyjaciół wpływa też na bezpie-

czeństwo ludzi. Kiedy żołnierze na froncie walczą z okupantem, Kristi ma wroga równie groźnego. To wściekliwość: - Jest to ogromny problem u nas. Choroba śmiertelna dla zwierząt i dla ludzi. Jesteśmy częścią UWAF, czyli Ukraine War Animals Relief Fund i przez ostatnie dwa lata udało nam się wspólnie przeprowadzić sterylizacje około 800 tysięcy psów, a takich zabiegów trzeba wykonać około 1,5 miliona.

W Ukrainie, jak mówi Kristi, często uważa się, że po sterylizacji pies staje się bezużyteczny. Przestaje szczeleć i nie broni posesji. - Bywa, że kiedy urodzą się szczeniaki, po prostu się je topi. To straszne.

O pracy Kristi i jej zespołu opowiada film dokumentalny produkcji kanadyjskiej w reżyserii Olhy Byrledianu. Premierę miał w 2024 roku na festiwalu w Seattle i zebrał wiele nagród na całym świecie.

David Jackson, autor recenzji dla BAFTA Qualifying Cambridge Film Festival: „Nie da się patrzeć na osamotnionego psa, w czasie ataku rakietowego, kulącego się ze strachu i nie uронić łzy. Nie da się nie zapłakać na widok tego samego psa, kiedy po opieką wolontariuszy UWAF dochodzi do siebie i oswaja”. Dalej krytyk pisał: „Film skupia się na sprawie

ratowania bezpiecznych zwierząt, ale przypomina, że za ich losami kryją się ludzkie tragedie”.

- Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mamy takie problemy ze zwierzętami. Wciąż jest wiele okrucieństwa, traktuje się je jak przedmioty. Tłumaczymy, że nie można karmić ich resztkami naszego jedzenia, że zwierzę potrzebuje opieki weterynaryjnej. Wielu widzi to tak: Jeżeli pies choruje i umrze, to OK, weźmiemy sobie nowego.

Psy i ludzie

W listopadzie Kristi przyjechała do Bydgoszczy. Na Festiwalu Prapremier w Teatrze Polskim wystawiono spektakl „Psy i Ludzie” Vyachesława Volkonsky’ego. To sztuka w części inspirowana historią Kristi. W części, bo porusza też tematykę przemocy wobec zwierząt i stawia pytania o granice człowieczeństwa w czasie wojny.

Kristi spotkała się z Eleną Morozową, prezeską Kujawsko-Pomorskiego Domu Ukraińskiego, która wspiera jej działania. Odwiedziła też bydgoskie schronisko dla zwierząt prowadzone przez Izabellę Szolginę. - To, co robi Izabella, napędza mnie otuchą, a jej historia inspiruje. Ona też budowała to miejsce małymi krokami. A teraz to w pełni profe-

sjonalne schronisko. Mam nadzieję, że my też takie stworzymy.

Z tej wizyty Kristi wyjechała zaopatrzona w worki karmy dla psów. Po wojnie chce dalej pomagać zwierzętom. - Jestem w tym dobra i kocham to. Mamy wiele planów. Chcemy założyć szkołę, współpracować z trenerami, behawiorystami. Byłam na szkoleniu w Kanadzie, gdzie przysposabia się psy do pracy nie tylko z osobami niewidomymi. Chcemy szkolić je do asystowania niepełnosprawnym żołnierzom.

Opowiada, że psy jak ludzie, przechodzą traumę. Jej podopieczni trafiają do adopcji w Polsce, w Czechach i Niemczech. - Mówiono mi, że w Kijowie nie ma frontu, więc tam możemy szukać nowych domów dla psów. Miasto jednak niemal codziennie jest celem ataków dronów i rakiet. Wiele psów umiera na atak serca.

Przekonuje, że każdy psiak ma swoją osobowość. Nie każdy będzie zdolny do pomocy osobie niepełnosprawnej. - To tak, jakby kazać fotografowi pracować jako kucharz. Nauczy się gotować, ale nie będzie robił tego z oddaniem. Każdy powinien być na swoim miejscu. Ze zwierzętami jest podobnie.

©P

MATERIAŁ INFORMACYJNY GMINY MIEJSKIEJ KRAKÓW

0011438376

Już niebawem otwarcie naboru kandydatów na członków Komitetów Rewitalizacji

Informujemy o rozpoczęciu naboru kandydatów na członków dwóch Komitetów Rewitalizacji: wspólnego dla podobszarów Kazimierz-Stradom i Grzegórzki-Wesoła oraz osobnego dla podobszaru „stara” Nowa Huta.

Nabór kandydatów na członków odbędzie się w terminie od 9 grudnia 2025 r. do 16 stycznia 2026 r.

Komitet Rewitalizacji będzie stanowił przestrzeń współpracy Prezydenta Miasta Krakowa i Urzędu Miasta Krakowa z mieszkańcami, przedsiębiorcami, właścicielami nieruchomości, przedstawicielami organizacji pozarządowych i innych środowisk w sprawach dotyczących rewitalizacji.

W jaki sposób można się zgłosić?

Osoby zainteresowane udziałem w pracach Komitetu Rewitalizacji zgłaszają się poprzez dedykowany



formularz wraz z listą poparcia.

Mieszkańcy danego podobszaru rewitalizacji potrzebują co najmniej 10 podpisów poparcia pełnoletnich mieszkańców tego

podobszaru rewitalizacji.

Mieszkańcy Krakowa niebędący mieszkańcami podobszarów rewitalizacji, potrzebują co najmniej 10 podpisów poparcia pełnoletnich mieszkańców Krakowa

niebędących mieszkańcami podobszarów rewitalizacji.

Przedstawiciele organizacji pozarządowych, które realizują swoją działalność na podobszarach rewitalizacji

potrzebują co najmniej 5 podpisów poparcia pełnoletnich przedstawicieli tej grupy interesariuszy.

Przedstawiciele organizacji pozarządowych, które realizują swoją działalność w Krakowie poza podobszarami rewitalizacji potrzebują co najmniej 5 podpisów poparcia pełnoletnich przedstawicieli tej grupy interesariuszy.

Przedstawiciele właścicieli, użytkowników wieczyści nieruchomości zlokalizowanych na podobszarze lub podobszarach rewitalizacji lub podmiotów zarządzających tymi nieruchomościami potrzebują co najmniej 5 podpisów poparcia pełnoletnich przedstawicieli tej grupy interesariuszy.

Przedstawiciele partnerów społeczno-gospodarczych działający w Krakowie potrzebują co najmniej 5 podpisów poparcia pełnoletnich przedstawicieli tej grupy interesariuszy.

Przedstawiciele przedsiębiorców prowadzących działalność gospodarczą na podobszarze rewitalizacji potrzebują co najmniej 5 podpisów poparcia przedstawicieli tej grupy interesariuszy.

Przedstawiciele przedsiębiorców prowadzących działalność gospodarczą w Krakowie poza podobszarami rewitalizacji potrzebują co najmniej 5 podpisów poparcia tej grupy interesariuszy.

Liczba zebranych podpisów będzie decydująca w przypadku wzmożonego zainteresowania uczestnictwem w pracach Komitetu Rewitalizacji.

Więcej informacji, w tym miejsca składania formularza zgłoszeniowego i listy poparcia, a także wzory tych dokumentów, znajduje się na stronie internetowej www.rewitalizacja.krakow.pl Zapraszamy do włączenia się w prace Komitetów Rewitalizacji!

KARDYNAŁ GRZEGORZ RYŚ: „LUDZIE NIE ZA BARDZO SIĘ MNIE BOJĄ. I CHWAŁA BOGU!”

„Nadzieja Kościoła. Biskup, co świata się nie boi”. O Grzegorzu Rysiu tak pisaliśmy w 2012 roku. Od tamtego czasu stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci Kościoła w Polsce. Przez minionych osiem lat był łódzkim metropolitą, dwa lata temu został mianowany kardynałem. Dziś wraca pod Wawel? Kim jest Grzegorz Ryś? Czym potrafi tak sobie zjednywać ludzi?

Jolanta Bialek



Kardynał Grzegorz Ryś został nowym metropolitą krakowskim. To zmiana symboliczna



Kardynał to człowiek z wielkim poczuciem humoru i dystansem do siebie

Wielu widzi w nim nadzieję krakowskiego i polskiego Kościoła. Nie boi się wyzwania „dzisiejszego świata” – pisał red. Marek Bartosik w Gazecie Krakowskiej w październiku 2012 roku, gdy Grzegorz Ryś, wtedy biskup pomocniczy i przewodniczący zespołu do spraw nowej ewangelizacji episkopatu, zorganizował w Krakowie nietypową akcję ewangelizacyjną. – Poprowadził ulicami Krakowa i na stadion Cracovii kilka tysięcy katolików, w tym wielu wątpiących, poszukujących. Jest mądrym, a przy tym zanurzonym w wierze człowiekiem. Iskromnym kapłanem. Kiedy ostatnio pojawił się ksiądz, w którym widziano by nadzieję Kościoła krakowskiego i polskiego? Może ponad pół wieku temu, gdy zaczynała się biskupia droga Karola Wojtyły. Teraz tak o biskupie Grzegorzu Rysiu mówią ci, którzy go znają od lat. Ale co do jego przyszłości jednego tylko są pewni: czeka go bardzo trudne życie”.

Nowy metropolita krakowski to rodowity krakowianin. Wychował się na osiedlu Podwawelskim (zapewne stąd zo-

stało mu do dziś kibicowanie Garbarni). Jest absolwentem IV Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie. Uczył się tam w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Już wtedy cieszył się szacunkiem kolegów, choć może nie był duszą towarzystwa.

„Był bardzo otwarty, radosny, łatwo nawiązywał kontakt z drugim człowiekiem. Lubił opowiadać różne ciekawe historie, był ciekawy świata. Miał charyzmę. Nigdy nie był zarozumiały, na pewno nie zmieniły go zajmowane stanowiska – opowiadali o Grzegorzu Rysiu jego koledzy z licealnej ławy Ewa Żuławska i Tomasz Guderzki w 2024 roku na łamach Dziennika Łódzkiego.

Metropolita na rowerze

Grzegorz Ryś to pasjonat jazdy na rowerze. Kiedyś przemierzał nim ulice Krakowa, a potem Łodzi i okolic, już jako tamtejszy metropolita (jeszcze latem 2025 roku prowadził tam łódzkie Jerycho Rowerowe).

Gazeta Krakowska, 2012: „W Krakowie łatwo go zobaczyć pedałującego na rowerze. Gdy gdzie na wizytację biskupie, to spędza w danej parafii 3-4 dni. – To jednak, co jest według mnie

najważniejsze dla biskupa pomocniczego, to po prostu bycie w parafiach, z ludźmi: jeździć, nawiedzać, wizytować, bierzmować, być z młodymi ludźmi, zwłaszcza wśród rozmaitych ruchów, wspólnot kościelnych, których tu w Krakowie zawsze było i jest dużo i za to chwala Bogu. Nie myślę zatem o jakichś planach duszpasterskich, ale po prostu o byciu z ludźmi i towarzyszeniu im w ich wierze, tam gdzie się spotykają, gdzie się gromadzą, gdzie się modlą – to wydaje mi się istotne – tak tłumaczył publicznie swoje rozumienie biskupstwa”.

„Od lat pielgrzymuję na Jasną Górę, razem z klerykami seminarium poszedł szlakiem św. Jakuba do Santiago de Compostela. Ale to wszystko powierzchowne ciekawostki, które nie oddają tego, co w osobowości biskupa najważniejsze” – zaznaczał wtedy w Gazecie Krakowskiej Marek Bartosik.

Kardynał, który umie się z siebie śmiać

Jaki jest kardynał Grzegorz Ryś? Otwarty na ludzi i świat, nowoczesny, pozytywny, uwielbiany przez młodzież, niebojący się podejmować trud-

nych tematów i decyzji, charyzmatyczny. Doskonały mówca, słynący ze znakomitych kazań, ceniony historyk, liczący się w środowisku naukowym i kulturalnym.

A przy tym człowiek z wielkim poczuciem humoru i dystansem do siebie. – Pozwolić się z siebie pośmiać jest bardzo ważnym przejawem miłości bliźniego. Ale nie każdego na to stać – powiedział Grzegorz Ryś w marcu 2023 roku, na łamach Gazety Wyborczej, w rozmowie z Elżbietą Sokołowską.

Natomiast dopytywany: co go śmieszy?, odparł: – Na pewno dobry żart, czyli taki, którego puenta jest niespodziewana. Jest kilka takich dowcipów, które opowiadam, a teraz na YouTube puszcza je bez przerwy. Na przykład ten o papudze, która wychodząc z lodówki, w której spędziła wtedy za karę kilka godzin (bo przeklinała), pyta: „Najmocniej przepraszam, czy mogę wiedzieć, co zrobił kurczak?!”. Przyznał, że zdarza mu się śmiać z samego siebie. Dodał, że zna już nawet dowcipy, w zasadzie anegdoty, o sobie.

„Pierwsza, jaka powstała na mój temat, to było daleko, głęboko, jeszcze w Krakowie,

kiedy byłem młodym księdzem. Pracowałem już na uczelni, a mszę świętą odprawiałem w niewielkim kościółku św. Jana przy Rynku. Któregoś dnia bardzo poważna osoba, pani, która jest jednym ze znanych przewodników po Krakowie, była z jakąś sprawą u kardynała Franciszka i w trakcie rozmowy mówi: „Ja bardzo lubię chodzić do kościoła św. Jana”. Ten zdumiony popatrzył i zapytał, dlaczego. Na to ona: „Bo tam taki ksiądz z Korei odprawia. I wie ksiądz kardynał, on całkiem dobrze po polsku mówi!”

Chyba najbardziej znana anegdota pochodzi z czasu, kiedy zostałem biskupem. Jakies 2-3 miesiące później w jednym z żeńskich zakonów siostra nowicjusza modliła się o Boże błogosławieństwo dla biskupa Rysia. Po mszy upomniała ją siostra przełożona: „Proszę się nie spoufalać. Nie mówi się Rysia, tylko Ryszarda”. Później słyszałem tę anegdotę w tysiącu odmian, łącznie z tym, że niektórzy księża potrafili w koncelebrze odmieniać moje imię jako „Ryszarda”. Wtedy robił się problem: kto dokończy kanon, bo wszyscy wpadali w takie radosne uniesienie...” – opowiadał Gazecie Wyborczej.

W tej rozmowie padło zdanie, które dobrze odzwierciedla charakter kardynała Rysia, jego podejście do ludzi. Zapytany, czy brał pod uwagę, że ludzie nie robili mu dowcipów z okazji prima aprilis, bo się go bali, odparł z uśmiechem: – Nie sądzę. Nie zawsze byłem arcybiskupem, a nawet biskupem nie zawsze byłem. Myślę, że i teraz ludzie nie za bardzo się mnie boją, chwala Bogu!

Otwarty na świat. I daleki od polityki

– Zawsze zwracał uwagę swoją inteligencją, ciekawością świata, umiejętnością słuchania i głębokością wiary. Widziałem – i wciąż widzę – jak on „rośnie”: intelektualnie i duchowo. Co jakiś czas słucham jego znakomitych homilii i kazań. Są one głębokie, pozostają w pamięci, często poruszają w człowieku jakąś ważną strunę – mówił o Grzegorzu Rysiu w Gazecie Krakowskiej w 2012 roku publicysta Janusz Poniewierski, świetny znawca pontyfikatu Jana Pawła II.

– On jest niezwykle mądrym, a przy tym zanurzonym w wierze i modlitwie człowiekiem. Pokornym, skromnym kapłanem, który autentycznie przeżywa Ewangelię i jest pozytywnie nastawiony do świata – dodał Marcin Przeciszewski, wtedy szef Katolickiej Agencji Informacyjnej.

Z kolei w lipcu 2023 roku, gdy Grzegorz Ryś został mianowany kardynałem, Kazimierz Nycz, wtedy metropolita warszawski powiedział: – Bardzo się cieszę, ponieważ do kolegium kardynalskiego zostaje włączony młody, energiczny,

bardzo dobrze wykształcony, wolny od skostniałych nawyków i przyzwyczajeni człowiek.

Odwagę w podejmowaniu trudnych tematów i decyzji nowy metropolita krakowski udowodniał wielokrotnie.

Na przykład podczas obchodów XXVIII Dnia Judaizmu we Wrocławiu w styczniu 2025, gdy mocno skrytykował – nazywając je głęboko niewłaściwymi – kontrowersyjne hasła, które pojawiły się na banerach europoła Grzegorza Brauna. Kilka miesięcy później kardynał Ryś zapowiedział powołanie niezależnej komisji, która zbada przypadki wykorzystywania seksualnego małoletnich na terenie archidiecezji łódzkiej, a w lipcu 2025 zaapelował w liście do wiernych (z diecezji łódzkiej) o „nawrócenie języka” w kwestii migrantów oraz używanie „Jezusowego sposobu wypowiedzi”.

W tym przesłaniu hierarcha odniósł się do sporu w kwestii migrantów i uchodźców, który od miesięcy „rozpala publiczną dyskusję i działania”, które w jego opinii „nierazko powodując się na chrześcijańskie motywacje – w istocie rzeczy z chrześcijaństwem nie mają wiele wspólnego”. Przypomniał też, że katolicka nauka społeczna wyraźnie stwierdza, iż każdy człowiek ma prawo wybrać sobie miejsce do życia i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze.

„To nie polityka. I to nie wezwanie do jakichkolwiek działań o politycznym charakterze. To prośba: najpierw o nawrócenie języka (...). Chrześcijaństwo nie jest religią plemienną, lecz – jak uczy Sobór – objawieniem jedności całego rodzaju ludzkiego (...) Proszę, jeśli decydując się uczestniczyć w dyskusjach, (...) to chciejcie to czynić z głębokim zjednoczeniem z rzeczywistą nauką Chrystusa i Kościoła. Jeśli zaś nie, to proszę: miejcie odwagę przynajmniej w takich wypadkach zamilknąć i nie dokładać ognia do tak rozpalonej rzeczywistości” – napisał kardynał Ryś, wywołując listem prawdziwą burzę wśród prawicowych środowisk.

Nowy metropolita krakowski ma jasne zdanie także w sprawie oddzielenia kościoła od polityki.

– Jeśli księża z mojej diecezji wyjdą z politycznym przekazem na ambonę, to najpierw dostaną nagane, a później będziemy szukać dalszych konsekwencji. Jeśli kapłan wywiesi plakat wyborczy, niezależnie jakiej partii, to jeszcze tego samego dnia dostanie ode mnie telefon. Dla mnie to jest jasne: nie ma zgody na uwikłanie Kościoła w kampanię wyborczą. Nie ma! Kościoła w polityce nie powinno być. On nie ma prawa tam być – mówił w rozmowie z Onetem w październiku 2023 roku.

Z przyjemnością przedstawiamy 10 WYSOKICH wygranych w Małopolsce w 2025 roku:



Kraków
31.05.2025



6 377 609 zł

Skawica
1.04.2025



6 163 395 zł

Niepołomice
7.01.2025



15 000 zł miesięcznie
przez 20 lat

Nowy Sącz
25.07.2025



3 498 875 zł

Oświęcim
31.01.2025



2 203 289 zł

Kraków
3.07.2025



5 000 zł miesięcznie
przez 20 lat

Kraków
19.08.2025



5 000 zł miesięcznie
przez 20 lat

Bochnia
13.03.2025



1 000 000 zł

Miechów
5.06.2025



1 000 000 zł

Limanowa
28.02.2025



920 097 zł



Graj w punktach



, w aplikacji mobilnej i na

lotto.pl

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA: LICZY SIĘ BŁYSK W OKU I CHEĆ DO ŻYCIA, A NIE ZMARSZCZKI

Telewizjowicze uwielbiają ją za występy w serialu „M jak miłość”. Dlatego na pewno ucieszy ich, że dołącza teraz do kolejnej produkcji TVP – „Zaraz wracam”. Z tej okazji Małgorzata Pieczyńska opowiada nam, jak udaje się robić aktorską karierę w Polsce i w Szwecji

Patryk Gzyl

Woli pani grać postaci bliskie sobie czy raczej dalekie od siebie?

Pierwszą inspiracją, która zawsze przychodzi, jestem ja sama. To jest łatwiejsze, taki samograj. Nawet kiedy jest do zagrania negatywna postać i pojawia się myśl: „Ja bym przecież tak nie zrobiła”, to zawsze jest przepuszczanie przez siebie. Oczywiście ciekawiej jest grać kogoś, kim się nie jest. Na tym polega aktorstwo kreatywne. Odmienność sposobu mówienia, poruszania się, inna psychika. Niestety: widowia często utożsamia aktora z rolą. Ludzie mają problem z tym, żeby oddzielić aktora od granej przez niego postaci - i to jest kłopotliwe.

Ciekawy jestem jak będzie w przypadku serialu „Zaraz wracam”, do którego dołącza pani w grudniu. Grana przez panią Krystyna Filar to nie jest pozytywna postać. Telewizja opisuje ją, że „w biznesie i w relacjach jest bezwzględna i nie uznaje kompromisów”. Będzie pani próbowała „bronić” swą bohaterkę?

Tak działa aktorski instynkt. Na pewno będę próbowała zrobić wszystko, żeby ta postać była kolorowa, a nie wyłącznie czarna. Jeżeli jest zła, to niech będzie inteligentna, niech ma poczucie humoru.

Najtrudniejszą relacją Krystyny Filar jest ta z jej synem Janem. W postać tę wciela się Mikołaj Krawczyk. Macie ciekawy materiał do zagrania?

Jak najbardziej. Krystyna traktuje Jana jako partnera biznesowego. Tu kojarzą mi się sceny z mojego własnego domu. Mój mąż jest biznesmenem i czasami kiedy rozmawia z naszym synem Victorem, muszę się wtrącić, przypominając mu: „Gabrys, nie zapominaj, że to nie jest twój partner biznesowy. To, że nie dotrzymał słowa, może go dyskwalifikować jako partnera biznesowego, ale nigdy jako syna”. W stosunku do dziecka uruchamiamy bowiem niekończące się pokłady cierpliwości i wyrozumiałości. Tak jest i w tym serialu. Może i Jan sprawia zawód Krystynie, bo chciałaby mieć super partnera biznesowego, którym on, niestety, nie jest. Nie może jednak być wobec niego radykalna, bo to przecież jej syn. Dlatego fajne będzie, jeśli jej miłość do syna będzie równie wielka jak miłość do interesów.

To bardzo prawdziwa sytuacja, którą znają chyba wszyscy rodzice.

Niestety. Często wyobrażamy sobie nasze dzieci w jakichś rolach i jesteśmy zawiedzeni, kiedy nie spełniają naszych oczekiwań. To jest ogromny błąd wychowawczy. Nie potra-

fimy zaakceptować tego, że są oddzielnymi bytami i mają swoje życie. Nie są na świecie po to, by spełniać nasze oczekiwania. Mój syn jest dla mnie największym nauczycielem tego przedmiotu. Uważam za swój największy sukces, iż wychowałam go na kogoś, kto nadaje samodzielnie sens swojemu życiu każdego dnia. Nie prowadzę go na sztywnym holu wychowawczym, a jednak jestem dumna z jego drogi, zbudował bowiem w Salwadorze sierociniec dla 90 dzieci.

W „Zaraz wracam” oglądamy wielu znanych i lubianych aktorów. Dobrze się gra w takim doborowym towarzystwie?

My się wszyscy oczywiście znamy. Aczkolwiek pracować na jednym planie miałam okazję tylko z Kasią Zielińską. Marcina Kwaśnego i Mikołaja Krawczyka też znam, ale nie pamiętam, żebyśmy gdzieś razem grali. To bardzo miła współpraca: są uważni, patrzą w oczy, mają poczucie humoru. Szczególnie Marcin mnie zaskakuje. Rozumiemy się w locie. No a Violetta Arlak? Ona jest wspaniała, wręcz oczu od niej nie można odebrać. Kiedy pojawia się na ekranie, patrzę na nią jak sroka w gnat. (śmiech)

„Zaraz wracam” to serial obyczajowy, ale z komediowym

zacięciem. Jak się pani czuje w takiej konwencji?

Zawsze grywałam dramatyczne role, jednak bardzo dobrze czuję się również w komedii. Od pewnego czasu występuję z Cezarym Żakiem i Bartkiem Topą w przedstawieniu „Kolacja dla głupca” - i to jest miód na moją duszę. Ten śmiech, który pojawia się na scenie i za kulisami. Granie w lekkich i zabawnych spektaklach czy filmach to ogromny profit tego zawodu, ponieważ przekłada się na naszą pogodę ducha. Dramat jest obciążający, jak śmierć czy choroba, które odbijają się na człowieku. Łżejsza tematyka odkłada się z kolei jak piórko na psychice. Dlatego rozumiem doskonale ludzi, którzy przychodzą na komedię do teatru, bo to dla nich terapia śmiechem. „Ludzie śmieją się! Zapomnijcie przez chwilę o waszych troskach, które przecież i tak was dogonią!” - zachęcam wszystkich.

Mimo tych komediowych akcentów, „Zaraz wracam” to jednak przede wszystkim obyczajowa opowieść.

To prawda. Wydaje mi się, że taka produkcja jest bardzo potrzebna: zwyczajny serial o zwyczajnych ludziach i zwyczajnych ludzkich sprawach. Oglądając polską telewizję, mam wrażenie, że jest bardzo zdominowana przez kryminał,

a przez to przez przemoc, zbrodnie, ciemną i brudną stronę ludzkiej natury. Jeżeli nie ma w scenariuszu kurwy i zło-dzieja, to jest mało interesujące. Mało tego: jeśli już nie mamy do czynienia z kryminałem, to i tak z chamstwem: jest dużo przeklinania i prostackiego dialogu. To zdominowało polskie media. Dlatego myślę, że brakuje opowieści o normalnych ludziach, którzy nie są prostakami i nie klną. Nawet jeśli jest taka bohaterka jak moja, która nie jest dobrym człowiekiem, to nie jest chamką. Uważam to za ogromną wartość „Zaraz wracam”. Tym chętniej zgodziłam się wziąć udział w tym serialu.

Co ciekawe akcja tego serialu rozgrywa się na polskiej prowincji. To też oryginalne - a dla pani chyba trochę egzotyczne, bo pani mieszka w Warszawie i w Sztokholmie.

Egzotyczna to jest moja bohaterka: ona przyjeżdża z zagranicy, świetnie się ubiera i jest bardzo bogata. Jawi się więc na tej prowincji niczym rajski ptak. W tym małym miasteczku, gdzie rozgrywa się akcja, odbywają się wybory. Przy okazji realizatorzy pokazują, jak wyglądają ich kulisy: co sprawia, że wybieramy tych, a nie innych. To dotyczy zarówno wielkich, jak i małych miast. To może skłonić widzów do refleksji, jakimi drogami idą ich sympatie polityczne. Czy ich wybory są świadome? Czy łatwo nas zmanipulować? Czy myślimy o dobru wspólnym? Jakie będą konsekwencje dla całej społeczności, jeśli wygra ten, a nie tamten? To ciekawie i fajnie napisane. W bardzo niegłupi sposób jest też wprowadzony wątek genderowy, co pozwala widzom oswajać się również z tą tematyką. Mamy tu również przemoc domową, która nie dzieje się w środowisku patologicznym, gdzie moglibyśmy się jej spodziewać, tylko jakby w „białych rękawiczkach”. Serial ma więc też pewien dydaktyczny rys.

Pani tata był inżynierem, a mama ekonomistką. Jako dziecko uprawiała pani różne sporty. Jak odkryła pani w sobie pociąg do aktorstwa?

Zacząłam myśleć o scenariuszu od razu, gdy tylko nauczyłam się pisać. Niedawno znalazłam na wsi taki gruby zeszyt - scenariusz „Królowny Śnieżki”. I było tam napisane: „Reżyser: Małgosia Maciejewska. Królowna Śnieżka: Małgosia Maciejewska”. Czyli sama sobie pisałam scenariusze, sama siebie reżyserowałam i sama siebie obsadzałam w głównej roli. (śmiech) Wiedziałam więc od początku, że chcę być aktorką. Pamiętam, że mieliśmy w mieszkaniu małą łazienkę i tam naprzeciw umywalki i lustra była gigantyczna pralka Polar. Ponieważ byłam mała, wła-

ziłam na nią, żeby mnie było widać w lustrze - i grałam do tego lustra. Puszczalam wodę do wanny, żeby mnie nie było słychać i śmiałam się, płakałam, mówiłam wiersze. Był to świat nieograniczonej wyobraźni, który mnie od zawsze ciągnął.

Jeszcze będąc studentką zagrała pani w ekranizacji „Wiernej rzeki”. Rola w kostiumowym romansie była spełnieniem młodościowych marzeń?

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia jest to wspaniałe przeżycie. Nie doceniałam tego faktu. Wybitna aktorka Aleksandra Śląska zapytała mnie w szkole teatralnej: „Słyszałam, że masz zostać akademicą na rok. Co to będzie?” Wyjaśniłam wtedy, że zagram w „Wiernej rzeki”. „Słuchaj, ekranizacje takich powieści robi się u nas raz na pokolenie. Jeśli widzisz w tym jakąś szansę dla siebie, to się nie zastanawiaj, tylko bierz, bo następnej nigdy nie będzie, albo za 25 lat, a wtedy będziesz już na to zdecydowanie za stara”. Początkowo wcale nie byłam przekonana do tego projektu. Miałam bowiem cudowne zajęcie w szkole, stawiałam więc na teatr, a nie na film. Dopiero ta rozmowa sprawiła, że zmieniłam zdanie.

Komunistyczna cenzura wystraszyła się antyrosyjskich akcentów i zakazała rozpowieści o wojnie. To było dla pani ciosem?

Właściwie nie, bo nie zdawałam sobie sprawy, co by było, gdyby się stało inaczej. Nie wiedziałam co to znaczy kariera, co to znaczy sukces. Nie było wtedy żadnych nagród za debiut na festiwalu polskich filmów w Gdyni. Kiedy po latach zdjęto „Wierną rzekę” z półki i pokazano w 1987 roku w konkursie, nagrodę dla najlepszej aktorki dostała wybitna i zasłużona Magda Teresa Wójcik za „Matkę Królów” i nie było miejsca na jakiegokolwiek wyróżnienie dla mnie, choć wszyscy mówili, że to piękny film i piękna rola. „Trudno. Nie, to nie” - pomyślałam i dalej robiłam swoje. Nie wiedziałam bowiem, jakie by były konsekwencje, gdybym taką nagrodę dostała. Dopiero teraz mi tego żal, bo wiem co to znaczy satysfakcja z bycia nagrodzoną.

Z wszystkich pani filmów z lat 80. widzowie pokochali chyba najbardziej „Piłkarskiego pokera”, który ciągle jest wznawiany przez różne stacje telewizyjne. Dla pani rola „Łapówki” była też wyjątkowa?

To była kolejna rola u Janusza Zaorskiego. Najpierw wystąpiłam u niego w filmie „Baryton”, który w symboliczny sposób opowiadał o tym, jaką postawę powinien przyjąć artysta wobec totalitaryzmu. Wtedy w Polsce



FOT. MATERIAŁ PRASOWE TVP

Małgorzata Pieczyńska: Granie w lekkich i zabawnych spektaklach czy filmach to ogromny profit tego zawodu, ponieważ przekłada się na naszą pogodę ducha. Dramat jest obciążający, jak śmierć czy choroba, które odbijają się na człowieku

był to bardzo ważny głos. Po-tem było „Jezioro Bodeńskie” – przepiękna ekranizacja prozy Stanisława Dygata, nagradzana na całym świecie. Dzięki temu filmowi poznałam 40 lat temu mojego męża – przy okazji pokazu w Sztokholmie. Wszystko to były zupełnie różne role. I ta wspomniana „Łapówka” okazała się jeszcze inną. Zaorski miał bowiem wyjątkową wyobraźnię castingową i potrafił zobaczyć tę samą aktorkę w trzech kompletnie innych wcieleniach.

To jednak „Piłkarski poker” okazał się hitem.

Każdy film ma swoją publiczność. „Baryton” i „Jezioro Bodeńskie” to były niszowe i artystyczne produkcje. „Piłkarski poker” został adresowany do masowej publiczności. To niby nie kryminał, ale pokazuje ciemną stronę ludzkiej natury. Takie historie zawsze przyciągają szeroką widownię.

W drugiej połowie lat 80. znalazła pani miłość w Szwecji i przeprowadziła się do Sztokholmu. To wtedy był inny świat niż szary PRL. Jak się pani tam odnalazła?

Przed zmianą polityczną w 1989 roku, a nawet jeszcze przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku, to była przepaść pod każdym względem. Standardu życia, estetyki ubrań, mieszkań, ludzi, stosunku

do przyrody. W Szwecji miałam zdrową wodę pitną w kranie, a w Polsce w tym czasie nosiło się w omszałych kani-strach czystą wodę z jakichś podziemnych źródełek, ponieważ woda z kranu śmierdziała zgniłymi jajami i nie można było z niej herbaty zrobić. To był więc dla mnie szok kulturowy. Teraz to się wyrównało, czego ludzie w Polsce, niestety, nie doceniają. Mówią, że mamy „kraj w ruinie”. Kraj w ruinie to był przed tymi wielkimi przemianami. Teraz to wspaniały kraj, tylko jest opluwany dla politycznych korzyści. I to jedynie różni Szwecję od Polski – stosunek do instytucji państwowych. Tam jest do nich wielki szacunek, a u nas przeciwnie – zupełny jego brak.

Niemal od razu postanowiła pani grać w Szwecji, nie znając języka. I udało się. Jak to było możliwe?

Po prostu wygrałam casting do pierwszej mojej szwedzkiej produkcji – wysokobudżetowego serialu „Płaczący minister”. Nie znałam wtedy języka szwedzkiego, nauczyłam się więc swych kwestii na pamięć. Sąsiadka nagrała, mąż przetłumaczył, a ja wykułam na blachę i wygrałam zdjęcia próbne. Poszło mi tak dobrze, że zagrałam postać będącą rodzoną siostrą postaci granej przez rodowitą Szwedkę. Gdy weszliśmy na plan, zrozumiałam, że jestem wśród szwedzkiej elity

aktorskiej. Ja ich nie znałam, kojarzyłam oczywiście aktorów z filmów Bergmana, ale to były inne nazwiska. Wtedy nie było internetu, więc musiałam dopytać i okazało się, że są to same szwedzkie Englerty, Jandy i Zapasiewiczze. (Śmiech) Trafiłam więc jak sliwka w kompot. „Płaczący minister” bardzo się spodobał, zdobył wiele nagród – posypały się następne propozycje. W tym i z teatru w Sztokholmie. I to właśnie zagranie po szwedzku trzynastozłotkowcem głównej roli wśród tamtejszych wielkich gwiazd w prestiżowym spektaklu uważam za swój największy zawodowy sukces. Poza tym, że wychodziłam na scenę i pracowałam z reżyserem, miałam wtedy swoją korepetytorkę, z którą szlifowałam artykulację, wy-mowę i interpretację. To było wielkie przeżycie, które bardzo sobie cenię.

Podobno w Szwecji grywa pani głównie czarne charaktery. To prawda?

Owszem – grałam kilka razy ostre i wyraziste charaktery, jakąs szefową mafii, to rosyjskiej, to bałkańskiej. Tak było choćby w serialu „Zanim umrzemy”, który zdobył nagrodę jako najlepszy szwedzki serial kryminalny. To nie było coś w stylu „zabili go i uciekl”, tylko historia mafijna z pogłę-bionymi portretami psychologicznymi bohaterów. Produkcja ta bardzo mocno zapisała

się w świadomości Szwedów. Często zdarza mi się, że zaczepiają mnie na ulicy i pytają czy to ja grałam tę „padro padrone” w kobiecej wersji. Kultowym serialem jest też „Johan Falk” – z tym że to bardzo męska produkcja, dużo się tam dzieje, są liczne bijatki i pościgi. Tym razem grałam tam po rosyjsku. „Johana Falka” też kocha cała Szwecja.

Mimo tych sukcesów nie zrezygnowała pani jednak z pracy w Polsce. Dlaczego?

Ze względu na komfort posługiwania się językiem ojczystym. Umożliwia on improwizację, którą ma się bardzo ograniczoną, grając w obcym języku. Ktoś, kto nie próbował, nie zdaje sobie z tego sprawy. Ja wiem to na pewno. Szwedzi są bardzo biegli w angielskim, to właściwie ich drugi język. I kiedyś miałam okazję grać po angielsku w jakiejś produkcji. Wszyscy mieli ze mną dialogować w tym języku. Przygotowałam się bardzo sumiennie, po prostu wbiłam wszystkie kwestie na swój twardy dysk. I kiedy weszliśmy na plan, okazało się, że moi znakomici szwedzcy koledzy nagle mylą się gubią w swych angielskich kwestiach. Dlaczego? Bo zbagatelizowali trudność grania w obcym języku. Wydawało się im to bardzo proste, ale kiedy ruszyła kamera i pojawiły się emocje, nagle się wysypali. Okazało się, że trzeba było się lepiej

przygotować. (Śmiech) Granie w ojczystym języku jest nieporównywalnie łatwiejsze i przyjemniejsze. Kiedy czasem na planie czy na scenie mój partner się pomyli, to potrafię tak zaimprovizować odpowiedź, żeby naprowadzić go z powrotem na temat. W obcym języku coś takiego jest prawie niemożliwe.

W tym pani współczesnym polskim dorobku wyjątkowe miejsce zajmuje na pewno „M jak miłość”. Gra pani w tym serialu już 12 lat. Za co pani go sobie ceni?

Po pierwsze za to, że jest tak bardzo lubiany przez publiczność. To wielka wartość. Bo to jest po prostu moja publiczność. Po drugie, gram tam z wyjątkowo fajnymi, młodymi ludźmi. Młodość aktorska – Ilona Janyst, Ada Kalska, Michalina Sosna, Mikołaj Roznerski, Maurycy Popiel – to wszystko wspaniałe osoby. Mam ze spotkań z nimi wielką frajdę, zarówno prywatnie, jak i przed kamerą. Po prostu kolegujemy się. To bardzo życzliwi, inteligentni i z poczuciem humoru młodzi ludzie. Poza tym z zaskowaniem patrzę na zaangażowanie całej ekipy „M jak miłość”. Podziwiam ją za to, jak stara się trzymać jakość i jak wszystkim zależy.

Media ciągle się zachwycają pani urodą i formą. To zasługa jogi, którą uprawia pani od 20 lat?

Myszę, że tak. To codzienna praktyka, która ma ogromne znaczenie. Joga to przede wszystkim ćwiczenia fizyczne, ale także ścieżka ogólnego rozwoju, która się przekłada na całą higienę życia, łącznie z jedzeniem, stosunkiem do siebie, do innych ludzi i do świata. Jest niezwykle ważna.

Kiedyś powiedziała pani: „Przemijania się nie boję. Każdy wiek ma swój urok”. Jak się wypracowuje taką mądrą postawę?

Higienicznym życiem: tym, że się dba o siebie każdego dnia, że się ćwiczy, że się nie je śmieci, że się nie robi dewastujących siebie głupot w rodzaju nachalnego przyjmowania różnych toksyn. To również jest praca – chociażby relacje osobiste. Jeśli ma się udane życie prywatne, szczęście w małżeństwie i fajne dziecko, które żyje tak, że patrzymy na nie z radością – to wtedy mamy wewnętrzną i zewnętrzną dobrą emanację. I to widać. Te zmarszczki przychodzą tak czy siak, choć uważam, że można żyć tak, aby te oznaki starzenia jakoś spowalniać. Tak naprawdę jednak liczy się błysk w oku i chęć do życia. Jeśli tego nie ma, to choćby nie wiem jak będziemy zadbani i wycudowani, to będzie widać po nas rodzinny dramat, nieudane małżeństwo czy chorobę. Nie chcę się jednak tu wymądrzać, że liczy się tylko gimnastyka i dobre odżywianie. Bo są różne okoliczności życiowe i byłoby to niesprawiedliwe wobec innych tak mówić: „Zaczynajcie ćwiczyć, to będziecie szczęśliwi i będziecie pięknie wyglądali”. Życie nie jest sprawiedliwe i nie rozdaje po równo. Trzeba więc czasem próbować się z nim i wydrapać co swoje. No i po prostu mieć trochę szczęścia.

Nie zamierza pani wrócić w przyszłości na stałe do Polski?

Ja bym chętnie wróciła i zamieszkała w Polsce na stałe, ale mąż nie chce. Po ostatnich wyborach powiedział, że nie chce mieszkać w kraju, w którym 6 procent wyborców głosuje na kogoś takiego, jak Grzegorz Braun. Kogoś, kto sieje nienawiść, jest antysemitą i neguje holokaust. Dla mnie to też jest przerażające i nawet się mężowi nie dziwię. Ciężko jest tęsknić do kraju, w którym po-klask zdobywa ksenofobia, homofobia i antysemityzm. Nie możemy jednak walkowerem oddawać pola tego rodzaju politykom. Jest przecież mnóstwo osób, szukających wiedzy o świecie w sprawdzonych źródłach, którym na sercu leży dobro Polski. Ja staram się z uśmiechem wchodzić w każdy dzień, robić swoje, jak najlepiej potrafię i otaczać się mądrymi i dobrymi ludźmi.



Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH ZAJRZYJMY ZA KULISY GENERATYWNEJ AI

Zajmuję się sztuczną inteligencją (AI) od ponad 50 lat. Pierwsze badania prowadziłem w tej dziedzinie w latach 70., doktorat broniłem w 1975 roku, wykłady na ten temat prowadziłem od 1980 roku, a pierwszą książkę wydałem w 1993 roku. I przez prawie wszystkie te lata zainteresowanie innych naukowców tą dziedziną było umiarkowane, decyzje studentów, żeby właśnie tę wiedzę pogłębiać (poprzez wybór tematów prac dyplomowych czy doktorskich) były rzadkie, inżynierów chcących implementować w fabrykach narzędzia sztucznej inteligencji było niewiele, a przedsiębiorców wierzących, że sztuczna inteligencja rozwine ich biznes trzeba było ze świecą szukać.

Sytuacja radykalnie się zmieniła w drugiej dekadzie XXI wieku. O sztucznej inteligencji zaczęli mówić wszyscy. Sądy wydają ludzi, którzy nigdy żadnego narzędzia sztucznej inteligencji nie budowali, nie badali i nie wdrażali, ale oni wiedzą lepiej. Pojawili się wizje kasandryczne (że sztuczna inteligencja zniszczy cywilizację) i hurraoptymistyczne (że wszystko, co uzbroimy w sztuczną inteligencję, stanie się lepsze i korzystniejsze).

Złożyło się na to wiele przyczyn, ale jedną z ważniejszych był fakt, że sztuczna inteligencja „wyszła do ludzi”. 30.11. 2022 roku udostępniony został publicznie ChatGPT. Był to program wykorzystujący podejście generatywne, polegające na wykorzystaniu fragmentów tekstów pochodzących z ogromnej bazy danych, przeanalizowanych przez tak zwaną głęboką sieć neuronową. Głęboka sieć neuronowa złożona jest z bardzo wielu warstw złożonych z odpowiedników ludzkich komórek nerwowych symulowanych komputerowo, poddanych procedurze tak zwanego głębokiego uczenia. To potężne narzędzie informacyjne, używane obecnie do bardzo wielu różnych celów, uczone metodą opracowaną przez Hinton, który za to otrzymał w 2024 roku Nagrodę Nobla. Głęboka sieć neuronowa tworzyła na pod-

stawie analizowanych tekstów tak zwany duży model językowy (LLM - Large Language Model), a ten model pozwalał losowo wybierać z kawałków gotowych tekstów „wypowiedź”, przedstawianą użytkownikowi w odpowiedzi na jego zapytanie.

Ludziom to się podobało. Do stycznia 2023 roku ChatGPT stał się najszybciej rozwijającą się aplikacją komputerową w historii, zdobywając ponad 100 milionów użytkowników w ciągu dwóch miesięcy. Od 2025 r. w trybie ChatGPT jest jedną z 5 najczęściej odwiedzanych witryn na świecie i ma ponad 700 milionów aktywnych użytkowników tygodniowo.

Ponieważ kawałki tekstów, z których budowana była odpowiedź maszyny, są wybierane losowo z prawdopodobieństwami wyznaczonymi przez głęboką sieć neuronową - więc czasem konstrukcja odpowiedzi rozlatuje się, i powstaje „halucynacja”. Ale to nie przeszkadza.

Używanie ChatGPT - obecnie w wersji piątej, udostępnionej 7 sierpnia 2025 roku, budzi rozmaite refleksje. Z jednej strony pojawia się pytanie o prawa autorskie, bo przecież cała wiedza ChatGPT bierze się z analizy statystycznej ogromnej bazy tekstów, które ktoś kiedyś napisał, ma więc do nich prawa autorskie. Inna krytyka wynika z faktu nieetycznego zachowania użytkowników, którzy często podają „produkt” wytworzony przez ChatGPT jako swoje dzieło. Dotyczy to zwłaszcza uczniów i studentów.

Jednak trudno zaprzeczyć, że w historii korzystania przez ludzi z komputerów generatywna sztuczna inteligencja odegrała znaczącą rolę. Niestety, sprawiła także, iż wielu ludzi, którzy styczność ze sztuczną inteligencją mieli wyłącznie przez „rozmowę” z ChatGPT, poczuło się ekspertami i zabierają głos w dyskusjach na temat sztucznej inteligencji. Z ewidentną szkodą dla rozwoju tej prawdziwej sztucznej inteligencji, doskonałej w laboratoriach i stosowanej przez mądrych menagerów.

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

JOANNA KRUPA

Bywa drogocenna

Celebrytka była jedną z gwiazd tegorocznego balu TVN, ponieważ od lat jest związana ze stacją za sprawą prowadzenia talent-show „Top Model”. Jak podaje „Super Express” Krupa zachwyciła kreacją od Waltera Mendeza, projektanta, który ubiera gwiazdy, takie jak Jennifer Lopez czy Kim Kardashian. Tabloid wyliczył też, ile warte były ozdoby Krupy - szczególnie imponujący zegarek Rolex, wyceniany na 200 tys. zł. Modelka dobrała do niego kolczyki, trzy bransoletki oraz cztery pierścionki z dużymi kamieniami. Łączna wartość całej biżuterii wyniosła niemal 1,5 mln zł.

ANIA WYSZKONI

Żąda odszkodowania

Piosenkarka od lat skonfliktowana jest z liderem zespołu Łzy - Adamem Konkolem - który zarzuca jej, że bezprawnie wykonuje „Agnieszke” i inne hity, które kiedyś śpiewała z grupą. Muzyk wyspecjalizował się w złośliwych komentarzach pod filmikami wrzucanymi przez Wyszkoniego do TikToka. Teraz Plotek dowiedział się, że wokalistka pozwała dawnego kolegę o naruszenie dóbr osobistych, żądając odszkodowania w wysokości 300 tys. zł. Konkol poproszony o komentarz powiedział: - Zarobiła miliony na „Agnieszce”, a teraz chce ode mnie 300 tys. zł za majtki. To nie moja wina, że skąpe ubrania z 50-latką nie zrobią 20-latką.

KASIA CICHÓPEK

Smakuje związek

We wtorek minął miesiąc od dnia ślubu prezenterki i Maciejki Kurzajewskiej. Małżonkowie nie omieszkali uczcić tej okazji. Na Instastories celebrytki pojawiła się relacja z jednej ze stołecznych restauracji i pochwaliła się tym, co zjedli. W menu degustacyjnym, którego cena to w przypadku skróconej wersji 580 złotych za osobę, a pełnej - 650 złotych, znalazły się m.in. halibut z porrem i solirodem, pierogi Wagyu z ponzu i truflą czy foie gras z orzechem laskowym. Serce



Anna Wyszkonio od lat jest skonfliktowana z Adamem Konkolem, który nieustannie hejtuje ją na TikToku

celebrytki skradł jednak oryginalny deser - lody ze szczawiu, które smakowały jak truskawki.

ANNA LEWANDOWSKA

Zrzuciła okruszki

W wydanej niedawno książce „Lewandowski. Prawdziwy” Sebastiana Staszewskiego, słynny piłkarz i jego żona są sportretowani jako wyjątkowo skąpi ludzie. Autor biografii przywołuje na dowód sytuację, kiedy to po jednej z urodzinowych imprez sportowiec poprosił jej uczestników, aby zrzucili się po 50 euro. Specjalnością małżeństwa było także wręczanie znajomym z okazji urodzin czy imienin podarunków, składających się z darmowych gadżetów albo przedmiotów, które dostali od sponsorów. Nie inaczej rzecz się ma z samą celebrytką. Regułą w jej firmie były ponoć świąteczne premie w stylu karty podarunkowej o wartości stu czy dwustu złotych. „I to dla ludzi, którzy w tym czasie pomagali zarobić im kupę pieniędzy. Jednym było przykro, inni czuli się zażenowani, bo odnosili się do wrażenia, jakby ktoś zrzucił ci ze stołu okruszki” - pisze Stanisławski.

MAJA BOHOSIEWICZ

Ma plan działania

Kontuzja sprawiła, że celebrytka wycofała się z „Tańca

z gwiazdami”. Po rezygnacji z programu, otwarcie napisała o dolegliwościach, których się nabawiła w jego trakcie. „Przez długi czas sądziłam, że stres po prostu się tylko czuje. Że to napięcie w karku, szybki oddech, trudność z zasypianiem. Nie sądziłam, że może aż tak wpłynąć na ciało” - stwierdziła. Okazało się, że nieregularne jedzenie i stres zatrzymały jej prawidłowe funkcjonowanie układu trawienia, co objawiało się spuchniętym brzuchem i brakiem energii. Teraz Bohosiewicz poinformowała fanów, że otrzymała badania, na które czekała sześć tygodni. „Mam już plan działania i leczenia i zobaczymy, jak pójdzie” - zakończyła.

JUSTYNA STECZKOWSKA

Musiła coś czuć

Piosenkarka gościła niedawno w programie Magdy Molek. Kiedy prowadząca spytała ją o seks, Steczkowska wyznała, że zawsze wynikał on u niej z miłości. - Jak już z kimś wchodziłam w relację, znaczy tak głęboką, jak ta bliskość, która wiąże się z seksualnością, to naprawdę musiałam głęboko coś do kogoś czuć i chcieć to zrobić. Uważam, że ciało kobiety to świątynia. Nie chciałam, żeby każdy w tej świątyni przebywał, kto tylko ma na to ochotę, albo moja wyobraźnia czy libido ma ochotę w tym momencie to zrobić - stwierdziła.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Dziś podejmiesz ważne decyzje. Zaufaj swojej intuicji. Horoskop dzienny zapowiada, że osiągniesz dzięki temu zamierzone cele.

Ryby (19.02 - 20.03)

Czas na relaks i zadbanie o siebie. Horoskop na dziś wyraźnie wróży, że przyniesie Ci to radość oraz spokój.

Baran (21.03 - 19.04)

Komunikacja będzie dzisiaj kluczowa. Horoskop dzienny na piątek radzi wykorzystać swoje umiejętności, aby rozwiązać trudne sytuacje.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje mogą być intensywne. Horoskop dzienny to wskazówka, by skupić się na tym, co sprawia Ci radość.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja kreatywność rozkwitnie. Horoskop na dziś to wskazówka, by zrealizować swoje pomysły i nie bać się pokazać światu talentów.

Rak (22.06 - 22.07)

Zorganizuj swoje sprawy. Horoskop dzienny na piątek wróży, że drobne zmiany w rutynie przyniosą pozytywne efekty w codziennym życiu.

Lew (23.07 - 22.08)

Zrównoważenie relacji będzie kluczowe. Horoskop dzienny radzi poświęcić czas na rozmowy z bliskimi.

Panna (23.08 - 22.09)

Tajemnice mogą wyjść na jaw. Horoskop na dziś radzi zachować ostrożność w relacjach z innymi osobami i nie ufać wszystkim.

Waga (23.09 - 22.10)

Czas na nowe przygody! Horoskop dzienny na piątek radzi otworzyć się na nowe doświadczenia i nie bać się podejmować ryzyka.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Praca i ambicje będą na czołowej pozycji. Horoskop na dziś to wskazówka, by skupić się na obranych celach.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoje pomysły mogą zaskoczyć innych. Horoskop radzi być otwartym na współpracę i dzielić się swoją wizją.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Intuicja będzie Twoim przewodnikiem. Horoskop dzienny na piątek to podpowiedź, by zaufać sobie i nie bać się podążać za marzeniami. Do brze na tym wyjdiesz.

REKLAMA 0011444566

BURMISTRZ MIASTA I GMINY WIELICZKA

zawiadamia że:

Na tablicach ogłoszeń Urzędu Miasta i Gminy w Wieliczce przy ul. Powstania Warszawskiego 1 i ul. Pocztowej 1, na stronie internetowej urzędu www.wieliczka.eu oraz na stronie Biuletynu Informacji Publicznej zostały podane do publicznej wiadomości wykazy nieruchomości stanowiących własność Gminy Wieliczka, przeznaczone do:

- **dzierżawy** obejmujące działki numer: **1888/1; 227/4; 1752/15** położone **w Wieliczce obręb 1**,
- **zamiany** obejmujące działkę numer: **1752/30** położona w **Wieliczce obręb 1**,
- **zbycia** poprzez wniesienie jako aport obejmujące działki numer: **186/5; 186/6; 186/7; 261/31** położone **w Wieliczce obręb 1**.

REKLAMA



Bogumiła Boczkowska
STELA
ZAKŁAD USŁUG
POGRZEBOWYCH
www.stelakrakow.pl

KOMPLEKSOWA OBSŁUGA POGRZEBÓW
ROZLICZENIE BEZGOTÓWKOWE
DYŻUR CAŁODOBOWY
również w soboty i święta
ul. Rakowicka 43 ☎ 12/413 02 02

001124374

ul. Rakowicka 43
12/417 35 35
12/412 77 55

ul. Powstańców 48
(cm. Batowicki)
12/410 45 70

Wszystkie nasze punkty czynne 7.30-15.30 • Do Państwa dyspozycji również MELEX osobowy

OGŁOSZENIE WÓJTA GMINY MICHAŁOWICE

1. Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Wójt Gminy Michałowice, z siedzibą przy Placu Józefa Piłsudskiego 1, 32-091 Michałowice, zwany dalej „Administratorem”. Administrator prowadzi operacje przetwarzania Pani/Pana danych osobowych.
2. Z Administratorem można skontaktować się telefonicznie pod numerem telefonu 12 388 50 03 lub za pośrednictwem wiadomości e-mail na adres: sekretariat@michalowice.malopolska.pl.
3. Przestrzeganie zasad ochrony danych nadzoruje wyznaczony Inspektor Ochrony Danych, z którym można skontaktować się poprzez adres e-mail: iod@michalowice.malopolska.pl.
4. Pani/Pana dane osobowe będą przetwarzane w celu przyjmowania i rozpatrywania uwag do projektu planu zagospodarowania przestrzennego.
5. Podstawą przetwarzania Pani/Pana danych osobowych jest art. 17 pkt.11 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz.U. z 2023 r. poz. 977, poz. 1506, poz. 1597), w związku art. 67 ust. 3 pkt 4 ustawy z dnia 7 lipca 2023 r. o zmianie ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym oraz niektórych innych ustaw (Dz.U. z 2023 r. poz. 1688), co oznacza, że dane są przetwarzane w ramach sprawowania władzy publicznej powierzonej Administratorowi.
6. Odbiorcami danych osobowych będą wyłącznie podmioty uprawnione do uzyskania danych osobowych na podstawie przepisów prawa.
7. Pani/Pana dane osobowe będą przechowywane do momentu zakończenia sprawy, a następnie przekazane jako dokumenty kategorii „A” (oznaczającej rodzaj dokumentów przechowywanych wiecześnie) do siedziby archiwum zakładowego, nad którym nadzór sprawuje Archiwum Narodowe.
8. Podanie danych osobowych jest wymogiem prawnym i ma charakter obowiązkowy. Konsekwencją niepodania danych osobowych będzie pozostawienie uwagi bez rozpoznania.
9. Posiada Pani/Pan prawo do żądania od Administratora:
 - ☐ dostępu do swoich danych osobowych,
 - ☐ ich sprostowania,
 - ☐ ograniczenia przetwarzania,
 - ☐ przenoszenia danych,
 - ☐ wniesienia sprzeciwu wobec przetwarzania z przyczyn związanych ze szczególną sytuacją składającego uwagę.
10. Osoba, której dane dotyczą, ma prawo do wniesienia skargi do organu nadzorczego, czyli Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych z siedzibą przy ul. Stawki 2, 00-193 Warszawa, jeśli uzna, że przetwarzanie danych osobowych narusza przepisy ogólnego rozporządzenia o ochronie danych.
11. Pani/Pana dane osobowe nie będą podlegać automatyzowanemu podejmowaniu decyzji, w tym profilowaniu.
12. Administrator nie będzie przekazywał danych osobowych do państw trzecich, z wyjątkiem sytuacji przewidzianych w przepisach prawa.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 508 26 26 84
Przez internet: www.ogloszenia.polskapress.pl E-mail: ogloszeniadrobne.dziennikpolski@polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń: Kraków, Zabłocie 43a

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

AUTA skupujemy 888-025-123.

Praca

ZATRUDNIĘ

!KIEROWCĘ doświadczonego w trans. międzynarod. kat. C+E, 603-067-887

MATERIAL INFORMACYJNY FIRMY KARAWAN

REAL-CONSTRUCT Sp. z o.o. zatrudni MONTERÓW i ELEKTROMONTERÓW do pracy za granicą. Polska umowa o pracę, 52-90 zł brutto/h, transport i zakwaterowanie zapewnione. Tel. 603-044-480, e-mail: praca@realconstruct.pl

SPRZEDAWCĘ obwarzanków rencistkę/tę, zlecenie. 608-411-800.

Zdrowie

STOMATOLOGIA



Akryle, protezy, nylony, szkielety, mosty. Boh.
Września 1, 12/645-93-33.

Usługi

AGD RTV FOTO

! ANTENY ! RTV dom. 575-412-346.

BUDOWLANO-REMONTOWE

!!!500-003-103 HYDRAULIK

ŁAZIENKI kompleksowo 692-932-258.

INSTALACYJNE

!!!HYDRAULIK 500-003-103 AWARIE

HYDRAULICY AWARIE 730-066-539

Turystyka

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,881-934-948

O kobietach i dla kobiet stronakobiet.pl

Rolnicze

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

REKLAMA

OGŁOSZENIE

WÓJT GMINY WIŚNIOWA informuje, że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Gminy Wiśniowa, 32-412 Wiśniowa 441, na stronie internetowej Urzędu: www.wisniowa.malopolska.pl oraz w Biuletynie Informacji Publicznej Gminy Wiśniowa w okresie od 4 grudnia 2025 roku do 26 grudnia 2025 roku zostaną zamieszczone wykazy nieruchomości Gminy Wiśniowa przeznaczonych do użyczenia:

1. części nieruchomości o powierzchni około 30 m² zlokalizowanej na działce nr 32/102 w Wiśniowej na okres 5 lat, na rzecz Polskiego Związku Hodowców Gołębi Poczтовых Zarząd Okręgu Kraków, 31-978 Kraków, Osiedle Zielone 13, NIP: 679-26-02-219, Oddział PZHGP 0198 Myślenice,

2. lokalu komunalnego w budynku Wiśniowa 474 o powierzchni 45,36 m² przeznaczonego do oddania w użyczenie na rzecz Stowarzyszenia Artystycznego Teatr, Kultura i My, 32-412 Wiśniowa 320, na okres 3 lat.

Wiśniowa, dnia 3.12.2025 roku

0011445565

0011445790

W grudniu wspominamy zmarłych, których ceremonie pogrzebowe w listopadzie na Cmentarzu Rakowickim odprawiła firma Karawan.

Agnieszka Pietroń, Albert Kunz, Aleksandra Stożek, Alina Żebrowska, Andrzej Górecki, Andrzej Wasilewski, Aniela Augustyniak, Aniela Hala, Anna Kozioł, Anna Pruszyńska, Anna Żuchowska, Artur Kuhny, Barbara Mazurek, Barbara Raginis, Barbara Schwabe, Barbara Siodlak, Bożena Lorenc, Elżbieta Adamska, Franciszek Markun, Grażyna Rutkowska-Mizińska, Grzegorz Sęk, Halina Jędras, Helena, Tadeusz Pużak, Izabela Twardzicka, Jan Gruszczyński, Jan Michniak, Jan Warzyński, Janina Szczurek, Jerzy Skotniczny, Jerzy Swaczyna, Jerzy Zajączkowski, Joanna Czura, Józef Michniak, Kamila Nikiel, Kazimiera Kapusta, Krystyna Kwaśniewska, Krystyna Walczak, Krzysztof Rokita, Leokadia Czułowska, Leszek Rams, Lucyna Gardoń, Maciej Wierchosławski, Michał Mazurek, Patrycja i Jerzy Stępowscy, Romualda Lurka, Ryszard Świrek, Wanda Bularz, Wiesław Pacułt, Włodzimierz Halastra, Zofia Grzybowska, Zofia Styło.

Msza św. zostanie odprawiona 7 grudnia o godz. 12:00 na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.



☎ 12 411 11 11

☎ 12 658 21 11



Całodobowe wsparcie i doradztwo

Pomagamy pożegnać bliskich z szacunkiem i godnością.

-  Kompleksowe usługi pogrzebowe
-  Rozliczenia bezgotówkowe
-  Transport krajowy i międzynarodowy
-  Własne krematorium
-  Organizacja styp i pożegnań

Punkty Obsługi Klienta
10 lokalizacji w Krakowie

Zobacz na:
www.karawan.pl

AUTOPROMOCJA

Kondolencje i nekrologi w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń, bez wychodzenia z domu

Tutaj zlecisz ogłoszenie

ibo.polskapress.pl

0011440774

Lilia

zakład pogrzebowy

- kompleksowa organizacja uroczystości pogrzebowych
- rozliczenie bezgotówkowe
- całodobowy transport zmarłych
- szeroki wybór trumien i urn
- kwiaty, tabliczki, klepsydry, nekrologi
- kremacje

KRAKÓW, ul. Św. Łazarza 21, tel. 12 421 24 80

KRAKÓW, ul. Bronowicka 19, tel. 12 637 00 07

KRAKÓW, ul. Grota Roweckiego 7G, tel. 507 111 121

CMENTARZ BATOWICE, ul. Powstańców 20, tel. 507 125 130

CMENTARZ RAKOWICE, ul. Rakowicka 39, tel. 507 111 456

www.liliakrakow.pl

DYŻUR
CAŁODOBOWY **507 111 211**

„Gdyby miłość mogła uzdrawiać,
a łzy wskrzeszać, byłabyś z nami”



Romana Łabuś

z domu Rall

Najukochańsza Mama, Babcia, Prababcia, Siostra i Ciocia.

Przeżywszy lat 76, opatrzona Św. Sakramentami,
zasnęła w Panu dnia 2 grudnia 2025 roku

Msza Święta Żałobna przy Zmarłej
odprawiona zostanie

we wtorek, dnia 9 grudnia 2025 roku o godzinie 12.20
w kaplicy na cmentarzu Rakowickim,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na miejsce wiecznego spoczynku,
o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Córka, Wnuki, Prawnuczka,
Zięć i Brat z Rodziną

Ostatnie pożegnanie ze Zmarłą odbędzie się
w piątek 5 grudnia 2025 roku o godzinie 10.30
przy ul. Wielogórskiej 16 w Podgórkach Tynieckich.

Prosimy o nieskładanie kondolencji.

0011446321

ś†p

Andrzej Gothard Krzyżowski

Adwokat, Radca Prawny

Ukochany Mąż, Ojciec, Teść i Dziadek

Przeżywszy lat 85, zmarł dnia 29 listopada 2025 roku.

Uroczystości żałobne odbędą się
w piątek, 12 grudnia 2025 roku o godzinie 12.00
na cmentarzu Salwatorskim.

Pogrążona w smutku
Rodzina

0011445012

Spółeczność AGH w Krakowie
z głębokim smutkiem przyjęła wiadomość o śmierci

ś†p

Prof. Kazimierza Różańskiego

Wieloletniego pracownika
Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej AGH,

Wybitnego fizyka środowiska,
eksperta w zakresie zastosowań metod izotopowych
w badaniach hydrologicznych i klimatologicznych,
Eksperta w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej
w Wiedniu (w latach 1987-1996),

Członka Rady
ds. Atomistyki Państwowej Agencji Atomisty
(w latach 2009-2012),

Autora około 350 prac,
promotora wielu pokoleń kadry naukowej,
Wpływowego naukowca i cenionego
nauczyciela akademickiego.

Za swoją działalność został odznaczony m.in.
Złotym Krzyżem Zasługi,
oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Wyrazy głębokiego współczucia
Rodzinie i Bliskim Zmarłego
składają

Rektor i Senat
Akademii Górniczo-Hutniczej
im. Stanisława Staszica w Krakowie

0011446464

AUTOREKLAMA



Wspomnienia.
Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę. Sprawdź na
nekrologi.net i dziennikpolski24.pl/nekrologi

REKLAMA



ORGANIZACJA POGRZEBÓW

tel. 12 280 61 58,
kom. 605 240 728
biuro@vladex.pl
ul. Parkowa 10
32-060 Liszki
www.vladex.pl

Wykonujemy profesjonalne uroczystości pogrzebowe
na wszystkich cmentarzach w Krakowie i okolicach.

- Kompleksowe usługi pogrzebowe
- Całodobowy transport zmarłych 24 h
- Służba pogrzebowa 24 h
- Kremacje
- Nagrobki
- Pomniki
- Klepsydry
- Nowoczesna flota

Załatwiamy wszelkie formalności BEZGOTÓWKOWE
związane z pogrzebem w ramach ZUS, KRUS i inne.

- Posiadamy dużą flotę karawanów, w tym najnowszego Mercedesa GLE
- Oferujemy szeroki wybór trumien i urn
- Mamy bogatą ofertę nagrobków, grobowców i pomników
- Nasze wieńce i wiązanki wyróżniają się piękną estetyką i niskimi cenami

605 240 728

0111432223

REKLAMA



KLEPSYDRA

CMENTARZ KOMUNALNY I KREMATORIUM

INFOLINIA: 12 352 44 44

CMENTARZ: +48 502 930 185 | KREMATORIUM: +48 502 930 170

Nowy zielony cmentarz	Pierwsza kwatery ekologiczna	Kolumbaria na urny	Kamieniarstwo i opieka nad grobami
-----------------------	------------------------------	--------------------	------------------------------------

www.cmentarzzkrakow.pl | Kraków, ul. Wielogórska 16

0011259387



Kompleksowe Usługi Pogrzebowe

GABRIEL

GWARANCJA NAJKORZYSTNIEJSZYCH CEN
BEZGOTÓWKOWE ROZLICZENIE POGRZEBÓW
W RAMACH ZASIŁKU ZUS, KRUS I MSWiA

tel. **696 038 038**

DYŻUR CAŁODOBOWY
PRZEWOZY Z MIESZKAŃ

ul. Wrocławska 8 (róg ul. Śląskiej)

www.gabriel24.pl

0011440801

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie – przysłowie abisyńskie.

ROZWIĄZANIE: KAZDY DZIEŃ PRZYNOŚI JAKIEŚ DOBRO.

PIŁKA NOŻNA POLSKA POZNA EWENTUALNYCH RYWALI W MŚ, CHOĆ JESZCZE NIE PRZEBRNĘŁA PRZEZ BARAŻE

Losowanie w amerykańskim stylu

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Dziś o godzinie 18 w Kennedy Center w Waszyngtonie rozpocznie się losowanie grup przyszłorocznych mistrzostw świata organizowanych przez Kanadę, Meksyk i Stany Zjednoczone.

To ma być ceremonia z wielką pompą, w amerykańskim stylu. FIFA do współpracy namówiła znane postaci ze świata show-biznesu i sportu. Na scenie wystąpią choćby Andrea Bocelli, Robbie Williams, Nicole Scherzinger czy zespół Village People, który zyskał rozgłos dzięki kultowemu utworowi „Y.M.C.A.”. W rolę prowadzących wcielią się aktorzy Kevin Hart i Danny Ramirez oraz modelka Heidi Klum (Niemka dostąpiła tego zaszczytu już dwadzieścia lat temu, gdy jej kraj zorganizował mundial).

Dosamego losowania zdecydowano się natomiast zaangażować byłego angielskiego piłkarza Rio Ferdinanda, pochodzącego z Kanady hokeistę



FOT. SYLVIA DĄBROWA

Na razie nie wiadomo, czy na mundialu wystąpi reprezentacja Polski. Kadra Jana Urbana zmierzy się w barażach z Albanią, a jeśli wygra, z Ukrainą lub Szwecją

Wayne’a Gretzkyego, a także amerykańskie gwiazdy najważniejszych dyscyplin - futbolu, baseballu i koszykówki, czyli kolejno Toma Brady’ego, Aarona Judge’a i Shaquille’a O’Neala. Transmisję z komentarzem Piotra Sobczyńskiego i Macieja Iwańskiego zapowiedziano w TVP Sport.

Losowanie wyłoni dwanaście czterzespołowych grup. FIFA zastrzegła w regulaminie, że do grupy może trafić maksymalnie jedna drużyna z danego regionu. Wyjątek stanowi UEFA, z której na turnieju pojawi się aż szesnaście spośród czterdziestu ośmiu uczestników - w tym przypadku do-

puszcza się maksymalnie dwie drużyny w grupie.

W pierwszym, najmocniejszym koszyku są współorganizatorzy mistrzostw, a także zespoły ze ścisłej czołówki rankingu FIFA na czele z Argentyną, która wygrała ostatni mundial. Polska trafiła do czwartego koszyka razem z pozostałymi drużynami uwi-

klanymi w marcowe baraże. Sam turniej ruszy z kolei 11 czerwca w Meksyku (finał 19 lipca w Nowym Jorku). I tu pojawia się kolejna ciekawostka: dzień po losowaniu grup zaplanowano jeszcze transmisję z ogłoszenia samego terminu.

Podział na koszyki przed losowaniem:

koszyk 1: Kanada, Meksyk, USA, Hiszpania, Argentyna, Francja, Anglia, Brazylia, Portugalia, Holandia, Belgia, Niemcy; koszyk 2: Chorwacja, Maroko, Kolumbia, Urugwaj, Szwajcaria, Japonia, Senegal, Iran, Korea Południowa, Ekwador, Austria, Australia;

koszyk 3: Norwegia, Panama, Egipt, Algieria, Szkocja, Paragwaj, Tunezja, Wybrzeże Kości Słoniowej, Uzbekistan, Katar, Arabia Saudyjska, RPA;

koszyk 4: Jordania, Republika Zielonego Przylądka, Ghana, Curaçao, Haiti, Nowa Zelandia, zwycięzcy baraży europejskich (4) i interkontynentalnych (2).

Sześciu uczestników mistrzostw wciąż nie zostało wyłonionych. Mijemy nadzieję, że

wśród nich znajdzie się nasza reprezentacja. Drużynę prowadzoną przez Jana Urbana czekają baraże pod koniec marca. Najpierw w półfinale na PGE Narodowym w Warszawie zmierzmy się z Albanią. Potem czeka nas wyjazd do Solnej lub... Hiszpanii, bo tam Ukraina najpewniej rozegra ewentualny finał po wyeliminowaniu Szwecji. Wcześniej zrezygnowała z gry w Polsce, choć w eliminacjach korzystała ze stadionów w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu.

Czterech uczestników wyłonią baraże europejskie, zaś dwóch interkontynentalne. Demokratyczna Republika Konga na składzie z obrońcą Legii Warszawa Steve’em Kapuadim czeka na wygranego meczu Nowa Kaledonia - Jamajka. W drugim finale Irak, w którego kadrze są Amir Al-Ammari (Cracovia) i Hussein Ali (Pogoń Szczecin), zmierzy się z wygranym z pary Boliwia - Surinam.

Dodajmy, że tzw. superkomputer już wyłonił faworyta mistrzostw - jest nim Hiszpania. W dalszej kolejności wymieniamy się Francję i Anglię. ©®

MATERIAL INFORMACYJNY HONEST MEDIA

0011443807

Polscy pływacy są szczęśliwi, że mogą walczyć o medale mistrzostw Europy przed swoimi kibicami

To bez wątpienia historyczny moment dla polskiego pływania! W Lublinie do niedzieli trwać będą Mistrzostwa Europy na pływalni dwudziestopięciometrowej. Takiej imprezy nie było od czternastu lat, a w polskiej kadrze jest tylko jedna zawodniczka, Katarzyna Wasick, która wystąpiła na poprzedniej wielkiej imprezie w naszym kraju - w 2011 roku w Szczecinie również odbyły się mistrzostwa Starego Kontynentu na krótkim basenie.

Co ciekawe, gdy europejscy pływacy ostatni raz walczyli o medale mistrzostw Europy, w zawodach brała udział również Otylia Jędrzejczak, dzisiaj prezes Polskiego Związku Pływackiego. - Pamiętam, że marzyłam, żeby zdobyć medal w Polsce i mi się nie udało. To było coś niesamowitego móc w Polsce wystartować na zawodach i poczuć polskich kibiców, którzy kibicują kadrze narodowej. Jestem przekonana, że nasi zawodnicy to doceniają - mówi Otylia Jędrzejczak.

Czy rzeczywiście doceniają? Nie ma żadnych wątpliwości, że tak. - Czujemy



FOT. RAFAŁ OLESIEWICZ

większy komfort psychiczny, znamy basen i Lublin, a do tego mamy wspaniałą publiczność na trybunach. To na pewno gra na naszą korzyść, co widać w tych porannych eliminacjach - podkreśla Kornelia Fiedkiewicz, która razem z koleżankami ze sztafety 4x50 metrów stylem dowolnym już pierwszego dnia mi-

strzostw stanęła na podium, odbierając brązowy medal.

- To jest mój ulubiony basen w Polsce, może oprócz tego, na którym trenuję. Padło tu dużo rekordów życiowych i rekordów Polski. Cieszę się, że jesteśmy w Polsce i mogą kibicować mi najbliżsi - dodaje Dominika Sztandera, specjalistka stylu klasycznego.

Z kolei Krzysztof Chmielewski, wicemistrz świata z tego roku z Singapuru na 200 metrów stylem motylkowym, uważa, że fakt, iż mistrzostwa odbywają się w Lublinie, nie tylko powoduje lepsze samopoczucie, ale również dodaje pewności siebie, co może być decydujące w zaciętej walce o medale.

- Fajnie się tu czujemy, na pewno własny obiekt i nasi kibice dodają nam pewności siebie. Zazwyczaj w kraju, np. na kwalifikacyjnych zawodach w Polsce, pływamy lepiej niż na imprezach docelowych, więc to nam pomaga, a nie przeszkadza - mówi Chmielewski. Start Białe-Czerwonych w mistrzostwach Europy będą wspierać sponsor polskiego pływania PGE Polska Grupa Energetyczna oraz Ministerstwo Sportu i Turystyki.

Prezes Polskiego Związku Pływackiego jest szczęśliwy, że wielka europejska impreza wróciła do Polski. - Cieszę się, że w tym roku będziemy mogli kibicować naszej kadrze narodowej startującej w mistrzostwach Europy w Lublinie. A do tego w mistrzostwach Europy masters będą mogli także wystąpić Białe-Czerwoni, czyli ta grupa osób, która z przyjemnością amatorsko wskakuje do wody. Szczecin 14 lat temu się sprawdził i miejmy nadzieję, że Polski Związek Pływacki i Lublin w 2025 roku także się sprawdzą - podkreśla Jędrzejczak.

Prace związane z organizacją dużej imprezy

na pływalni w Lublinie trwały od wielu miesięcy. - Dla Polskiego Związku Pływackiego jest to duże wyzwanie organizacyjne. Szczecin sprostał temu wyzwaniu jako organizator w 2014 roku. Dzięki wsparciu Ministerstwa Sportu i Turystyki, naszych sponsorów, wśród których są m.in. Orlen oraz marki Lotto i DrWitt, możemy to wydarzenie realizować i jestem przekonana, że zawodnicy wyjadą z Lublina zadowoleni. Jak ja to mówię, nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko takie, do których się słabo przykładamy. Dlatego jako Polski Związek Pływacki chcieliśmy podjąć to wyzwanie, żeby promować polskie pływanie i pokazywać, jak bardzo ważną dyscypliną sportu w Polsce jest pływanie - mówi najwybitniejsza zawodniczka w historii polskiego pływania.

Mistrzostwa Europy na krótkiej pływalni zakończą się w niedzielę 7 grudnia. Każdego dnia sesje poranne zaczynają się o godz. 10, a wieczorne o 19. - Zachęcamy do kibicowania na trybunach, bo naprawdę warto przyjść i poczuć te emocje - zachęca Katarzyna Wasick, czołowa pływaczka świata w stylu dowolnym.

